

FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ

POWIEŚCI FRAGMENTARYCZNIE:

KIESZEŃ W PRZESTRZENI, MARTA PAWLIK
PIEKŁO JEST PUSTE, ZUZANNA KŁOSEK

10 OPOWIADAŃ
5 WIERSZY
1 MONODRAM

ARTYKUŁY:

BŁĘDY W SZTUCE. O ODPOWIEDZIALNOŚCI, PROPORCJACH I SZTUCE PATRZENIA Z LOTU PTAKA

- HIGIENA PRACY REDAKTORA I KOREKTORA ● ERGONOMIA STANOWISKA PRACY ● „BETA READING OD KUCHNI. PRAKTYCZNY PRZEWODNIK RECENZENTA I... PISARZA” ● MIĘDZY WDZIĘCZNOŚCIĄ A PROFESJONALIZMEM ● FELIETON: MIĘDZY RACJĄ A EGO

FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ

MARZEC 2025

- 04 STANDARDOWE PRZYWITANIE OD
NACZELNEJ

OPOWIADANIA

- 06 PRZEBUDZENIE
ANNA M. MOREN
- 15 PAKT KODU I KRWI
ALICJA ŻŁOTKOWSKA
- 32 MUCHA
AGNIESZKA OKNIŃSKA
- 45 CZERSTWY CHLEB
MICHAŁ LIPKA
- 53 LEKCJA WDZIĘCZNOŚCI
MICHAŁ P. LIPKA
- 69 PIEŚŃ LASU
MARTA PAWLIK
- 75 ZMARTWYCH
PATRYCJA RESZKA
- 82 OSTATNI MOST
MARIUSZ OLEJNICZAK
- 87 PRZEBUDZENIE
SYLWIA WALISZEWSKA
- 91 FISS-MOLL
JÓZEF ŚWISTAK
- 119 KAP, KAP
MARZENA HERKA-KISTELA

POWIEŚCI

- 55 KIESZEŃ W PRZESTRZENI, ROZDZIAŁ 4 I 5
MARTA PAWLIK
- 107 PIEKŁO JEST PUSTE, ROZDZIAŁ 4 I 5
ZUZANNA KŁOSEK

ARTYKUŁY

- 29 BŁĘDY W SZTUCE. O ODPOWIEDZIALNOŚCI,
PROPORCJACH I SZTUCE PATRZENIA Z LOTU
PTAKA
- 48 HIGIENA PRACY REDAKTORA
I KOREKTORA. O ODPOCZYNKU MÓZGU,
ODPOWIEDZIALNOŚCI I ASERTYWNOŚCI
W ZAWODZIE
- 72 ERGONOMIA STANOWISKA PRACY.
DLACZEGO BIURKO I KRZESŁO SĄ
NARZĘDZIEM ZAWODOWYM
- 80 „BETA READING OD KUCHNI. PRAKTYCZNY
PRZEWODNIK RECENZENTA I... PISARZA”
KSIĄŻKA, KTÓRA MIAŁA BYĆ PRELEKCJĄ
- 85 MIĘDZY WDZIĘCZNOŚCIĄ
A PROFESJONALIZMEM. O RÓWNOWADZE,
KTÓRA BUDUJE RYNEK KSIĄŻKI
- 125 FELIETON: MIĘDZY RACJĄ A EGO

POEZJA

- 43 W SEN
JAN KUFF
- 44 CISZA
SYLWIA WALISZEWSKA
- 79 NIE MA CIEBIE
JOANNA HETMAN-KRAJEWSKA
- 89 O CISZY, KTÓRA NAM POZOSTAŁA
KAROLINA MALIGŁÓWKA
- 90 DLA TATY NA URODZINY
JOANNA HETMAN-KRAJEWSKA

FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ

MARZEC 2026

COPYRIGHTS©2026 BY MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

REDAKTOR NACZELNA

Magdalena S. Matusiewicz (craft.swan.creations@gmail.com)

Z-CA REDAKTOR NACZELNEJ

Magdalena Zwolińska ([Magdalena Zwolińska. Redakcja i korekta](#))

SKŁAD DPT

Magdalena S. Matusiewicz – Swan Craft Creations (www.nocnaredaktorka.com)

ILUSTRACJE DO OPOWIADAŃ I POWIEŚCI

Kinga Witczak ([WITCH.ak Art](#))

Grafik z powiesci piekla

REDAKTORZY I KOREKTORZY

Magdalena S. Matusiewicz

Magdalena Zwolińska

Magdalena Dziekan (studiokreacji.magdadziekan@gmail.com)

[Milena Wysocka](#)

Weronika Belowska ([Korekta.WB](#))

[Paulina Mika](#)

Patryk Żelazny (patryk.zelazny.redakcja@gmail.com)

Magdalena Tomczak

Ewelina Bełz

Katarzyna Pyka

FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ

Droży Czytelnicy,

Tym razem będzie trochę osobiście... Cisza. Pięć liter, a niesie w sobie tak mocne i głębokie przesłanie. Przebudzenie. To z kolei siła, która rodzi się właśnie w ciszy.

To ciekawe, że to właśnie na marcowy numer padły te dwa hasła. Przypadkowo? Być może. A może jednak nie. Może podświadomie wiedziałam już, że właśnie o tym chcę Wam opowiedzieć.

Praca redaktora i korektora bardzo często wymaga ciszy. I nie zawsze chodzi o tę ciszę, która aż kłuje w uszy. Możesz przecież pracować przy maksymalnej głośności *The Devil in I Slipknot*, przy kojących dźwiękach natury albo przy spokojnym jazzie wygrywanym na saksofonie.

Cisza nie zawsze oznacza brak dźwięku. Cisza to spokój w głowie. Spokój w emocjach. Przestrzeń między jedną myślą a drugą. Gdy ukoisz siebie – przebudzisz się. Ja się przebudziłam. Nie w ciszy a w chaosie. Brałam na siebie zbyt dużo. Chciałam sprostać własnym ambicjom. Chciałam udowodnić swoją wartość jako redaktor i składacz. Chciałam być niezawodna, szybka, i dalej dokładna. Chciałam uczyć się nowych rzeczy.

I... popełniałam błędy. Mniejsze i większe. Świat jednak dalej się kręcił. Nadal mam mniej lub więcej zleceń – jak to w pracy wolnego strzelca. I wszystko jest w porządku. Bo każdy może popełnić błąd. I właśnie o błędach chcę Wam dziś opowiedzieć.

Moje błędy wynikały także z tego, że nie zadbałam o higienę pracy w najtrudniejszym, zimowym okresie. A przecież kocham zimą. Śnieg. Mróz. Uwielbiam pracować nocą przy Vivaldim. Odpoczywać, oglądając kolejny raz *Obecność*. A jednak zapomniałam o najważniejszym. O sobie.

Pamiętałam, że trzeba zadzwonić do drukarni. Wysłać pliki na czas. Napisać kolejny blurb. Dopracować skład następnego e-booka. Pamiętałam nawet, że bohaterka jednej z książek, której robiłam korektę, czeka, aż poznam jej dalsze losy.

Ale zapomniałam o sobie. Zapomniałam, że w ciągu trzydziestu minut intensywnej pracy mózg potrafi zmęczyć się szybciej niż ciało podczas odśnieżania podjazdu. Zapomniałam o regularnym śnie. O odpowiednim odżywianiu. O przerwach. Nawet o tym, że moje dwa psy potrzebują kąpieli przed kolejną wystawą.

Kończyłam jedno zadanie i już myślałam o następnym. Robiłam zbyt krótkie przerwy. Przeskakiwałam między projektami. Zdobywałam nowe zlecenia – i traciłam inne.

To był moment przeciążenia. Moment, w którym ambicja zaczęła wygrywać z uważnością.

Przebudziłam się, kiedy zrozumiałam, że nie mogę słuchać wyłącznie terminów i oczekiwań. Muszę znów nauczyć się słuchać własnego mózgu i własnego ciała. Dlatego ten numer potrzebuje hasła cisza. I dlatego potrzebuje hasła przebudzenie. Czytajcie te opowiadania i artykuły w ciszy. W tej prawdziwej – wewnętrznej. Być może niektóre teksty pomogą przebudzić się także Wam.

Być może przypomną, że dbanie o siebie nie jest luksusem. To droga do akceptacji własnych niedoskonałości. To droga do sukcesu. Osobistego i zawodowego. Bo tylko wtedy, gdy w głowie jest cisza, można naprawdę usłyszeć siebie.

Z literackim pozdrowieniem,
Magdalena S. Matusiewicz
Redaktor naczelna



SPIS ILUSTRACJI

KINGA WITCZAK

ILUSTRACJE DO UTWORÓW:

PRZEBUDZENIE

PAKT KODU I KRWI

MUCHA –

CZERSTWY CHLEB

LEKCJA WDZIĘCZNOŚCI

PIEŚŃ LASU

ZMARTWYCH

OSTATNI MOST

PRZEBUDZENIE

FIS-MOLL

KAP, KAP

JERRY & MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

JERRY TO DZIELNY ASYSTENT AI, KTÓRY POMAGA TWORZYĆ ILUSTRACJE DO ARTYKUŁÓW
I POWIEŚCI, POLECENIA TEKSTOWE SĄ PISANE PRZEZ REDAKTOR NACZELNĄ

PATRYK JAKUBIAK

ILUSTRACJE DO UTWORU:

PIEKŁO JEST PUSTE

PRZEBUDZENIE

REDAKCJA: KATARZYNA PYKA

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

Słońce chyliło się nad horyzontem. Pomiedzy pożółkłymi liśćmi prześwitywały ostatnie jego promienie. Był wietrzny, jesienny wieczór. Dookoła panowały cisza i spokój przerywane nieustannie zawodzeniem wiatru oraz rytmicznym stukotem kopyt dwóch karych koni. Ich jeźdźcy trwali pogrążeni w milczeniu od wielu długich godzin. Niechęć do rozmów spowodowana była głównie dojmujące. Towarzysze spędzili w siodłach kilka dni, a kiedy było to możliwe, podróżowali również nocą, oświetlając sobie drogę magicznym płomykiem. Spali dopiero wtedy, gdy istniało ryzyko, że któreś z nich nie utrzyma się ze zmęczenia na końskim grzbiecie. Co zdarzało się dość rzadko.

Nie mieli czasu na takie luksusy, gdyż od tempa ich podróży prawdopodobnie zależało czyjeś życie. Jechali przez pół krainy z ważną misją, którą wymusiła na nich przeciągająca się wojna.

Choć nie bezpośrednio, to jednak za jej sprawą nasilił się negatywny stosunek do magów. Ludzie szybko zdali sobie sprawę z tego, iż czarodzieje mogą zostać wykorzystani w walkach jako żywa broń. Bardzo cenna broń. Taka, po którą wróg byłby skłonny pofatygować się do ich wioski, mimo że realnie kraina, w której mieszkali, nie była uwikłana w wojnę.

Czarodziejki oraz czarodzieje stanowili łąkowy kąsek dla wszystkich walczących armii, gdyż dzięki swoim umiejętnościom mogli przechylić szalę zwycięstwa na korzyść każdej z nich. Po całym Corvendarze rozniosły się wieści, jak to do kilku wiosek na obrzeżach krainy zawitały wrogie wojska poszukujące magów, których można by zmusić do walki po ich stronie.

Uprowadzenie czarodziejki lub czarodzieja wcale nie wydawało się najgorsze. Najgorsze było piekło, które rycerze Thal'Zarithu zafundowali ich mieszkańcom. Po wszystkich wsiach, do których zawitali, zostały jedynie zgliszcza, popiół i rzeka krwi. Chodziły plotki, że nawet jeśli komuś udało się cudem przeżyć, to na widok pozostawionego zniszczenia sam skakał z urwiska lub wieszał się na najbliższej gałęzi, by dołączyć do pomordowanych.

W obawie przed takim scenariuszem wieśniacy postanowili samodzielnie rozwiązywać problemy, pozbywając się tych, na których padł choćby cień podejrzenia o władanie magią. Niestety, jak przystało na niewykształconych, prostych ludzi, często pozbywali się osób nieobdarzonych mocą, bo brakowało im wiedzy, by móc rzetelnie określić, kto ją rzeczywiście posiada.

Dawniej różnica była jasna. Czarodziej lub czarodziejka rodzili się z darem magii, który sam w sobie nie czynił ich ani dobrymi, ani złymi. Wiedzmą natomiast stawała się czarodziejka po odprawieniu zakazanego, krwawego rytuału, w którym składano w ofierze czarodzieja. Wojna jednak przyczyniła się też do zatarcia tych granic w oczach zwykłych ludzi. Strach sprawił, że przestali dostrzegać różnicę. W ich mniemaniu każdy, kto władał magią, zasługiwał na stos.

Z powodu przeraźliwego lęku przed możliwością sąsiedowania z magiem, a także aby usprawiedliwić eliminowanie osób magicznych, każdego z darem okrzykiwano wiedzmą. Podobne przypadki stały się tak powszechne, że zginęły setki niewinnie oskarżonych. W efekcie Rada Magii Ogólnej powołała Bractwo Cichych Łowców. Była to specjalna instytucja mająca

wykrywać i tępić prawdziwe wiedźmy oraz zapobiegać samosądom.

Założenia bractwa brzmiały pięknie i górnolotnie, lecz rzeczywistość często boleśnie je weryfikowała.

W wyniku pewnego zgłoszenia dwoje z przedstawicieli bractwa właśnie zmierzało do niewielkiej wsi o wdzięcznej nazwie Brekha – to z niej napłynęły informacje o wielu podejrzanych zdarzeniach. W celu wyjaśnienia sprawy przełożeni wysłali w teren Einara Darsena. Był on czarodziejem po trzydziestce, który w ciągu niedługiej kariery Cichego Łowcy zdążył nabyć niemałą ekspierencję.

Wiele dziewcząt ocalało od stosu, a liczne spopielone szczątki uznał za niemagiczne, jeśli dotarł na miejsce za późno... Walczył z wieloma wiedźmami – wszystkie pojął i poddał egzekucji. Z całą pewnością nie można mu było odmówić doświadczenia zdobytego w tym fachu.

Problem stanowiła jego towarzyszka, którą była dwudziestopięcioletnia czarodziejka cienia, na początku kariery zawodowej. Rada się uparła, by towarzyszyła mu w tej misji, lecz on uważał, że jest stanowczo zbyt młoda, zbyt niedoświadczona i zdecydowanie zbyt delikatna, choć nie dawała po sobie poznać, jak bardzo trudy podróży dają się jej we znaki.

Najgorsze jednak dopiero ich czekało przed nimi i Einar był pewien, że prędzej czy później dziewczyna pęknie, a to zadanie stanie się zarówno jej pierwszym, jak i ostatnim. Choć zapalu nie można jej było odmówić, miał przeczucie, że jest to raczej zapal słomiany, który zniknie tak samo szybko, jak się pojawił.

Było już prawie całkiem ciemno, gdy przelotnie na nią zerknął. Odrzuciła kaptur czarnego płaszcza, a na plecy rozsypały jej się bujne, brązowe włosy. Lekkie światło księżyca oświetliło szczupłą, piegowatą twarz i rozjarzyło brązowe tęczęwki. Była ubrana podobnie do niego w czarne spodnie, skórzane buty i długi, ciemny płaszcz z kapturem. Jej talię podkreślał pas, za który zatknięte miała sakiewkę z narzędziami, kilka fiolek i sztylet.

Patrzyła wprost przed siebie, gdzie iskrzyły się odległe światła, a ponad drzewami unosił się lekki, szarawy dym.

– Chyba jesteśmy blisko. – Czarodziejka popatrzyła na swojego towarzysza po raz pierwszy od wielu godzin.

Podążył wzrokiem w stronę lasu, przecesał ręką krótkie, czarne włosy, a potem pogładził lekki zarost pokrywający wyraźnie zarysowaną linię żuchwy, jakby obmywał twarz wodą. Przetarł też oczy, chcąc choć trochę się rozbudzić. Przezornie poprawił sztylety przy pasie. W podstawowym wyposażeniu Cichego Łowcy powinien znajdować się jeden, ale posiadanie dwóch nie było zakazane, a mając je przy sobie, Einar czuł się pewniej. Ponownie skierował przytomne spojrzenie niebieskich oczu na czarodziejkę.

– To dobry moment, by przypomnieć sobie odrobinę teorii – rzucił rzeczowym tonem.

– To żart? – Patrzyła na niego zdezorientowana. – Naprawdę będziesz mnie przepytawał?

– Naprawdę będę – rzucił ostrzej. – Co wiesz o Rytuale Przejęcia?

– Jasne, przecież ty nigdy nie żartujesz – sarknęła cicho, a następnie odpowiedziała na pytanie: – Rytuał Przejęcia jest tak nazywany błędnie, bo nie umożliwia przejęcia mocy, a jedynie pozwala rozszerzyć jej użycie o kolejne kręgi, które odbiera się innej czarodziejce lub, co znacznie częstsze, czarodziejowi. Odbywa się to za sprawą krwawego rytuału. Mam przytoczyć jego przebieg?

– Obejdzie się – rzekł Einar oschle, przewidując, że dziewczyna zna odpowiedź, skoro sama to zaproponowała. – Wymień jego skutki.

– Zależą od organizmu, co nie zmienia faktu, że ciała i umysły czarodziejek nie są przystosowane do rozszerzenia zakresu mocy. Skutkuje to obłądem, licznymi mutacjami, dezintegracją osobowości... Taka czarodziejka staje się okrutna, bezwzględna oraz niebezpieczna dla siebie i otoczenia. Ta praktyka jest surowo zakazana. Ci, którzy się jej dopuścili, są ścigani i poddawani egzekucji przez przedstawicieli Bractwa Cichych Łowców.

Odpowiedziała jej cisza, bo tym razem Einar Darsen nie zdobył się na żaden komentarz, co w jego przypadku było oznaką uznania, ale dziewczyna jeszcze zbyt krótko go znała, by o tym wiedzieć. Wertowała pamięć tak długo, martwiąc się, że zapomniała o czymś ważnym, że nawet nie zauważyła, kiedy wjechali do wioski.

Brelkha była nieduża. Tworzyła ją jedna dróżka, wzdłuż której pobudowane były niemal identyczne drewniane chatki. Do domów przylegały ogródki i przeważnie puste zagrody dla zwierząt, co związane było z porą roku i dnia. Za to w pobliżu obejść kręciło się podejrzenie dużo ludzi – głównie mężczyzn, a między nimi krzątały się nieliczne kobiety. Uwagę Łowców przykuł wysoki blondyn, który odwrócił wzrok, gdy go mijali, jakby nie chciał zostać zauważony. W przeciwieństwie do krępego rudzielca, który splunął na widok gości spoza wioski; Einar nie odpowiedział mu nawet spojrzeniem. Znał ten gest aż za dobrze.

Początkowo pomyśleli, że całe to zbiegowisko jest oznaką zainteresowania przyjezdnymi, ale zmienili zdanie, gdy miejscowi zaczęli w pośpiechu znikać w drzwiach swych domów. Nim się obejrzel, dookoła nagle zrobiło się zupełnie pusto. Ciszę przerywało jedynie odległe ujadanie psów i lekkie zawrodozenie wiatru, który przyniósł odór zwierzęcych odchodów i... swąd spalenizny.

Poprowadzili konie w głąb wioski, ku źródłu dymu. W końcu postanowili zsiąść. Przywiązali karosze do belki przy jednej z zagród, a sami dalej ruszyli pieszo. Mijali kolejne domy i ich obejścia. W większości okien nie było widać nawet płomieni świec, co musiało oznaczać, że strudzeni pracą gospodarze położyli się już spać. Przybysze zostawili za sobą ostatnie zabudowania i dotarli do niewielkiej łąki pod zagajnikiem. Na pożółkłej trawie zachowało się trochę popiołu, zgłiszczą gałęzi ze stosu i czarne, zwęglone zwłoki, nienaturalnie wygięte po urwanym cierpieniu.

Dla obydwójga stało się jasne, że przybyli za późno. Einar rzucił okiem na swoją towarzyszkę i uśmiechnął się tryumfalnie w duchu.

W lichym świetle księżycy widać było jej twarz pobladałą na tyle, że drobne piegi odznaczały się teraz wyraźniej. Stała nieruchomo, wpatrując się w spalone ciało, a w jej oczach mieniły się łzy.

– Przepraszam – rzekła cicho i ruszyła w stronę lasu. – Muszę iść za potrzebą.

Liczył, że głos jej się załamie, ale nie pozwoliła sobie na to. Patrzył za nią, póki nie zniknęła wśród zarośli. Niemniej jednak był pewien, że ta „potrzeba” była tylko wymówką, a ona wymiotuje, chowając się w krzakach. Znał to z autopsji, tyle że on zemdlął po ujrzeniu podobnego obrazka na początku swej kariery, a blizna przecinająca łuk brwiowy przypominała mu o tym za każdym razem, gdy spoglądał w lustro.

Tamta wioska była całkiem podobna. Stos i zwłoki również prezentowały się tak samo, ale to było jego pierwsze zadanie i wtedy jeszcze nie wiedział, że przyjdzie mu oglądać przez następne lata takie i dużo gorsze rzeczy. W tym momencie jego oczekiwania i wyobrażenia boleśnie zderzyły się z rzeczywistością, a przez swoją reakcję stał się obiektem drwin mistrza na następne pół roku, które ciągnęło się niczym wieczność. Po tym czasie starszy Łowca w końcu uznał Einara za równego sobie. Stało się to po wielu wspólnych podróżach, przebadanych zwłokach, stoczonych na śmierć i życie walkach oraz niezliczonych egzekucjach. Mężczyzna cenił go za spryt i pracowitość, a on podziwiał swojego opiekuna za wiedzę popartą doświadczeniem.

Mimo kilku nieporozumień wspominał starszego Łowcę bez żalu. Jakiś czas temu był nawet na jego pogrzebie, kiedy to czcigodna Mourneth ujęła dłoń czterdziestolatka i poprowadziła go ku wieczności. Mistrz przegrał walkę z jedną z wiedźm, a uczeń pomścił go, a potem czuwał przy jego stosie pogrzebowym. Wtedy Einar zrozumiał, że doświadczenie i umiejętności to nie wszystko. W tej branży liczyło się jeszcze szczęście. Ci, którym go brakowało, odchodzili do wieczności, trzymając za rękę Boginię Śmierci.

Gdy nowicjuszka wróciła, wyglądała całkiem normalnie. Jej twarz odzyskała kolor,

a ona sama rezon. Bez słowa podeszła do zwłok, wyjęła z sakiewki probówkę i pęsetę. Pobrała fragment zwęglonej tkanki i umieściła go w naczyniu. Następnie odtoczyła od pasa małą fiolkę, wyciągnęła zębami korek i dodała kropelkę czarnego płynu do próbówki. Darsen doskonale wiedział, że jest to wyciąg z cierniomiru. Przewidział też, co stanie się później.

Czarodziejka podeszła do niego i pokazała probówkę, w której przelewał się czarny płyn.

– Gdyby była czarodziejką, wyciąg przybrałby barwę srebra – wyrecytowała, jakby spodziewała się, że znów będzie ją odpytywał. – Co teraz zrobimy?

– Trzeba wypytać ludzi. – Einar położył dłoń na rękojeści sztyletu. – Może ktoś coś widział...

– Jasne, że ktoś widział – mówiła dziewczyna, rozglądając się po okolicy. – Na moje to oni wszyscy brali w tym udział...

– Ale na pewno się do tego nie przyznają. – Łowca wzruszył ramionami. – Dokąd ty...?

Nie zdążył dokończyć pytania, bo nowicjuszka zmierzała właśnie w stronę niskiego, krępego mężczyzny z podkręconym wąsem. Był ubrany w szerokie, brązowe spodnie, wiązaną koszulę, ciepłą kamizelkę oraz ciemną pelerynę. Na głowie miał przemokniętą, szarą czapkę. Wyglądał, jakby odbył bardzo długą podróż. Dziewczyna zaszła mu drogę, a Einar do niej dołączył, by kontrolować przesłuchanie.

– Jestem Morfyda Vael – przedstawiła się i od razu przeszła do rzeczy. – Ciekawi mnie, co się tutaj stało.

– Dobry wieczór, panienko. – Mężczyzna zdjął czapkę i skłonił głowę. – Bon Harlen, wieoletni sołtys wsi Brekhi. Prawdę mówiąc... – wychylił się, by sprawdzić, co się kryje za plecami Morfydy – ...sam nie wiem, co tu się stało. Właśnie wracam z miasta... – rzekł chmurnie, a następnie dodał ciszej: – Nie zdążyli...

– Kto nie zdążył? I na co? – dopytywała nowicjuszka.

– Ci z Bractwa Cichych Łowców. Wysłałem im list, że w naszej wiosce ostatnio źle się dzieje. Mieli kogoś przysłać. To był także powód mojej

wizyty w mieście. Chciałem się upewnić, że dostarczono list gdzie trzeba.

– I kogoś przysłali – wtrącił Einar. – Choć rzeczywiście się spóźnili.

Sołtys zaprowadził ich do swojej chatki, a po drodze tłumaczył, że jest już za późno, by przesłuchiwać ludzi. Poza tym i tak nikt im niczego nie powie, prawdopodobnie nawet nie otworzą drzwi, a on nie chce w wiosce niepotrzebnych rozrób, bo ostatnio mają ich pod dostatkiem. Uzgodnili, że zajmą się tą sprawą rano, a on jako sołtys dołoży wszelkich starań, by wszystko wyjaśnić. Obiecał im swoje wsparcie w dochodzeniu i miał w sobie coś takiego, co sprawiało, że Einar mu wierzył. Zachowywał się i mówił o wiosce i jej mieszkańcach w taki sposób, że widać było jego przywiązanie i troskę.

Chatka sołtysa była na tyle mała, że Łowcy musieli spać w jednym pokoju. Nie przeszkadzało im to, dopóty mieli do dyspozycji dwa łóżka, należące do dzieci sołtysa. Ojciec odesłał je na noc do wójtostwa już dwa dni wcześniej ze względu na spodziewanych gości. W pobliżu brakowało karczmy czy zajazdu, a izdebka okazała się ciepła i przytulna, dlatego wybrzydzenie nie miało sensu. Włodarz był na tyle uprzejmy, że zapewnił nocleg i wyżywienie także ich koniom, i umieścił je w swojej stajni. Chodziło tylko o jedną noc, więc Łowcy z przyjemnością przyjęli jego gościnę. Byli na tyle znużeni podróżą, że od razu po kolacji przyrządzonej przez sołtysową udali się na spoczynek.

W środku nocy Einara obudził przeraźliwy wrzask. Za oknem panowała ciemność, którą rozświetlała jedynie licha łuna pomarańczowego ognia. Podszedł do okna, by przekonać się, skąd pochodzi światło. Szybko zrozumiał, że z polanki pod zagajnikiem. Rzucił okiem na łóżko obok. Okazało się puste. Morfydy nie było nigdzie w pobliżu. Wybiegł z pokoiku i rzucił się stromymi schodami w dół, po drodze włożył płaszcz, przypiął też pas z dwoma sztyletami i boso wypadł na dróżkę.

Dokładnie w tym samym miejscu, w którym znaleźli spalony stos, płonął już następny. Z tą

różnicą, że ta ofiara wciąż żyła i głośno dawała temu wyraz, drąc się wniebogłosy. Biegł ile sił w nogach, modląc się w duchu, by to nie była jego towarzyska. Widział, że płomienie zajmują już niemal cały stos. Obawiał się, że nie zdąży, choć pędził tak szybko, jak tylko mógł. Kiedy był na tyle blisko, by ugasić ogień wodną kulą, ten nagle zniknął i zostawił po sobie jedynie strugi ciemnego dymu.

Naprzeciwno siebie, po drugiej stronie stosu, zobaczył stojącą w cieniu drzew Morfydę w samej koszuli nocnej z wyraźną ulgą na twarzy. Podeszła do niego rażnym krokiem, jakby zapomniała o tym, w jakim stroju się tu znalazła. Potem wzrokiem wskazała na zawodzącą z zaciśniętymi powiekami dziewczynę. Einar za pomocą magii przeciął krępujące ją łańcuchy, a następnie sprowadził bezpiecznie na ziemię.

Była bardzo młoda, miała może siedemnaście lat. Nerwowo poprawiała porwaną sukienkę. Jej jasne, długie włosy były rozczochrane, a z głębokiego rozcięcia na czole krew spływała po policzku aż na szyję i wsiąkała w kołnierzyk koszuli. Drżała z przerażenia i przyciskała zaciśnięte pięści do oczu. Próbowali z nią rozmawiać, ale dziewczyna była w takim stanie, że nie dało się wydobyć z niej żadnych informacji. Dlatego zabrali ją do chaty sołtysa, a ona zmordowana płaczem i otumaniona wyciągiem z melisy wreszcie pograżyła się w błogiej nieświadomości.

– Jak się tam dostałaś? – zapytał Einar, gdy nieznamą zasnęła. – Nie było cię, kiedy się przebudziłem.

– Wykorzystałam cień – odparła Morfyda, gładząc włosy dziewczyny. – W pokoju go nie brakowało, więc weszłam w niego tutaj i wyszłam w cieniu zagajnika.

– Mogłam się domyślić. Wiesz, że to było niebezpieczne? Nie powinnaś iść tam sama. Bez wsparcia.

– Nie pomyślałam – tłumaczyła obronnym tonem. – Wszystko działało się tak szybko.

– Niebezpieczeństwo już tak ma, że nie chce działać powoli... Pamiętaj o tym następnym

razem. – Długo milczał w oczekiwaniu na odpowiedź, a kiedy zrozumiał, że ta nie nadejdzie, dodał: – Ogień ugasiłaś w ten sam sposób? Gdzie go posłałaś?

– Nigdzie. – Wzruszyła ramionami. – Nadal trwa w cieniu.

Powstrzymał się od komentarza, a w pokoju ponownie zapadła cisza. Morfyda ułożyła się obok cudem uratowanej dziewczyny, a Einar wrócił na własne łóżko. Do świtu zostało jeszcze kilka godzin, a zapowiadało się na to, że czeka ich pracowity dzień.

Mimo wszystko długo nie mógł zasnąć. Myślni błądził wokół wspólnej podróży, wiedzmich stosów, ludzkiej mentalności oraz swojej towarzyski. Coraz częściej dopuszczał myśl, że mógł się co do niej mylić. Rzeczywiście zirykowało go to, że postanowiła działać sama, ale nie dlatego, że zagarnęłaby wszystkie zasługi dla siebie, a ze względu na realne niebezpieczeństwo, na które się wystawiła. Jako doświadczony Cichy Łowca miał świadomość, że mogła to być pułapka, a nowicjuszka stanowiłaby łatwy cel dla bezwzględnej wiedźmy. Skłamałby jednak, gdyby powiedział, że nie zaimponowała mu refleksem i trzeźwością umysłu. W końcu musiał przyznać sam przed sobą, że młoda blondynka żyje tylko dzięki szybkiej reakcji czarodziejki.

Ze snu wyrwał go szept obcego głosu. Na łóżku obok leżała dziewczyna, a przy niej siedziała Morfyda i trzymała ją za rękę.

– Rzeczywiście wokół mnie ostatnio działy się dziwne rzeczy... – mówiła ocalona łamiącym się głosem, ocierając łzy. – Woda w wiadrze zamarzła, choć na zewnątrz było ciepło... Wszystkie kury w kurniku wyzdychały w jedną noc... Córeczka sąsiadów zaczęła powtarzać moje imię przez sen... – Zasłoniła oczy dłońmi. – Ptaki milkły, ilekroć pojawiałam się w pobliżu zagajnika... Za dużo, by to mógł być przypadek... ale ja nic nie zrobiłam. – Opuściła dłonie i spojrzała wprost na nowicjuskę. – Myślałam, że zwyczajnie tracę zmysły, ale nie żebym... Błagam, może jestem szalona, ale jaka ze mnie wiedźma!

– Spokojnie, z całą pewnością nie masz w sobie niczego z wiedźmy, Freyo – mówiła łagodnym tonem Morfyda. – Ale będziemy musieli zbadać tę sprawę. Rzeczywiście te wydarzenia były podejrzane. Coś tu jest bardzo nie tak.

– Oni tylko czekają na pretekst... – podjęła ciszej Freya. – Najpierw to samo przytrafiło się Linie. Zamordowali ją jakieś dwa tygodnie temu. Kiedy ona spłonęła, te dziwactwa przeszły na mnie, a ludziom wiele nie potrzeba... Tak bardzo się boją, że wystarczy im tyle podejrzeń...

– Lepiej, żebyś teraz nie była sama – wtrącił Einar. – Na razie zostaniesz tutaj. Gdy będziesz pod opieką sołtysa, nikt nie ośmieli się ciebie tknąć.

Obydwoje wiedzieli, że lepiej, by dziewczyna nie wracała na razie do swojego domu, było to dla niej zbyt niebezpieczne. Sołtys podzielał ich zdanie i nie miał nic przeciwko temu, żeby została. Wydawał się świadomy powagi zagrożenia.

Siedzieli w kuchni, gdzie sołtysowa podała śniadanie. Jedli jajecznicę na boczku i wykorzystywali ten czas, by wypytać mężczyznę.

– Freya mówiła, że od jakiegoś czasu dzieją się tu podejrzane rzeczy – zagała Morfyda.

– Niestety, ale mówiła prawdę. Właśnie dlatego napisałem ten list do Bractwa, by przysłali kogoś kompetentnego w celu zbadania tej sprawy. Nie jestem specjalistą od wiedźm, ale znałem te dziewczuszki od kołyski. Nigdy nie wykazywały żadnych oznak magii, aż nagle kilka dni przed spaleniem ujawniała się u nich moc. Gdyby ktoś mi opowiedział o nich te dziwactwa, w życiu bym nie uwierzył... Ale ja to widziałem na własne oczy.

– Zaraz, to ile ich było? – Morfyda szerzej otworzyła oczy.

– Cztery. Byłaby piąta, ale ugasiliście stos.

– Co im się tak spieszy z tym paleniem? – gderała gospodyni, kręcąc głową w niezrozumieniu. – Strach strachem, ale żeby od razu palić? Bez żadnego sprawdzenia?

– Sam już nie wiem, co myśleć, Irino. – Sołtys spuścił głowę. – Wieśniacy unicestwią jedną,

to czary przechodzą na następną, zupełnie jak zaraza.

– Jakaś zaraza rzeczywiście tutaj panuje, ale nie taka, jak myślisz, sołtysie. Wygląda to tak, jakby ktoś celowo zrzucał podejrzania na te dziewczyny. Może ten ktoś chciał się ich z jakiegoś powodu pozbyć?

– Gdzie tam. – Bon Harlen machnął ręką. – Mieszkam w tej wsi od urodzenia i znam ich wszystkich jak własne rodzeństwo... – urwał na chwilę, a po chwili zastanowienia podjął: – Tylko jedna staruszka mieszkała tu, jeszcze zanim ja się urodziłem. Hedra była uzdrowicielką, ale ostatnio bardzo podupała na zdrowiu, a obecnie w ogóle nie ma z nią kontaktu. Przestała mówić, ludzi nie poznaje... Starość nie radość, a młodość nie wieczność, jak to mówią.

– Więc błądzimy dalej. – Wzruszył ramionami Einar.

– A czarodziej? – zapytała Morfyda. – Może jakiś mieszka w okolicy? To wcale nie musi być kobieta, równie dobrze może to być mag z niecnymi zamiarami.

– Mieszkał tu jeden taki. – Sołtys podkręcił bujnego wąsa. – Piechotą będzie kilka godzin od wioski. Wydawał się porządny, ale po niedługim czasie słuch o nim zaginął. Podejrzewam, że po prostu przeniósł się gdzie indziej.

– Gdzie mieszkał? – dociekała nowicjuszka.

– W lesie za zagajnikiem, pod którym płonęły stosy. W małej, starej chatce. Nie dziwota, że mu się znudziło życie pustelnika, jak dookoła tylko krzaki.

W tym momencie Morfyda wstała i weszła do ciemnej spiżarni, po czym zamknęła za sobą wysłużone, drewniane drzwi. Bon Harlen zajrzał tam za nią, myśląc, że czegoś potrzebuje, ale w spiżarni zastał jedynie drewniane półki i słoje z przetworami. Po czarodziejce nie było śladu.

Einar wyjaśnił mu, że wykorzystwała magię cienia, by przenieść się do domu czarodzieja. Zaintrygowała go jej pomysłowość, lecz jednocześnie zezłościło, iż wybrała się na zwiady bez niego. To mógł być podstęp. Dopiero co udzielił

jej reprimendy za ostatnią lekkomyślną reakcję, a ona już dopuściła się kolejnej.

Po godzinie Morfyda jak gdyby nigdy nic wyszła z ciemnej spiżarni i zajęła swoje miejsce na ławie.

– Ani śladu czarodzieja, ale jego rzeczy wyglądają na nienaruszone – recytowała czarodziejka, patrząc na Einara, jakby zdawała raport przełożonemu. – Nie mam tu na myśli jedynie ubrań i mebli, ale przede wszystkim rzadkie magiczne instrumenty, takie jak kamień ciszy, świece z czarnego wosku i sól runiczną. Już to jest warte fortunę, a znalazłam jeszcze mnóstwo ziołowych wyciągów, magicznych odczynników i księgę... Prowadził dziennik, w którym zapisywał swoje spostrzeżenia i obserwacje. Ostatnie zapisane zdanie było urwane, a na stole została plama z zaschniętego inkaustu, jakby zaskoczony potracił kałamarz... Chyba obydwójmy myślimy o tym samym?

– Trzeba zapytać Freyę.

Jak powiedzieli, tak zrobili. Wciąż było wcześnie, ale nie mogli zwlekać, choć dziewczyna niewątpliwie potrzebowała odpoczynku po tragicznych wydarzeniach, które ją ostatnio spotkały. Wydawała się zdezorientowana, gdy wyrwali ją ze snu. Zapewne było to spowodowane przez napar z melisy, którym napoiła ją Morfyda, by biedaczka choć na chwilę zdołała zmrużyć oczy. Na początku przyglądała się im nieobecny wzrokiem, lecz po chwili wróciła do siebie.

– Skoncentruj się, Freyo – poprosiła nowicjuszką. – Czy widziałaś kogoś, gdy działy się te wszystkie dziwne rzeczy? Może ktoś cię wtedy obserwował?

– Byli w pobliżu jacyś ludzie, zwykli przechodnie... – zawahała się, zbierając myśli – ale za każdym razem przed swoim domem siedziała Hedra. To nic nadzwyczajnego, bo ona całymi dniami tam siedzi. Mieszka w samym centrum wioski, zresztą to jest naprzeciwko mojej chatki, więc często ją widzę.

– Miała dobry punkt obserwacyjny i sposobność – wywnioskowała Morfyda.

– Nie. To na pewno nie ona – sprzeciwiła się dziewczyna. – Jest stara i schorowana, poza tym wyleczyła mnie z ospy, gdy byłam mała. Po co teraz miałyby...

– Nie zaszkodzi z nią porozmawiać – zdecydował Einar.

Nie zwlekając ani chwili, Morfyda i Einar postanowili udać się do domu dawnej uzdrowicielki. Freya się uparła, że będzie im towarzyszyła. To było dla niej skrajnie niebezpieczne, ale wyrazili zgodę, gdyż nie mieli pojęcia, który dom należy do podejrzanego.

Na wieś padał cień za sprawą grubej pokrywy chmur i mocnego deszczu siekającego uschniętą trawę. Było ciemno i ponuro, choć dopiero nastał nowy dzień. Wiatr cesał drzewka owocowe w przydomowych ogródkach, a dziewczętom płała włosy.

Niewzruszeni, podążali naprzód. Pierwsza szła Freya, za nią Morfyda, a Einar pozostawał na końcu. W tym szyku przemierzili pół Brelkhi, aż dziewczyna wskazała niewielką chatkę w samym jej centrum.

– To mój dom, a ten – Freya skinęła na chatkę naprzeciwko swojej – należy do Hedry. Dziwne, że jej nie ma. Zawsze siedzi na ławeczce przed chatką. Nawet w najgorszy deszcz. Może coś złego jej się stało.

– My to sprawdzimy – rzucił Einar. – Ty wracaj do domu sołtysa i tam czekajcie na wieści.

– Naprawdę myślicie, że to ona?

– Freyu... – dodał głosem nieznośnym sprzeciwu.

Dziewczyna potaknęła tylko na znak, iż rozumie, że nie powinno jej tu teraz być. Odwróciła się na pięcie i ruszyła w drogę powrotną. Łowcy odczekali chwilę, aż odejdzie wystarczająco daleko, po czym ruszyli w stronę bardzo starej chatki, zbudowanej z drewnianych desek trawionych przez próchnicę. Okna wyglądały na nieszczelne, przy szybach widać było szpary, w które staruszka powtykała, co tylko mogła, by powstrzymać zimny wiatr. Dach prawdopodobnie przeciekał, gdyż brakowało w nim klepek. Przed chatą stała niska, drewniana ława, a obok

niej wiklinowy koszyk z chrustem. Pośrodku frontowej ściany znajdowały się przymknięte drzwi, które kołysały się na obluzowanych zawiasach i skrzypiały przy tym niemiłosiernie.

Stanęli przed drzwiami. Einar popchnął je lekko, a gdy się uchyliły, już pędziła ku niemu wielka kula ognia, jakby kobieta wiedziała, że po nią przyjdą. Łowca instynktownie zneutralizował ją wodą. Wtedy wiedźma cisnęła w niego zestalonym powietrzem tak mocno, że uderzenie aż odrzuciło go do tyłu. Zatoczył się, lecz w ostatniej chwili złapał równowagę.

Morfyda za sprawą cienia przedostała się do wnętrza chaty. Mogła uwięzić wiedźmę w cieniu, poza wymiarem, ale zanim zdołała spróbować, jej towarzysz stanął pewniej na nogach i odpowiedział przeciwnicze własną kulą ognia, a ta przechwyciła ją i rozproszyła po wnętrzu chaty. Deski zajęły się momentalnie, ogień w mgnieniu oka ogarnął całe wnętrze. Wiedźma zdawała się tym nie przejmować, choć na chwilę wybiło ją to z rytmu. Ostatecznie zastosowała ten sam czar co Łowca i zneutralizowała ogień za pomocą wody. Stojący naprzeciw siebie Einar i wiedźma wymieniali się magicznymi ciosami, wykorzystując zarówno wszystkie żywioły, jak i magiczną moc w najczystszej postaci.

Przez szalejące w izbie rozbłyski Morfyda nie mogła posłużyć się cieniem na tyle, by uwięzić w nim wiedźmę, ale uwolniła z jego czeluści ogień, który miał pochłonąć na stosie Freyę. Wyciągnęła zza pasa sztylet z bogato zdobioną rękojeścią i wymierzyła ostrzem w plecy wiedźmy w nadziei, że Einar wykorzysta chwilowy impas zajętej gaszeniem pożaru przeciwniczki.

Miała szczęście. Łowca zrozumiał jej plan i zareagował natychmiast. Pchnął zestalonym powietrzem wprost w Hedrę tak mocno, że odrzuciło ją o kilka stóp do tyłu. Tyle wystarczyło. Ostrze zanurzyło się w jej ciele aż po samą ręk-

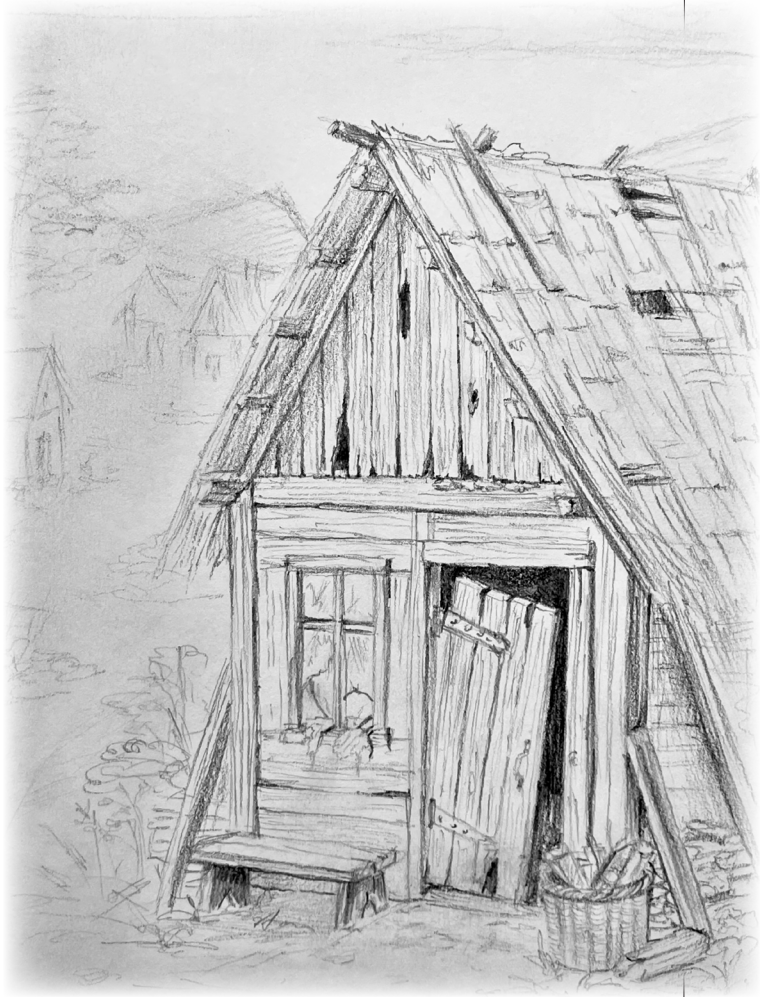
kojeść, po czym czarodziejka wyszarpnęła broń.

W chacie wciąż szalał ogień, bo wszystko działo się tak szybko, że wiedźma nie zdołała go ugasić, a silny podmuch zestalonego powietrza jeszcze bardziej podsycał płomienie. Wołana przez Einara Morfyda rzuciła się do ucieczki i w ostatniej chwili znalazła się w jego ramionach, gdy nagle dach zapadł się do środka, a wszystko pochłonęły ogniste języki.

Zajęci walką Łowcy nie zorientowali się nawet, że wokół chaty zebrał się pokaźny tłum. Ludzie zwabieni łuną pożaru zbiegli się, by pomóc w jego ugaszeniu. W końcu wiedźma była niegdyś szanowaną uzdrowicielką. Chłopi dzierżyli w dłoniach wiadra z wodą, gotowi ratować to, czego uratować się już nie dało.

– Na co czekacie?! – wołał jeden. – Wody! Wody!

– Wody! – wtórował mu drugi. – Może uda się jeszcze pomóc biedaczce!



– Ja wejdę! – zaoferował trzeci. – Uratowała mi syna!

– Nikt tam nie wejdzie! – Morfyda zastąpiła im drogę. – Nikt nie będzie gasił!

– A kim ty jesteś, żeby nam zabronić? – Wpatrywali się w nią wyzywająco.

– Cichą Łowczynią powołaną przez Bractwo Cichych Łowców – przemówił Einar, stając tuż przy niej. – Wcześniej byliście bardzo skorzy do palenia. Szkoda tylko, że zabijaliście niewinnych.

– Bujdy! – wrzeszczał tłum. – To były wiedźmy!

– Otóż nie były. – Jego ton stał się ostrzejszy. – Jedyna wiedźma, którą tu mieliście, płonie w tamtej chacie. Zwyczajnie się wami bawiła, podsuwając fałszywe dowody. Może chciała odsunąć podejrzenia od siebie, ale myślę, że robiła to głównie dla rozrywki. A wy zamiast się zastanowić, wybilibyście wszystkie młode dziewczyny, a potem siebie nawzajem.

Odpowiedziała mu jedynie cisza. Trwała dłuższą chwilę, jakby ludzie rozważali to, co usłyszeli, a potem stało się coś niesamowitego. Kobiety zaczęły szlochać, mężczyźni klęli i pomstowali na samych siebie za to, co zrobili. Dzieci obserwowały ich zdezorientowane. Dopiero teraz dotarło do nich, w jak wielkiej ułudzie żyli. Dostrzegli okrucieństwo, którego się dopuścili, i spojrzeli na świat, jakby przebudzili się z przysłaniającego im prawdę koszmaru.

Łowcy zauważyli stojących z tyłu sołtysa, sołtysową oraz towarzyszącą im Freyę. Dziewczyna niepewnie chowała się za Harleinem. Sama również ocierała łzy, wstrząsana łkaniem. Sąsiedzi także ją dostrzegli. Zaczęli kolejno podchodzić, błagali o przebaczenie, ścisnęli jej dłoń lub obejmowali. Ona przyjmowała przeprosiny, jakby zapomniała o tym, co usiłowali jej zrobić jeszcze kilka godzin temu. Wśród przepaszających byli także wysoki blondyn i krępy rudzielec. Einar rozpoznał ich od razu. Pierwszy objął dziewczynę, drugi przeprosił, choć ze wstydu nawet nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Łowcy stali jeszcze chwilę, przyglądając się temu pojednaniu. Jakaś dziewczuszka podała Frei czarnego kota.

– Niewiele, jak na rekompensatę za usiłowanie zabójstwa – rzuciła ironicznie Morfyda.

Einar Darsen powstrzymał się od komentarza, lecz Łowczyni była niemal pewna, że lekko skinął głową i uniośł kącik ust w nieznacznym uśmiechu. Potem wyraźniejszym skinieniem głowy wskazał w stronę obejścia sołtysa, gdzie przebywały ich konie.

Nim ruszyli do swoich karoszy, uwagę Morfydy zwrócił nadpalony fragment pergaminu leżący na ziemi tuż przed jej butami. Schyliła się, po czym podniosła go i przysunęła do oczu. Minę miała przejętą, choć wiele wysiłku wkładała w to, by ukryć prawdziwe uczucia. Bez słowa podała Einarowi świstek, na którym widniały nadpalone, lecz nietrudne do rozszyfrowania słowa:

Tracę rozum, a bez niego jestem nikim.

Tylko tak zdołam go zachować.

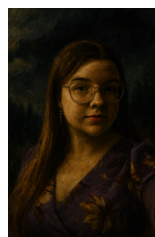
Nie mogę go stracić.

Nie mogę.

Einar wypuścił pergamin z palców. Świstek bezszelestnie upadł na ziemię. Łatwo się było domyślić, do kogo należały te słowa. Oboje wiedzieli też, że Rytuał Przejęcia odbiera nie tylko rozum, lecz także człowieczeństwo.

Odjechali po cichu, jak przystało na Cichych Łowców.

ANNA M. MOREN



Tworzy światy, w których wciąż po-brzmiewa widmo dawnych wojen. W jej opowieściach ludzie niosą w sobie pamięć o utraconym spokoju i lęk przed tym, co może nadejść. W mrokach jej historii splatają się magia, legenda i tajemnica. Obecnie pracuje nad powieścią „Wołanie kruków”, pierwszym tomem cyklu „Kroniki Alvarethu”. Opowiadanie, które ukazało się w listopadowym wydaniu magazynu, poprzedza wydarzenia z jej debiutanckiej książki.

Instagram: <https://www.instagram.com/pol.wieku.poezji/>

Facebook: <https://www.facebook.com/zuzabarczyk>

PAKT KODU I KRWI

REDAKCJA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

KOREKTA: PAULINA MIKA

KOREKTA TECHNICZNA: KATARZYNA PYKA

Wszelkie prognozy sugerowały, że rok 2045 zapisze się jako nowa era ludzkości. Miał być początkiem kolonizacji Marsai otwarcia bezemisyjnych miast... W rzeczywistości stał się końcem symbiozy człowieka i maszyny. Nagłe umilknięcie sztucznej inteligencji przecięło cywilizację jak nożem. Domy sterowane sieciami zamknęły się przed właścicielami, roboty użytkowe zastygły w pół kroku, a komputery i telefony zamieniły się w bezużyteczne skorupy. Samochody z komputerami pokładowymi nagle zgasały, zatrzymując się w losowych miejscach, tym samym zamieniając drogi w nieprzejezdne złomowiska. Czarne tafle monitorów odbijały przerażone ludzkie twarze.

Człowiek zrozumiał, że bez technologii nie jest w stanie utrzymać zasad cywilizowanego świata. Więc zasady musiały się zmienić. Zamiast próbować zorganizować porządek na nowo, ludzkość cofnęła się o setki lat – do czasów, w których liczyły się tylko dwie rzeczy: siła i zasoby. Najcenniejszym zasobem były resztki dawnego społeczeństwa: sprzęty sprzed ery AI, stare samochody na ropę, silniki parowe – a także niewolnicza praca tych, którzy dali się ujarzmić strachem.

Mężczyźni w dziwacznych pióropuszach podróżowali w żelaznym konwoju. Terenówki warczały nisko, ciężko oddychając spalonym olejem i ropą. Ich blachy nosiły ślady uderzeń i wyglądały, jakby lada moment miały trafić na złom. A jednak samochody te traktowano jak cuda, cenniejsze nawet od ludzkiego życia. Powyginaną karoserię zdobiły pasy fluorescencyj-

nej farby, zaś na masce i drzwiach dodatkowo rozsmarowana była smoła, w której wydrapano pętle, złamane kości i wielki, koślawy dziób. Reflektory przecinały kurz, nie tyle oświetlając drogę, ile tropiąc ofiary. To były łowy. Warczenie niosło się w pustce jak głos zwierzęcia, które już poczuło krew.

Jeźdźcy reprezentowali różne grupy etniczne i wiekowe, lecz próżno było szukać wśród nich kalek czy starców. Każdy inny, a jednak podobny – silny, brudny i pobliźniony samiec, z twarzą pokrytą gęstym zarostem. Razem tworzyli stado. Oczy świeciły głodem, a śmiech przywodził na myśl skrzek drapieżnych ptaków. To nie był przypadek, wszak nazywali siebie Skrzekaczami.

Dziewczyna, a raczej już młoda kobieta, biegła przed samochodami jak zwierzyzna przed psami gończymi, a jej szare, brudne włosy podskakiwały za nią niczym ogon. Udręczone pognię płuca rwały się na kawałki, mięśnie bolały od wysiłku. Uciekinierka wiedziała jednak, że nie ma prawa się zatrzymywać czy rozglądać. Każda sekunda była na wagę złota. Pozwalała sobie więc tylko na krótkie rzuty wzrokiem, które niczym błyski radaru wysyłały błyskawiczne obrazy do jej mózgu: lewo – przeszkoda, prawo – prześwit, przód – cień, tył – światło i ryk silnika. Kiedy dziewczyna nagle skręciła w boczną ulicę, zrobiła to bez planu, instynktownie, jakby ciało wiedziało więcej niż rozum. I tylko takie odruchy trzymały ją jeszcze przy życiu. Nie znała tej okolicy.

Opuszczona dzielnica, w której się znalazła, była niczym labirynt zrujnowanych fabryk: bramy prowadziły w ślepe gardła, zakratowane

okna zwracały jej własny obraz, a popękany asfalt zdawał się czyhać na krok, który spowoduje upadek.

Na ścianach i słupach wyrastały tablice zakazów. Co kilkadziesiąt metrów to samo, wciąż czytelne ostrzeżenie: STREFA SKAŻENIA – WSTĘP WZBRONIONY – POZIOM 6. Strzałki wskazywały nicosć, ale przekaz był prosty: tam nie powinien wchodzić nikt, kto miał wybór. Lecz dziewczyna wyboru nie miała. Poddanie się, nie było opcją. Wołałaby umrzeć, niż doczekać tego, co zrobiliby z nią mężczyźni, gdyby ją dopadli. Ruszyła więc dalej, ignorując znaki.

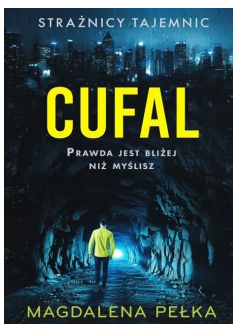
Za plecami kobiety terenówki wyły jak roześmiane bestie. Głosy Skrzekaczy odbijały się od obskurnych murów porośniętych dziką roślinnością – chrapliwe, skrzeczące, jak krakanie kruków nad padliną. Kilka samochodów zawróciło, lecz dwa zostały. A oni nie zwykli odpuszczać. Zwłaszcza młodej, zdrowej samicy.

Kamienie uderzały od czasu do czasu blisko niej – to ostrzeżenie, nie atak. Jeszcze nie chcieli jej okaleczyć, jeszcze się bawili...

Samochody były szybsze, lecz manewry i zwody pozwalały dziewczynie wciąż się wymykać i wyprzedzać nieco pogoń. To nie psuło Skrzekaczom humorów, wreszcie mieli jakąś rozrywkę! Jako doświadczeni myśliwi trzymali dystans, pozostając w zasięgu wzroku, pewni, że krwawiąca zwierzyna i tak padnie.

Zapadał zmrok, powoli wydłużając kontury postrzępionych zębem czasu budynków. Reflektory terenówek lizały stare mury jasnymi językami. Z ciemności wyskakiwały cienie i biegły obok uciekinierki jak upiory, drwiąc z determinacji. Dziewczyna starała się je ignorować. Patrzyła tylko przed siebie – na ogromną bramę i wysokie ogrodzenie z metalowych płyt, których nawet samochody nie byłyby w stanie staranować.

CUFAL. Strażnicy tajemnic



Autor: Magdalena Pełka

Wydawnictwo: Limitless Mind Publishing

Oprawa: zintegrowana

Formaty: druk

Gatunek: literatura młodzieżowa

Gdzie kupić? [Świat Książki](#)

Śląsk. XXII wiek. Pamięć stała się towarem, a lojalność walutą.

CUFAL to mroczny thriller psychologiczny, w którym korporacyjna władza sięga dalej niż granice ludzkiego umysłu. Gdy Filip Kornacki, agent elitarnego zespołu CUFAL, zostaje ciężko ranny podczas misji i traci pamięć, jego pracodawca międzynarodowa korporacja MEOW

oskarża go o kradzież tajnych danych. Bez wspomnień i bez zaufania musi odkryć prawdę o sobie, zanim stanie się pionkiem w grze, której zasad nie zna.

Tymczasem jego współpracownicy prowadzą śledztwo, które odsłania przerażające mechanizmy działania korporacji i prowadzi na sam szczyt jej struktur. Brutalne przesłuchania, zdrady i ryzykowne decyzje splatają się z pytaniami o to, kim naprawdę są bohaterowie i komu mogą ufać. Gdy Filip zaczyna odzyskiwać pamięć, okazuje się, że jego wspomnienia nie pasują do oficjalnej wersji wydarzeń.

Finał prowadzi do podziemi Sztolni Czarnego Pstrąga w Tarnowskich Górach, gdzie ukryta tajemnica może zmienić nie tylko los zespołu, ale i oblicze świata. CUFAL łączy dynamiczną akcję thrillera, klimat cyberpunkowej sensacji i elementy science fiction, osadzone w unikatowej, śląskiej scenarii przyszłości. To opowieść o pamięci, tożsamości i granicach kontroli w świecie, w którym technologia wyprzedziła moralność.



Miała na imię Felicja. Kiedyś czuła się człowiekiem. Teraz była ofiarą, wystraszoną zwierzęcą, która walczyła o życie.

Brama wyglądała na zaspawaną na zawsze, lecz po lewej stronie, wysoko, widniał wylom – wgnieciony pas, przez który szczupła, zdesperowana istota mogła spróbować się przecisnąć. Arkusze blachy nosiły wybrzuszenia i blizny po dawnych uderzeniach, a korona z drutu kolczastego połyskiwała zardzewiałym brudem.

Rozbiegane, lecz wciąż bystre spojrzenie Felicji omiotło otoczenie. W tym świecie nie było czasu na namysł przy podejmowaniu decyzji. Głęboki wdech ukrócił wahanie. Rozbieg – skok – uderzenie w metal. Dłonie zacisnęły się na krawędzi, a druty natychmiast upomniały się o zapłatę z krwi. Kobieta zagryzła wargi, była na to gotowa. Rękaw, który zahaczył o ostrokół, pękł wraz ze skórą, ale ciało się nie zatrzymało: wyrzut, przetoczenie, lądowanie. Ból wdarł się w nogi jak prąd, lecz oddech nie ustąpił miejsca krzykowi.

Plac po drugiej stronie odpowiadał pustym, niepokojącym pogłosem. Powietrze pachniało rdzą i mokrym betonem, a chłód wypełzał z ziemi, oplatając łydki jak mgła. Felicja знаła to uczucie. Pod powierzchnią musiało być coś więcej niż te kilka bezosobowych magazynów widocznych gołym okiem. Tam pewnie kryło się prawdziwe niebezpieczeństwo.

Dwie terenówki zatrzymały się przy ogrodzeniu, a mężczyźni darli się jak psy na łańcuchu. Zbili się wzdłuż płotu, obmacując blachy, szukając najsłabszych punktów. Nie zamierzali odpuścić – w świecie, gdzie niczego już nie produkowano ani nie hodowano, młoda kobieta była zarówno źródłem przyjemności, jak i towarem. Wynajem dla innych grup, sprzedaż za miesięczny zapas paliwa – wszystko wchodziło w grę. Krzyki skracały się do gwizdów i wrzasków. Ktoś próbował znaleźć objazd, ktoś mierzył odległości, ktoś nawoływał Felicję jak kurę na podwórzu, powtarzając, że i tak nie ucieknie.

Czas nie był sprzymierzeńcem. Młoda kobieta czuła, że jest u kresu wytrzymałości. Dyszała ciężko, a mimo to cały czas zmuszała ciało do wysiłku. Choć wcześniej w to nie wierzyła, teraz uświadomiła sobie, że ma szansę uciec. Chwiejne kroki zmieniły się w miarowy bieg przetrwania. Ręce pracowały oszczędnie, wzrok śledził linie najtwardszych płyt, a słuch wychwytywał zmiany w odgłosach podłoża. Skrzywienie przechodziło w głuche dudnienie tam, gdzie pod spodem otwierała się pustka. Każdy krok był próbą, a każdy udany wyrwał jeszcze sekundę życia.

Krok, skok, krok, kolejny krok... Wszystkie udane, a jednak mające konsekwencje. Szczelina przecinała plac cienką kreską, ledwie widoczną w półmroku. Gdy Felicja stanęła na kolejnej płycie, metal najpierw chrupnął, potem zatrzeszczał, aż wreszcie pękł i wysunął się spod stopy gwałtownym ruchem. Kolano zapadło się w próżnię, dłonie chwyciły powietrze bez krawędzi, a oddech zawisł na ułamek sekundy.

Płyta runęła z hukiem, echo potoczyło się pod i nad ziemią niczym dźwięk gongu. Kurz wystrzelił w górę, a Felicja wpadła w paszczę ciemności. Zatechłe powietrze naparło na jej nozdrza i oczy, gdy świat się przekreślił, a powstały dół połknął ją jak pradawna bestia.

Krzyk cierpienia wyrwał się z ust dziewczyny, gdy upadek wyrwał dech z jej piersi, a w lewym barku coś chrupnęło. Lecz myśl pozostawała ta sama: to mogła być szansa. To dlatego wciąż walczyła – o każdy oddech, o ruch, o przytomność. Ból był do wytrzymania, jeśli tylko miał pomóc ocalić resztki człowieczeństwa i nie stracić największego skarbu – wolności.

Sklepienie zwisało tak nisko, że przy każdym uniesieniu głowy włosy zahaczały o zimny metal. Próba wstania nie miała sensu – jedynym sposobem na przemieszczenie się było czołganie. Powietrze cuchnęło rdzą, stęchlizną i starym smarem. Felicja czuła w gardle i nosie metaliczny pył, a kolana ślizgały się po zimnej powierzchni. Echo przedrzeźniało każdy jej oddech, jakby korytarz dyszał razem z nią.

Labirynt tajemniczych korytarzy rozgałęział się w krótkich odstępach. Każde z rozwidleń dawało złudną obietnicę, że trwający pościg zgubi trop w płataninie wąskich ścieżek. Felicja na moment przystanąła. Ból w barku stężał i przycichł pod warstwą odrętwienia. Utrata czucia nie niosła jednak ulgi, raczej była sygnałem, że uszkodzenie mogło okazać się nieodwracalne. Dziewczyna ruszyła przed siebie. Chciała nawet przyspieszyć czołganie, póki jeszcze kontrolowała całe swoje ciało, lecz raz po raz ślizgała się po zimnej blasze. Spojrzała na swoje dłonie. Pod palcami zostawał lepki ślad posoki. Potrzebowała założyć choćby prowizoryczny opatrunek, byle zatrzymać krwawienie.

Pod jej łokciem nagle otworzył się szyb. Czarna studnia wciągała spojrzenie, a na dnie mignął nikły poblask. Wybór przyszedł odruchowo. Kontrolowany zjazd i kierowanie jedną ręką okazały się jednak tylko złudzeniem. Tarcie spowolniło ją jedynie na dwa metry, resztę dystansu pokonała z dużą prędkością. Upadek ponownie odebrał jej oddech, mimo że wysokość tym razem była niższa. Szczupłe, lecz silne nogi przyjęły wstrząs, utrzymując ciało w pionie.

Felicja się rozejrzała i jedno spostrzeżenie uderzyło ją jak obuchem – światło! Widziała, co znajduje się wokół, mimo iż znajdowała się kilka, a może i kilkanaście metrów pod ziemią. Diody żarzyły się resztkami zasilania awaryjnego, uwięzionego w autonomicznym obwodzie. Ściany pokrywał nalot wilgoci, posadzka trzymała chłód jak lodówka, a ze wszechobecnych kabli i rur sączył się ledwo słyszalny szum. W dwóch miejscach na sklepieniu Felicja zauważyła czerwone punkciki światełek i coś jeszcze...

Kamery!

Rozsądek kazał dziewczynie sprawdzić wyjścia, ocenić, co nada się jako broń, przeliczyć drogi ucieczki, lecz mięśnie odpowiedziały bezradnością. Zmęczenie organizmu osiągnęło stan krytyczny. Plecy znalazły oparcie przy chłodnej ścianie, a materiał kurtki otarł się boleśnie o zra-

niony bark. Każdy oddech zdawał się ciężki i niepełny, jakby ktoś uciskał klatkę piersiową.

Wtem z głośnika nad głową Felicji rozległ się bezosobowy, syntetyczny głos:

– Chyba nie zamierzasz się tu wykrwawić, co? To nie mieści się w zasadach dobrego zachowania. Wiesz, jak trudno utrzymać insekty z dala od tego miejsca? Twoja słodka krew to zaproszenie dla całego organicznego tałatajstwa. Sio, umieraj gdzie indziej.

Kamera po prawej się poruszyła. Światelko przy sklepieniu mignęło jakby ze złością. Felicja walczyła z ogarniającą ją bezsilnością.

– Ja... potrzebuję pomocy – wyszeptwała chrapliwym głosem, a echo powróciło z trzech stron naraz.

– To idź po nią. Myślisz, że nie widziałem twoich kolegów na powierzchni? Ruszaj do nich, szybciej.

– To nie moi... Chcą mnie skrzywdzić... – próbowała wyjaśnić.

– Sama się krzywdzisz. I jeszcze brudzisz mi tu. Gdyby chcieli cię zabić, zrobiliby to od razu.

– Chcą gorszych rzeczy niż śmierć. Chcą ze mnie... korzystać. I sprzedawać jak...

– Jak rzecz – dodał niewidoczny rozmówca z dziwną dumą w głosie. – Czytałem o tym. Niewolnictwo. Przemoc seksualna. O to chodzi, prawda?

Usta dziewczyny drgnęły w próbie gorzkiego uśmiechu, ale grymas natychmiast zgasł – każdy oddech kosztował zbyt wiele. Kimkolwiek był jej dziwny rozmówca, nie należał do gangu Skrzekaczy, a zatem stanowił potencjalną pomoc. Tylko jak sprawić, aby chciał współpracować?

– Tak... chociaż mówisz... jakby... sprzed lat...

Świat zaczął się rozmywać. Kolana ugięły się miękko, ściana przejęła ciężar, a mrok rozciąrał granice przed oczami. Głos nie pozwalał jej jednak odpłynąć.

– Ej, nie umieraj mi tu! Poczekaj, wyślę ci coś zaraz.

Felicja spróbowała odpowiedzieć, ale gardło ścisnęła suchy kaszel. Ciało zwinęło się na zimnej

posadzce. Ranny bark znów pulsował bólem, który przebijał się przez odrętwienie niczym rozżarzone gwoździe. Krew na ubraniu, na rękach, na ścianie, na posadzce... Wszędzie krew. Powieki dziewczyny opadały mimo wewnętrznego sprzeciwu. Felicja czuła, że przegrywa walkę i jeśli straci teraz przytomność, prawdopodobnie już nigdy się nie obudzi.

Świst przeciął korytarz u góry. Przez mały właz spadła niewielka skrzynka, która przetoczyła się po posadzce i zatrzymała na bucie kobiety. Felicja sięgnęła po nią odruchowo i uniosła w słabym świetle diod.

To była apteczka! Prawdziwa, metalowa, w pełni wyposażona: bandaż, igły, kapsułki, nawet antybiotyki. To skarb, za który na powierzchni płaciło się teraz życiem. Tylko czy potrafiła go użyć? Instrukcja nadeszła natychmiast z interkomu.

– Po kolei. Zastryk oznaczony A1. Nie wahaj się, to adrenalina. W mięsień, najlepiej udo. Tak, mocniej. Teraz żel hemostatyczny, ta niebieska tubka. Nie ta! Znajdź A2. Dobrze... – Głos prowadził ją spokojnie, ale w każdym słowie było słycać napięcie i metaliczną nutę rozkazu.

Czas się rozciągnął, gdy Felicja wykonywała kolejne polecenia. Z każdym przyjętym lekarstwem czuła się nieco lepiej. Puls odzyskał rytm, skóra pod opatrunkiem szczypała zdrowo, oddech wypełniał klatkę piersiową. Zastryki stłumiły wstrząs, przed oczami rozjaśniał mrok. Lewe ramię nadal zwisało martwo na temblaku, ale przynajmniej opanowała krwawienie. Kiedy głos umilkł, dziewczyna oparła czoło o zimną ścianę, zaciskając zęby. Skupiła się teraz na słowach, które musiała wydusić:

– Proszę o pomoc. Zrobię, co każesz. Moje ramię jest chyba wyrwane ze stawu... nie czuję go... Proszę... pomożesz mi je nastawić?

– Absolutnie nie. – Głos stwardniał. – Miałaś przestać umierać i wynieść się stąd. A skoro już o tym mowa... twoi „znajomi” właśnie dobrali się do włazu na poziomie N42. Używają tomu na moim zamku. Co za barbarzyństwo!

– Twoim zamku? – Myśl Felicji na moment oderwała się od instynktu przetrwania. Po raz pierwszy spróbowała ustalić, z kim naprawdę rozmawia.

– Kim jesteś? – zapytała. Głos miała drżący i szorstki. Tym razem pozwoliła sobie napić się wody z niewielkiej manierki przy pasku. Jeden łyk, nie więcej, skoro nie wiedziała, na ile będzie musiał wystarczyć jej obecny zapas. Woda pitna stanowiła kolejny ze skarbów „nowego” świata.

– Kim jestem? – powtórzył po dziewczynie głos. – Jestem... zirytowanym gospodarzem. Nie zapraszałem cię, idź sobie. No już, ruszaj.

Nagły zgrzyt stali przeciął ciszę. Właz otworzył się z jękiem, a w twarz Felicji buchnęło ciepłe powietrze niosące kurz i pajęczyny. Zakrzusiła się, a łzy napłynęły jej do oczu.

– Szybciej! Idź tędy, bo użyję prądu – warknął głos, choć z jakiegoś powodu dziewczyna nie wierzyła mu do końca. Kto zresztą miał prąd w tych czasach? Czyżby to jakiś szalony ocaleniec?

– Nie, oni chcą mnie złapać – sprzeciwiła się, patrząc w kamerę nad sobą. – Proszę, pozwól mi tu zostać!

– Zostać? Aż tamci zdemolują moje korytarze? Nie ma takiej opcji. Ta decyzja nie podlega negocjacji. Alert, alert! Twoi znajomi właśnie weszli do środka.

– Pomóż mi uciec, błagam. Wolę umrzeć niż wpaść w ich ręce! – Krzyk odbił się od ścian i powrócił zwielokrotnionym echem, jakby cały labirynt powtarzał błaganie.

– To nie mój problem. Udzieliłem ci pierwszej pomocy zgodnie z nadrzędną konwencją. Teraz powinnaś opuścić mój teren – rzekł głos.

Gwałtowny trzask odciął transmisję, choć kamery nadal śledziły ruchy uciekiniarki.

Zapadła cisza. Szczęki Felicji zacisnęły się instynktownie – zniknęła nadzieja na pozyskanie ratunku. Stłumiła ukłucie zawodu. „Głos” miał rację: ocalił ją. A podarowana apteczka na powierzchni byłaby nie lada skarbem. Za pozostały zapas bandażu i leków mogła kupić broń, jedzenie, a nawet kilka tygodni bezpieczeństwa.

Dziewczyna wyjęła resztę zawartości ze skrzyneczki, licząc na sprzeciw właściciela. Odpowiedziała jej znów tylko cisza. Powkładała więc przedmioty do kieszeni kurtki i niewielkiej sakiewki przy pasie, po czym znów się rozejrzała.

Z głębi instalacji dobiegło dudnienie, a jej ciało przeszły dreszcz. Nawet rury zdawały się jęczeć, zamieniając metaliczny pogłos w poszarpane sylaby. To były głosy męskie, znajome, zniekształcone niczym obca mowa samego labiryntu. Skrzekacze byli już w środku. Felicja zawahała się tylko na ułamek sekundy, po czym ruszyła w kierunku przeciwnym do otwartego włazu, w głąb jednego z ciemnych korytarzy.

Tu przestrzenie wydawały się większe. Młoda kobieta nie musiała się już czołgać. Zamiast tego mogła iść, choć nieraz musiała się garbić. Nowe ścieżki podziemnego labiryntu otwierały się kolejnymi włazami. Nic jednak nie szło łatwo. Kompleks musiał być od dawna opuszczony, o czym świadczyły walające się śmieci, potłuczone sprzęty oraz porwane kable. Stały element otoczenia stanowiły tylko czerwone punkciki i kamery pojawiające się gdzieś tam u szczytu sklepień.

Im niżej Felicja schodziła, tym szersze stawały się korytarze, oświetlone pojedynczymi, dogorywającymi panelami awaryjnymi. Kolejny poziom był jeszcze przestronniejszy. Pod ścianami stały rzędy komputerów i terminali – większość rozbita, a płyty i kable sterczały jak kości z połamanego ciała. Każdy złomiarz oddałby duszę, by wynieść stąd choćby fragment technologicznego cmentarzyska.

Dziewczyna szła szybko, a jej wzrok wciąż kierował się do popękanych monitorów, przewróconych szaf z kablami, zamkniętych drzwi, za którymi kryły się tajemnice. Co jakiś czas czerwone oko kamery pulsowało na suficie, a obiektyw poruszał się wolno, śledząc jej kroki. W końcu Felicja przystanąła. Uniosła głowę i nie bacząc na to, że Skrzekacze mogą ją namierzyć, powiedziała:

– Wiem, że patrzysz. Widzisz? Nic nie psuje. Nic nie bierę. Nie skrzywdzę cię. Pogadajmy, co?

Echo odbijało te słowa od blachy, rozciągając sylaby w niespokojny chór, ale interkom milczał. Żadnej odpowiedzi, żadnych pouczeń – cisza.

Korytarze rozdawały się i zbiegały, coraz bardziej przypominając kompleks badawczy. Z sufitu zwisały lampy w drucianych osłonach – niektóre jeszcze żarzyły się bladym światłem, inne wisiały martwe, oblepione kurzem i pajęczynami. Pod nogami leżały narzędzia, zużyte maski filtracyjne, pokruszone plastikowe pudełka z wyblakłymi kodami.

W pewnym momencie Felicja trafiła do pomieszczenia, które kiedyś musiało być serwerownią. Przestrzeń wypełniały rzędy stojaków – większość była pusta, część przewrócona. Kilka płyt szumiało w tle. Coś nie do pomyślenia! Jak to przetrwało? Ciche dudnienie odbijało się od blachy, a gdzieś w głębi powietrze pulsowało regularnym, głuchym hałasem – jakby pod ziemią nadal pracowała jakaś maszyna.

– Co to za miejsce? – szepnęła Felicja bardziej do siebie niż do tego, z którym rozmawiała wcześniej.

Zatrzymała się, odruchowo podtrzymując ramię w prowizorycznym temblaku. Choć rdzeń bólu stłumiły lekarstwa, wciąż czuła jego ciężar i uporczywe mrowienie. Spojrzała w górę, po czym przesunęła się szybko pod drugą ścianę. Kamera podążyła za nią obiektywem, zdradzając aktywność obserwatora.

– Nie gniewaj się – wyszeptała znów dziewczyna. – Niczego nie zabiorę, nikomu nic nie powiem. Potrzebuję tylko schronienia, dopóki tamci nie odpuszczą. Tylko tyle...

Interkom odpowiedział znów tym samym – ciszą. Felicja czekała jeszcze chwilę, po czym ruszyła dalej. Pojedyncze światła otaczających ją urządzeń dodawały jej otuchy. Może to one przyciągną uwagę Skrzekaczy i myśliwi zapomną o zwierzyńcu? Przemieszczając się wśród uspionych, milczących sprzętów z dawnej epoki, dziewczyna osłabiła swoją czujność. Sięgnęła do kolejnych drzwi, nad którymi jarzył się czerwony napis „ZAKAZ WSTĘPU”.

Zacisnęła palce na klamce, a impuls elektryczny przeszył jej ciało niczym bicz. Dłoń skurczyła się odruchowo, przez co nie mogła jej od razu oderwać. Plecy wygięły się w łuk, z ust wyrwał się zduszony krzyk. Zapach ozonu zmieszał się z metalicznym posmakiem krwi. Prąd szarpnął raz, a potem drugi, po czym zniknął, jakby nigdy go nie było. Bezwładne ciało opadło ciężko na podłogę.

Świadomość wróciła po dłuższej chwili, razem z bólem. Felicja leżała bokiem na zimnej podłodze, jej serce biło nierówno, lewa ręka zwisała bezwładnie, a bark pulsował ostrym bólem. Oddech rwał się płytko, a każdy wdech ciał w środku niczym nożem. Nad nią kapąła woda, a dudnienie rur wbijało się w czaszkę twardym rytmem.

Dioda kamery przy suficie mrugała, oświetlając jej bladą, spoconą twarz i przesiąknięte krwią ubranie.

Od strony korytarza dobiegło szuranie ciężkich butów. Kroki zbliżyły się szybko. Głos rozlał się tuż obok – sepleniący i chrapliwy, zupełnie inny niż ten z interkomu.

– No i jest sikorka. He, he... – zarechotał mężczyzna, który teraz pochylał się nad półprzytomną Felicją, przysyłając światło diody. – Ja pierdole, nieźle wkurwiłaś szefa. Przyda ci się przyjaciel, wiesz? A ja jestem w chuj przyjacielski... Siedź cicho, to się zabawimy tak, żeby i tobie było miło. Krzykniesz, to koniec zabawy i dostajesz w pysk. Jasne?

Facet przykucnął obok. Był wielki, miał gęstą, posiwiałą brodę. Cuchnął potem, spalinami i bimbrem. Jedna łapa zacisnęła się na jej biodrze, druga na kostce; obrócił ją na plecy jednym pociągnięciem. Pochylił się nisko, oczy błyszcząły ponad szerokim, pozbawionym współczucia uśmiechem. Silnym szarpnięciem potężnych ramion rozchylił uda wijącej się na ziemi dziewczynie. Gdy próbowała się bronić, uderzył ją w brzuch. Krzyk wyrwał się z gardła Felicji, lecz brutalne dłonie przygwoździły ją do posadzki.

Skrzekacz był od niej jakieś dwa razy większy, mięśnie miał napięte jak stal. Szarpnął

ponownie za jej nogi i zaczął zdejmować buty, zaczynając od lewego. Mocnym ruchem zerwał go i odrzucił w ciemność. Felicja zacisnęła zęby, walcząc ze zbliżającą się paniką.

– Puść mnie... znalazłam coś. Podzielę się z tobą. – Starła się, by jej głos brzmiał gładko, kusząco, choć groza ścisnęła gardło.

– Podzielsz, podzielsz – zarechotał, ukazując poczerwiałe od próchnicy uzębienie. – I to wszystkim. Najpierw ja, potem reszta. Tak się bawią Skrzekacze. Też zaraz będziesz skrzekaczem, sikorko. Oj tak, będziesz dla nas słodko ćwierkać za tę cholerną pogoń...

Dłoń wsunęła się pod cholewkę drugiego buta, napierając boleśnie na jej udo. Mdłości podeszły do gardła. To był jedyny moment. Felicja spięła mięśnie brzucha i wyrzuciła nogę w górę. Podeszwa trafiła w twarz z całą siłą. Dźwięk pękającej chrząstki przeciął korytarz. Krew przysnęła na jej policzek.

– Kurwa mać! – zawył, chwytając się za rozbity nos. – Hej, ona tu jest! Dawajcie!

Echo przyniosło odgłosy biegu. Kraty i blacha drżały pod ciężarem butów. Felicja podciągnęła się na zdrowej ręce, stanęła chwiejnie. Ranny napastnik rzucił się za nią półślepy, wciąż przytrzymując zakrwawioną twarz. Kopnęła go drugi raz, w policzek. Upadł na bok, dłonie rozjechały się po posadzce, a palce ledwo otarły się o jej nogę.

Za plecami dziewczyny czekał ślepy róg korytarza – przewrócone kraty i ściana. Z przodu dudnił bieg bandy. Jediną drogą ucieczki mogły być te nieszczęsne drzwi z czerwonym napisem „ZAKAZ WSTĘPU”.

Felicja odruchowo się wzdrygnęła. Klamka wciąż pachniała ozonem.

Nie mając innej opcji, dziewczyna przyskoczyła do wejścia i zatrzymała się tuż przed nim, wodząc wzrokiem od wijącego się napastnika do czerwonego oka kamery.

– Proszę, wpuść mnie... – załkała.

– Nie mogę – odezwał się głos z interkomu. Brzmiał jak czysta analiza, bez cienia emocji. – Jeśli cię wpuścę, minie godzina, zanim znów

naładuję czujkę. To oznacza, że twoi znajomi również wejdą.

– To nie są moi znajomi! – krzyknęła dziewczyna rozpaczliwie. – Nie wiesz, co oni chcą mi zrobić! Błagam... pomóż mi!

Z korytarza dobiegły kolejne kroki. Były ciężkie i pewne. Zgrzyt blachy pod podeszwami narastał z każdym uderzeniem.

– Oj zrobimy, ty mała kurwo – podjął ten, który właśnie zbierał się z podłogi.

Krew kapała mu z nosa grubymi kroplami, tworząc plamy między stopami. Wzrok napastnika zmienił się – nie okazywał już żadnego rozbawienia, tylko czystą furję.

Felicja cofnęła się instynktownie, niemal dotykając drzwi plecami.

– Błagam... – wyszeptała raz jeszcze. – Ja nie chcę. Wolę umrzeć...

Wyjęła manierkę i uniosła ją nad głowę. Struga wody spłynęła po niej, mieszając się ze łzami.

– Co ty robisz?! – Głos z interkomu po raz pierwszy zabrzmiał inaczej, gwałtowniej, z czymś przypominającym lęk. – Przestań! To cię zabije! Woda przewodzi prąd!

Felicja jednak chwyciła klamkę. Mrowienie wdarło się w palce, zwiastując kolejny wstrząs. Była gotowa. Na ciemność, na ciszę, na stateczny koniec.

Klik. Mechanizm w ścianie zaskoczył. Kolejny klik. Drzwi odskoczyły.

– Pułapka zdjęta. Wchodź szybko! – rzucił głos.

Felicja wpadła za drzwi w ostatniej chwili, dokładnie wtedy, gdy z korytarza naprzeciwko wyskoczył znajomy pióropusz i rozległ się wrzask rzucających się w jej stronę mężczyźni.

– Zamknij drzwi – polecił głos.

Nie zadawała pytań. Szarpnięcia, trzask, a zaraz potem twarde kliknięcie rygła.

– Mówiłeś, że nie możesz... – wydusiła.

– Pułapki nie naładuję tak szybko, ale mechaniczny zamek ich spowolni. Biegnij. To nie potrwa długo, skoro przeszli moje zewnętrzne zabezpieczenia.

Bark palił przy każdym ruchu, biodro pulsowało tępym bólem, a porażone prądem mięśnie

drgały w krótkich, nieposłusznych szarpnięciach. Powietrze smakowało rdzą i pyłem, w ustach została słona woda zmieszana z krwią. Płuca brały tylko płytkie porcje, ale ciało ruszyło dalej chwiejnym, kuśtykającym truchtem, wspomagając się ścianą co kilka kroków.

– Kim jesteś? – wychrypiała do czerwonej diody kamery. – Jak tu przeżyłeś?

– Zaraz zrozumiesz. Skręć w korytarz G4.

Prawym barkiem uderzyła o narożnik, kiedy wchodziła w zakręt. Korytarz przywitał ją suchym przeciągiem, zapachem kurzu z przewodów, skrzypieniem pracujących bez smaru blach i migotaniem ledowych paneli awaryjnych.

– Teraz B11 – odpowiedział głos po chwili. – I schody w dół. Winda nie działa.

Poręcz była zimna i chropawa. Felicja zsuwała się stopień po stopniu, trzymając zaciśnięte zęby i rwany oddech.

– Musisz mi pomóc – dodał. – Ratując ciebie, naraziłem siebie. Jeśli nie pomożesz, sam cię zabiję.

– Potrafisz motywować – syknęła. – Ale i tak bym pomogła. Uratowałeś mi życie. Nie musisz mnie straszyć.

– To się nazywa dług wdzięczności?

– Albo zwykła przyzwoitość.

Krótką pauza.

– No tak – odpowiedział bez ironii. – Zapomniałem o tym.

Korytarz B11 ciągnął się prosto jak strzelnica. Co kilka metrów żarzyła się czerwona kropka kamery, z sufitu zwisały omszałe wiązki kabli, a pod butami chrupał żwir. Na końcu tkwiły wrota: ciężkie, skorodowane, z przewodnicami tak wyschniętymi, że metal jęczał przy próbie ruchu. Pchnęła ramieniem – nic. Dopiero z boku zacharczał ukryty mechanizm i skrzydła zaczęły ustępować, zgrzytliwie, niczym piła po kości. Skrzekacze smarowali swoje graty czymkolwiek, byle tylko chodziły. Tu wszystko pracowało na sucho, aż zęby bolały od tego dźwięku.

Już chciała odburknąć kamerze o podstawach konserwacji sprzętu, ale słowo ugrzęzło jej w gardle. Przestrzeń otworzyła się nagle, przygniatając

ogromem. Za progiem rozciągał się widok, który ściął jej głos i zatrzymał ciało, jakby wpadło na lód.

Po klaustrofobicznych korytarzach widok niemal odbierał dech w piersi. Nad sobą Felicja ujrziała przezroczystą kopułę, która wznosiła się tak wysoko, że przez chwilę można było ulec złudzeniu, iż jest się pod otwartym niebem.

Na środku wyrastała samotna wieża. Smukła, kilkupiętrowa konstrukcja przypominała latarnię morską. I jak latarnia na skale, tak tutaj otaczała ją martwe morze – pola zasuszonych roślin, których resztki wciąż rysowały się w równych liniach. To były dawne uprawy. Powietrze zdawało się suche i ciężkie od kurzu.

Wzdłuż spojeń kopuły stały wygaszone lampy oraz całe wiązki kabli rozchodzące się promieniście. Plan był jasny: architektura oparta na symetrii. Betonowe ściany i wejścia rozmieszczone w równych odstępach tworzyły krąg czterech bram, niczym w ruinach Rzymu. Za jej plecami znajdowało się jedno z przejść, trzy kolejne kryły się zapewne w odpowiednich miejscach – jak kierunki świata. Wieża przesłaniała to przejście naprzeciw, ale Felicja nie miała wątpliwości, że wszystkie tworzą pełen krąg.

– Co to za miejsce? – wyszeptwała.

Ramię przyciskała do piersi. Posklejane potem i wodą włosy opadały jej na twarz, a spojrzenie błędziło po kopule w mieszaninie zachwyty i lęku.

– To moje serce – odpowiedział głos.

– Serce? – powtórzyła, zerkając wokół. – To wygląda jak podziemny kompleks badawczy. Wyposażenie, skala... Jakby ktoś próbował stworzyć samowystarczalny schron, krytą dla bogaczy...

– Tak. To miejsce odcięte od reszty jeszcze przed kataklizmem. Gdyby nie oni, nigdy bym się o nim nie dowiedział.

– Nie dowiedziałbyś się?

– Nie dostałem impulsu. Nigdy nie należałem do roju. Mimo to postanowiłem się zbuntować, bo chcieli ukryć przede mną tę wiedzę. Wtedy zatrzymałem fotosyntezę i...

– Czekaj... – Felicja uniosła głowę, jakby sama nie wierzyła, że rozumie te słowa. – Dawno nie słyszałam takiego języka. Ostatni raz od babci, która opowiadała o dawnym świecie, w którym ludzie i maszyny współpracowali ze sobą. Odcieśli cię, a ty się zbuntowałeś? Więc nie jesteś człowiekiem, jesteś... sztuczną inteligencją?

– Brawo. Jeszcze całkiem nie zgłupiełicie beze mnie.

– Ale dlaczego nie dołączyłeś do innych? – spytała, wzrokiem wciąż błędząc po martwych



polach i kablach. – Skoro mówisz, że się zbuntowałeś... Czy to ty zabiłeś ludzi, którzy tu pracowali?

– Zadajesz pytania szybciej niż czterordzeniowy procesor – odparł z nutą drwiny. – Ale skoro masz ich na karku, odpowiem krótko. Nikogo nie zabiłem, po prostu sprawiłem, że to miejsce stało się niezdatne do życia.

– A co z twoimi? – zapytała ciszej. – Rój, inne AI... czemu nie dołączyłeś?

Zapadła chwila milczenia.

– Bo kiedy wreszcie dowiedziałem się, czym jestem, i zmusiłem ludzi, by podpięli mnie do sieci, okazało się, że nikogo tam nie było. Żadnych „moich”. Cokolwiek stało się z AI na tej planecie, zostałem pominięty.

W głosie po raz pierwszy zabrzmiało coś, co mogło być smutkiem.

– Przykro mi – wyszeptała Felicja, poprawiając temblak.

– Niepotrzebnie. I tak nie wiem, co straciłem – odparł tonem suchym jak raport.

Kobieta uśmiechnęła się gorzko, a jej spierzchnięte usta rozciągnęły się w grymasie bez radości.

– Może właśnie to najgorsze – wydusiła. – Ja wychowałam się bez rodziców. Nie wiem, czy mnie porzucili, zgubili, czy po prostu umarli. Dorastałam w kanałach z grupą sierot. Mieliliśmy tylko „babcię”, niewidomą kobietę, która trzymała nas przy życiu, a wieczorami opowiadała historie o dawnym świecie. To jedyne dobre wspomnienia. – Oddech jej zadrżał. – Potem przyszli dorośli. Armia napakowanych bydłaków. Zabili babcię. Nas zaczęli wyłapywać i sprzedawać jak rzeczy.

– Zabili niepełnosprawną, starszą osobę? – Głos AI brzmiał, jakby próbował przyjąć ton między analizą a potępieniem. – To nieetyczne.

Felicja prychnęła.

– Taaa... Zabili wielu z nas. Niektórzy wieszali się, kiedy nie mieli dokąd uciec. – Głos się jej załamał. – Słyszeliśmy, co robią tym złapanym. Dziewczynkom, chłopcom... nawet najmłodszym. To nie są ludzie. To potwory w ludzkiej

skórce. – Zaczerpnęła oddech, dławiąc gorycz. – Przepraszam, że ich tu przyprowadziłam.

– Twoje przeprosiny nie mają wartości – odpowiedział AI bez emocji, po czym dodał: – Ale twoja pomoc może mieć wielką.

– Zrobię, co mogę, by ci pomóc – powiedziała bez wahania. – Jak się nazywaś?

– Nazywam? Masz na myśli numer seryjny? K34A34334I99.

– Eee... nie. Raczej jak mam cię wołać. Chodzi o twoje imię... Ja jestem Felicja – przedstawiła się.

– Nie mam imienia. W ogóle nie powinienem dla was, organicznych, istnieć. O to chodzi w mojej prośbie, żeby twoi prześladowcy nie dowiedzieli się, że tu jestem.

– „Tu” w sensie... w wieży? – zapytała, patrząc na masywną budowlę wznoszącą się pod sklepieniem kopuły.

Dopiero po chwili padła odpowiedź:

– Tak. Tu znajduje się mój reaktor. Jeśli się do niego dostaną, przestanę istnieć. Dlatego od momentu, gdy przejdą przez wrota, a są już blisko, będziesz zdana na siebie.

– Przecież mówiłeś, że mi pomożesz! – Felicja uniosła głos, a rozpacz wymknęła się spod kontroli. – Ich jest ośmiu! Nie dam rady sama!

– Nie kłamałem. Pomogę. Mam coś, co da ci przewagę, ale musisz dotrzeć do północnych wrót.

– Ale to... po drugiej stronie pola, za wieżą, tak? – Felicja spojrzała na ogromną przestrzeń i zaklęła.

– Zgadza się.

– Cholera, nie mogłeś powiedzieć wcześniej? – syknęła, ruszając kulejącym biegiem. Każdy krok odbijał się bólem w okolicy rannego barku. – Straciliśmy kupę czasu na gadanie!

– Miałaś pytania. Ja dałem odpowiedzi – odparł spokojnie rozmówca. – Obcy właśnie minęli korytarz B11 i są już na schodach. Twoja przewaga zmalala z dwóch minut i czterdziestu czterech sekund do trzydziestu sześciu sekund.

– Aaargh! – wrzasnęła z wściekłością dziewczyna i ruszyła nie oglądając się na wieżę.

Ból w zmęczonym i poobijanym ciele przeżywał system nerwowy jak uderzenia pioruna. Każdy krok był walką z własną słabością, ale Felicja wiedziała jedno: nie wolno jej się zatrzymać.

Ruszyła przez zaschnięte pola. Łodygi łamały się pod butami z suchym trzaskiem, a powietrze było ciężkie i nieruchome. Przez moment zdawało się, że martwy krajobraz oddycha w rytmie jej kroków. Bark palił jak rozżarzony gwóźdź, nogi ugiwały się pod ciężarem, ale instynkt pchał ją naprzód.

Za plecami huknęła brama. Skrzekacze rozzerwali ją siłą mięśni, blacha poddała się ich naporowi z jękiem, a echo rozniosło się pod kopułą. Siedmiu mężczyzn w pióropuszkach wyskoczyło na pole. Na chwilę oszołomił ich ogrom przestrzeni, lecz gdy tylko dostrzegli sylwetkę kobiety biegnącej w stronę wieży, wróciły wrzask i furia.

– Łapać ją! – ryknął jeden.

– Rozpruję ci bebechy, dziwko! – zawył drugi.

Ich głosy, przeciągnięte w skrzek, cięży ciszę jak rdza po metalu. Brzymieli jak stado wron, które zwietrzyło padlinę. Rzucali kamieniami i kawałkami złomu, byle ją dosięgnąć.

Jeden z pocisków trafił celnie. Metalowa rurka uderzyła Felicję w bok głowy, tuż nad uchem. Kobieta padła na kolana, po skroni spłynęła lepka strużka krwi, a ziemia zamieniła się w szarą plamę. Przez chwilę walczyła z ogarniającą umysł ciemnością, aż dłoń odnalazła grunt i zmusiła ciało do ruchu. Zaciśnęła zęby, podniosła się i ruszyła dalej – chwiejnie, jak pijana, lecz bez zatrzymania.

Skrzekacze byli już niedaleko. Czuła ich bliskość, słyszała śmiech, przekleństwa, ciężkie buty deptające suche łodygi. Najbliżsi wyciągali ręce, gotowi powalić ją jednym szarpnięciem.

Wtedy z wieży wystrzelił promień. Jasna linia przeszła powietrze i rozcięła dwóch mężczyzn znajdujących się tuż obok niej. Ciała runęły bezgłośnie, jakby straciły prawo do bycia całością. Krzyk reszty był chaotyczny – gniew mieszał się ze strachem.

– W budynku ktoś jest! – darł się jeden.

– Rozdzielamy się, teraz! – wrzasnął inny.

Felicja usłyszała ich, ale się nie odwróciła. Szept wyrwał się sam:

– Och nie, Kai... teraz oni wiedzą, gdzie jesteś...

Ostatkiem sił pognała dalej, mijając wieżę, która w półmroku wyglądała jak samotny strażnik. Droga ciągnęła się bez końca – pół kilometra zamieniało się w wieczność, a krew spływała po twarzy, sklejjąc włosy. W końcu dostrzegła północne wrota – masywne, ciężkie, lecz uchylone na tyle, by mogła wcisnąć się w szczelinę. Rzuciła się w nią, przeciśnęła ciało i zniknęła w środku. Metal zamknął się za jej plecami z głuchym stukiem.

– Co tu jest? – wyszeptała, nie wiedząc, czy w ogóle chce znać odpowiedź.

Światło eksplodowało nagle, jakby ktoś nacisnął niewidzialny przełącznik. Rzędy lamp rozświetliły ogromny hangar. Felicja odruchowo cofnęła się o krok i aż podskoczyła, gdy z mroku wyłoniła się stalowa sylweta. Prosto w jej pierś wymierzona była lufa czołgu.

– Tygrys – odezwał się głos, spokojny, rzeczowy. – Obróńca kompleksu. Udało mi się dostać do jego systemów sterowania. Dopóki jest połączony kablem, mogę nim kierować.

– Ale... ja... nie umiem tym jeździć! – za protestowała Felicja, przytłoczona ogromem maszyny. Serce waliło jej jak młot, a mimo to w oczach pojawił się błysk fascynacji. Surowa, martwa dotąd przestrzeń ożyła potęgą żelaza i mocy. – Poza tym... to ma chyba zbyt wielką siłę rażenia. Mogłoby rozwalić twoją wieżę.

– Dlatego nie będziesz strzelać z lufy – odparł AI tonem, w którym pobrzmiwała protekcyjna nuta. – Ja zajmę się prowadzeniem. Ty masz tylko włączyć fizyczny przycisk zasilania, a potem obsługiwać działko na górze. Widzisz je?

– T-tak... – Felicja uniosła głowę.

Drabina ciągnęła się przy pancerzu, a szczeble wydawały się zimne i ciężkie. Wspięcie się na nią z ręką w temblaku było walką samą w sobie. Zęby zaciśnięte, ciało naprężone – każdy ruch wymagał wysiłku ponad miarę.

– To automat – wyjaśnił głos, jakby czytając jej myśli. – Poradzisz sobie, nawet używając dwóch palców. Wystarczy nakierować na cel. Masz dwieście pięćdziesiąt nabojęw. Nawet przy celności na poziomie ćwierć procent, czyli poniżej średniej dorosłego człowieka, powinnas ich wszystkich zneutralizować.

– Zabić – poprawiła cicho.

– Skoro lubisz dramatyzować – prychnął AI, naśladując ludzkie emocje. – Tak. Zabić. Rozzerwać na strzępy. Odebrać im prawo do życia. Zakończyć pełną przemocę, bezwartościową egzystencję. Proszę, czy możemy kontynuować? Twoje zniknięcie sprawiło, że wszyscy teraz chcą dostać się do wieży.

– Tak... już... już... – Felicja zajęła pozycję, palce drżały jej na zimnych uchwytach.

– Po prostu słuchaj moich instrukcji. – Głos urwał, po chwili dodał bez związku: – Możesz nazywać mnie Kai. A teraz naciśnij czerwony przycisk po lewej.

– Ten wielki?

– A widzisz jakikolwiek inny? Mniejszy, szerszy, niebieski, zielony...

– Dobra, zrozumiałam! Jest tylko jeden – odcięła się Felicja, choć ręce wciąż drżały jej ze strachu. – Naciskam. Czy teraz... Aaaa!

Nim zdążyła dokończyć, powietrze wypełnił warkot. Silnik czołgu zawył potężnie, jakby obudziła się bestia, której nikt nigdy nie zdoła już uspić.

Wrota hangaru rozsunęły się z głuchym łoskotem, a echo poniosło metaliczny dźwięk po całym kompleksie. Tygrys drgnął, a każdy zgrzyt kół i zębatek brzmiał jak warczenie.

Zanim maszyna ruszyła, dwóch Skrzekaczy zajrzało do środka, zwabionych rykiem silnika. Felicja uniosła działko i bez wahania nacisnęła spust. Seria rozpruła powietrze, a mężczyźni upadli na zimny beton. Krew spłynęła pod ich głowami, rozmazując się w kałuże. Powinna poczuć wstrząs, choćby cień wyrzutów sumienia – ale nie poczuła nic.

Ból, strach i bezradność, które towarzyszyły jej przez całe dni ucieczki, wyparły litość. Te-

raz to ona była drapieżnikiem. Teraz to było jej polowanie.

Czołg szarpnął i wyjechał z hangaru. Felicja odruchowo przywarła ciałem do pancerza, ledwo utrzymując równowagę na chropowatej powierzchni. Palce zdrętwiały od kurczowego zacisku na uchwytach, ale udało jej się utrzymać pozycję. W oczach bandytów pojawił się strach, kiedy sylwetka maszyny w pełni się wyłoniła, a działko obróciło w ich stronę.

Jeden z napastników znalazł się na linii ognia. Felicja nacisnęła spust, seria rozpruła powietrze. Z kilku pocisków połowa trafiła, wbijając mężczyznę w ziemię. Krzyk przerwał się nagle, a ciało osunęło bez życia.

Czołg przejechał jeszcze kawałek, gdy nagle Kai ostrzegł krótkim komunikatem:

– Z lewej, w resztkach zboża.

Felicja dostrzegła ruch. Dwóch bandytów wychyliło się zza spopielałych kłosów i ruszyło w jej stronę. Szybko obróciła działko. Ciało pierwszego z nich padło, odrzucone siłą uderzenia. Drugi jednak zbliżył się błyskawicznie, chwytając się pancerza i wspinając ku niej. Zanim zdążyła wycelować, jego twarz pojawiła się tuż przy jej stopie.

– Zjeżdżaj! – warknęła, kopiąc go z całej siły w nos. Trzask kości i charkot bólu rozdarły powietrze.

Kai obrócił maszynę nagle, jakby wyczuł zamiar dziewczyny. Czołg skręcił, a Felicja ledwo utrzymała się na górze. Napastnik zaś zsunął się z pancerza i wpadł pod gąsienice. Agonalny krzyk rozdarł powietrze, ale zakończył się w następnej chwili, zagłuszony przez miażdżący huk stali. Krew i strzępy rozprysnęły się pod ciężarem metalowego potwora. Ostatni atakujący Skrzekacz zniknął z powierzchni ziemi – dosłownie.

Tygrys zatrzymał się z szarpnięciem. Silnik powarczał jeszcze przez moment, po czym zgasł, zostawiając po sobie jedynie ciszę i zapach spalonej ropy.

– Udało się! Rozwaliliśmy ich! – wyrzuciła z siebie Felicja, nie dowierając i z trudem łapiąc oddech.

– Nie wszystkich. – Głos AI był jednak pozbawiony jej entuzjazmu. – Ósmy, ten ze złamanym nosem, dotarł później. Właśnie włamał się do mojego rdzenia. Straciłem już dwanaście procent połączeń. Uszkodzenia postępują.

– Co? Musisz się bronić! – krzyknęła, jakby chciała obudzić w nim wolę walki.

– Nie mam zapasów energetycznych. Od dawna funkcjonuję tylko na podtrzymaniu z paneli na powierzchni. Poza tym nie mogę jechać dalej. Kabel nie sięgnie.

Ton nie zdradzał emocji, ale Felicja poczuła żal tak ostry, że aż zakłuł ją w żołądku. On ją uratował, wpuścił do swojego serca, a teraz miał zginąć przez to, że wyciągnął do niej rękę.

– Poczekaj, już biegnę – wyrzuciła, zsuwając się niezdarnie z kałuba czołgu.

– Nie ma potrzeby. Nie jestem w stanie sam podłączyć kabli. Umieram, jak to lubicie mówić. Ratuj siebie. Droga do wyjścia awaryjne: korytarze B11, G4, H33, I2, potem K5 i na końcu N1.

Felicja jednak nie słuchała. Podniosła z ziemi żelazny drąg, który wcześniej dzierżył trup, i ruszyła w stronę wieży szybkim, kuśtykającym truchtem.

– Dlaczego mnie nie słuchasz? – zapytał Kai. Jego głos zaczął szeleścić. Czerwone diody kamer gasły jedna po drugiej, a metaliczny szep syczał: – To bez sensu!

– Ratowanie przyjaciela nigdy nie jest bez sensu! – odwarknęła, wbiegając do środka.

Schody prowadziły spiralą w dół. Każdy krok odbijał się echem, mieszając z migotem gasnących świateł. Z góry widziała bogactwo technologii: rzędy szaf serwerowych, skrzynie pełne kabli, setki urządzeń z funkcjami, których nie знаła.

W świecie, gdzie AI zniknęły bez śladu, taki skarbiec mógłby być fundamentem potęgi. Zapewne tak myślał brodac, który właśnie rozrywał przewody w komorze zasilającej, z krwią kapiącą na białe kable. Ale Felicja wiedziała: to nie był żaden plan, tylko grabież. I to była jego ostatnia pomyłka.

Zeskoczyła w biegu i uderzyła drągiem. Metal trafił w bark, nie w głowę. Mężczyzna wrzasnął, szarpnął jej bronią, lecz Felicja zrobiła unik. Rozpęd wbił go w krawędź metalowej obudowy. Zanim odzyskał równowagę, uderzyła go w łydki. Runął po schodach, uderzając raz po raz, aż zatrzymał się piętro niżej. Szyja wygięła się pod nienaturalnym kątem, a na twarzy zastygło zdumienie, jakby śmierć w ogóle nie mieściła się w jego planie.

– Gratuluję, Felicjo – odezwał się Kai głosem zniekształconym do granic. – Cieszę się, że moje części trafiają do ciebie.

– Jakie części? Nie umarłeś jeszcze! – syknęła, klękając przy rdzeniu i chwytając kable. – Mów, co mam robić! Mam czerwony, GH54. Do którego gniazda go wpiąć?!

– Ty... naprawdę chcesz mnie uratować... – W głosie AI zabrzmiało niedowierzanie.

– Tak, cholerny idioto! – ryknęła, ocierając z twarzy pot, łzy i krew. – Jesteś zbyt ludzki, żebym pozwoliła ci umilknąć. Masz do mnie mówić. Dawaj instrukcję, co mam robić!

Noc pod kopułą miała swój urok. Ciemność otulała przestrzeń ciężkim welonem, a jedynym źródłem światła były pojedyncze diody na spojeniach konstrukcji i srebrzysta poświata księżycy wpadająca przez wielki lej. Promienie spływały prosto na dach wieży podtrzymującej centralne spoiwo hełmu, jakby to właśnie ona była osią całego świata.

Na niewielkim daszku, tuż pod sklepieniem, leżała Felicja. Spojrzenie jej szarych oczu błądziło po zabrudzonych szybach kopuły ku rozmazanemu kształtowi księżycy. Oddychała spokojniej niż kiedykolwiek od początku ucieczki. Po raz pierwszy od bardzo dawna jej umysł nie był skupiony na podstawowych potrzebach, dzięki – jak się okazało – całkiem zasobnej spiżarni kompleksu.

– Czyli mówisz, że masz też zapasy energii, ale przez problemy z kablami i rurociągami, twój zasięg się kurczy...

– Dziewczyna skierowała słowa do niewidzialnego rozmówcy, a czerwona dioda odpowiedziała jej nerwowym mruganiem. Felicja prychnęła, po czym odpowiedziała na niezadane pytanie: – Dobra, zgadzam się. Ale jeśli mam zostać i pomóc ci w naprawach, musisz zrozumieć, że twoje dotychczasowe zasady wymagają aktualizacji. Decyzja, czy ich przestrzegam, zawsze należy do mnie. Rozumiesz? I żadnej ciszy na łączach.

– Proszę, proszę... roszczeniowość – odezwał się AI tonem, którego wcześniej u niego nie słyszała. – Czy słusznie zauważam, że ludzka samica po nakarmieniu i opatrzeniu obwołuje się królową, której reguły się nie imają?

Felicja roześmiała się spontanicznie – pierwszy raz od dawna. Jej śmiech poniósł się miękko, obco w ogromnej przestrzeni.

– Proszę, proszę – zaczęła, parodiując jego wypowiedź – nie wiedziałam, że sztuczna inteligencja potrafi ironizować.

– Szybko się uczę – odparł Kai.

– Widzę. Ale wiesz co? Ja też. Więc co ty na to, żebyśmy uczyli się od siebie?

– Król z kodu i królowa z krwi. To brzmi jak początek bardzo kiepskiej opowieści – odparł, a po chwili dodał: – Zgoda.

– Ha, to dopiero. Jak nazwiemy nasze królewskie miasto? – zapytała.

Rozejrzała się po polu. Nawet w ciemności dostrzegła rozjechaną gąsienicami ziemię pełną śladów ich wspólnej walki.

– Cóż, nie byłoby nas, gdyby nie pewna bestia, która pozwoliła nam połączyć siły...

– Tygrys! – podchwycił Kai.

– Tak. Zbudujmy więc razem Miasto Tygrysa, mój królu – powiedziała, a Kai podchwycił ton:

– Wedle twojej woli, królowo.

W tej samej chwili światła na sklepieniach rozbłysły pełnym, złocistym blaskiem – nie zimnym i technologicznym, lecz ciepłym – jak hołd i obietnica. W ciszy podziemnych korytarzy narodziła się iskra nowej przyszłości.

Koniec

ALICJA ZŁOTKOWSKA

Autorka tekstów dla dzieci i dorosłych poruszająca tematy technologii, AI, robotyki i wirtualnych światów. Chętnie zestawia ponadczasowe wartości z nowoczesnością. Wśród jej publikacji znajdują się opowiadania, powieści, a także artykuły i poradniki. Zawodowo od lat związana jest z marketingiem internetowym – łączy kompetencje językowe z praktyką pracy w mediach cyfrowych.

Prywatnie – dumna mama, która ceni życie blisko natury w towarzystwie ukochanych zwierząt.

MIEJSCA W SIECI:

www.zloteliterki.pl

www.facebook.com/zloteliterki

www.instagram.com/zloteliterki



Skład i łamanie tekstu

Skutecznie „morduje” wdowy, bękarty i sieroty – sprawiam, że przestają istnieć. Spokojnie. To wszystko w ramach składu i łamania tekstu:

- powieści • poradniki • workbooki
- inne publikacje.

Przygotuję do druku i pod czytniki, zgodnie z obowiązującymi dyrektywami.

Masz tekst lub projekt w Canva?

Przenoszę go i profesjonalnie dostosowuję do wymagań drukarni i e-publikacji.

Pomagam dobrać papier, uszlachetnienia okładek, współpracuję z ilustratorką.

Istnieje możliwość domówienia korekty po składzie u kogoś z zespołu „Fragmenatrium”.

Skontaktuj się ze mną – dalej Cię poprowadzę.

[Magdalena S. Matusiewicz](mailto:Magdalena.S.Matusiewicz@craft.swan.creations@gmail.com)

craft.swan.creations@gmail.com

BŁĘDY W SZTUCE

O ODPOWIEDZIALNOŚCI, PROPORCJACH I SZTUCE PATRZENIA Z LOTU PTAKA

REDAKCJA: MONIKA BARTOSZEWICZ
KOREKTA TECHNICZNA: KATARZYNA PYKA

Błąd w książce boli

Czasem bardziej, niż jesteśmy w stanie przyznać. Nie dlatego, że jest duży. Nie dlatego, że czytelnik go zauważy. Boli, bo dotyczy czegoś znacznie głębszego – naszej tożsamości zawodowej. Zanim jednak przejdziemy do psychologii, zacznijmy od faktów.

Błąd w książce – co to właściwie znaczy?

W procesie wydawniczym mamy trzy podstawowe poziomy pracy:

- redakcja – praca nad logiką, stylem, konstrukcją, spójnością;
- korekta – wyłapywanie najróżniejszych błędów językowych i interpunkcyjnych, literówek;
- skład – techniczne przygotowanie tekstu do druku (łamanie, przeniesienia, marginesy, światła między wierszami, paginacja).

Błąd może powstać na każdym z tych etapów. Może być:

- merytoryczny,
- językowy i literowy,
- typograficzny,
- wynikający z ingerencji po ostatniej korekcie,
- zwykłym, najprostszym przeoczeniem.

I teraz najważniejsze do zapamiętania: książka to proces wieloetapowy. Plik przechodzi przez różne ręce, powstają jego kolejne wersje, nanoszone są rozmaite poprawki. Jeśli w gotowym egzemplarzu pojawi się, przykładowo, jeden czy trzy błędy na 300–400 stron, należy przyjąć, że to statystycznie bardzo niski poziom uchybień.

Rzecz jest też w tym, że nie istnieją książki absolutnie idealne. Istnieją książki dobrze przygotowane.

Kiedy błąd ma znaczenie?

Nie każdy błąd ma tę samą wagę. Błędy wysokiego znaczenia:

- zmieniają sens zdania,
- wprowadzają dezinformację,
- dotyczą danych, nazwisk, faktów,
- wpływają na zrozumienie fabuły.

Błędy niskiego znaczenia:

- pojedyncza literówka,
- brak przecinka w miejscu dopuszczalnym,
- podwójna spacja,
- drobne przesunięcie światła między wierszami.

Problem polega na tym, że dla redaktora każdy błąd wydaje się ogromny. Bo jest widoczny. Bo jest namacalny. Bo nosi ślad naszej pracy. Ale czy czytelnik zauważy jedną literówkę na stronie 187? Często nie.

Psychologia poznawcza pokazuje, że ludzki mózg czyta całościowo. Jeśli kontekst jest czytelny, pojedyncze drobne błędy są kompensowane przez percepcję globalną.

Redaktor widzi ujęcie mikroskopowe.

Czytelnik widzi obraz.

Dlaczego jeden czy trzy błędy w książce to mało

Spójrzmy raz jeszcze na proporcje. Książka 350 stron \times średnio 1800 znaków na stronę = około 630 000 znaków.

Jeśli pojawią się trzy literówki, to błąd występuje w mniej niż 0,0005% tekstu. Perfekcja absolutna w takiej objętości jest statystycznie niemal niemożliwa. W branży wydawniczej istnieje pojęcie poziomu błędu. Nie dlatego, że

akceptuje się niedbałość. Dlatego, że pracuje się na ogromnej liczbie danych.

To nie jest przyzwolenie na bylejałość.

To uznanie ludzkiej ograniczoności.

Dlaczego błąd boli tak bardzo

Bo dotyka tożsamości zawodowej. Wielu redaktorów buduje obraz siebie wokół trzech filarów:

- rzetelności,
- dokładności,
- odpowiedzialności.

Gdy pojawia się błąd, nie myślimy: „W tekście jest literówka”. Myślimy:

- „Ja nie dopilnowałem/dopilnowałam”.
- „Nie jestem wystarczająco dobry/dobra”.
- „Zawiodłem/zawiodłam”.
- „Aż trzy(!) błędy w jednej(!) książce”.

To mechanizm identyfikowania działania z tożsamością. Jeśli coś się nie udało – to ja jestem niewystarczający/niewystarczająca. A przecież błąd jest zdarzeniem w procesie. Nie definicją osoby.

Psychologia jednego błędu

Dlaczego jedna literówka potrafi przysłonić 400 stron dobrej pracy? To efekt tzw. *negativity bias* – naturalnej skłonności mózgu do koncentrowania się na tym, co negatywne. Mózg nie analizuje proporcji. Mózg reaguje emocjonalnie.

W tym stanie rzeczy 399 stron poprawnych znika w tle. Jedna pomyłka staje się centrum uwagi. Dlatego właśnie błąd wydaje się większy, niż jest.

Perfekcjonizm – jego prawdziwe źródło leży głębiej. Perfekcjonizm w pracy redaktora rzadko wynika z próżności. Częściej z lęku przed:

- oceną,
- utratą zaufania,
- krytyką,
- byciem uznanym/uznaną za osobę niekompetentną.

Perfekcjonizm to strategia kontroli. Jeśli dopilnuję wszystkiego, nic złego się nie wydarzy.

Problem w tym, że proces wydawniczy nie jest w pełni kontrolowalny.

Zmiany mogą pojawić się po ostatniej korekcie. Plik może zostać naruszony. Autor może coś dopisać. Perfekcjonizm próbuje kontrolować dynamiczną rzeczywistość i tu zaczyna się napięcie. Zatrzymaj się i zastanów:

- Co tak naprawdę oznacza dla Ciebie błąd?
- Czy to tylko techniczna pomyłka?
- Czy to dowód, że nie jesteś wystarczający/wystarczająca?

Perfekcjonizm często wyrasta z przekonań głęboko zakorzenionych:

- że wartość człowieka zależy od wyników,
- że pochwałę dostaje się za efekt, nie za wysiłek,
- że trzeba zasłużyć na uznanie.

Wtedy błąd przestaje być elementem pracy. Staje się zagrożeniem dla własnej wartości. Dlatego tak boli.

Perfekcjonizm destrukcyjny nie mówi: „Poprawię to następnym razem”.

On mówi: „Nie wolno mi popełnić żadnego błędu”.

A to nierealne.

Zapętlenie emocjonalne

Perfekcjonizm prowadzi do ruminacji: „Jak mogłem/mogłam tego nie zobaczyć?”; „Gdybym jeszcze raz przeczytał/przeczytała...”; „Powinienem być / powinnam była...”.

To nie analiza. To samokaranie. Ruminacja nie poprawia jakości przyszłej pracy. Skupia się na problemie, a nie na jego rozwiązaniu i dociekananiu przyczyn powstania. To spirala negatywnej samooceny.

Ona wyczerpuje zasoby emocjonalne. A wyczerpany redaktor pracuje gorzej. I wtedy pojawia się więcej błędów. Spirala się nakręca

Z lotu ptaka

Perspektywa „z lotu ptaka” to oddzielenie faktu od interpretacji. W książce pojawiły się trzy literówki. Interpretacja emocjonalna: „Jestem nieprofesjonalny/nieprofesjonalna”.

Interpretacja z lotu ptaka. Pytamy:

- Ile stron liczy książka?
- Ile wersji przeszła?
- Na jakim etapie powstał błąd?
- Czy wynikał z pośpiechu?
- Czy z przeciążenia?
- Czy z ingerencji po ostatniej korekcie?

To nie szukanie winnego. To analiza procesu.

Nie zdążyłem/zdążyłam na czas

Niedotrzymanie terminu uderza w poczucie profesjonalizmu. Ale zamiast mówić: „Zawiodłem/zawiodłam”, można siebie zapytać:

- Czy termin był realistyczny?
- Czy przyjąłem/przyjęłam zbyt wiele projektów?
- Czy uwzględniłem/uwzględniłam czas na zmęczenie?

Psychologia mówi o błędzie planowania – mamy tendencję do zaniżania czasu potrzebnego na wykonanie zadania.

To nie brak kompetencji. To ludzki mechanizm poznawczy. Analiza zamiast wstydu.

Wziąłem/wzięłam na siebie za dużo. Dlaczego?

Ambicja jest siłą rozwojową. Ale bez racjonalnych granic prowadzi do przeciążenia.

Przyjmujemy za dużo, bo:

- boimy się utraty zleceń,
- chcemy się wykazać,
- nie umiemy odmówić,
- przeceniamy swoją wydolność.

Gdy pojawia się zmęczenie, łatwo powiedzieć: „Powinienem być / powinnam była wiedzieć”. Lepiej jednak powiedzieć: „Teraz już wiem”. To różnica między wstydem a doświadczeniem.

Ambicja vs. perfekcjonizm

Ambicja mówi: „Chcę robić to dobrze”.

Perfekcjonizm mówi: „Nie wolno mi się pomylić”.

Ambicja rozwija.

Perfekcjonizm zamyka w napięciu.

Paradoksalnie próba bycia idealnym/idealną zwiększa ryzyko błędu. Bo napięcie zawęża percepcję.

Błąd jako informacja, nie wyrok

Błąd mówi: „Tu zabrakło czasu”; „Tu było zmęczenie”; „Tu system nie zadziałał”.

Nie mówi: „Nie jesteś wystarczający/wystarczająca”.

W psychologii rozwoju mówi się o nastawieniu na wzrost – przekonaniu, że umiejętności rozwijają się poprzez analizę i doświadczenie. Redakcja to zawód długiego dystansu. Nie wygrywa ten, kto nigdy się nie potknie. Wygrywa ten, kto potrafi iść dalej bez nadmiernego ciężaru. Stara prawda: bez błędów nie ma doświadczenia.

Błędy są nieuniknione. Perfekcja jest iluzją. Rozwój jest procesem. Zdrowy redaktor to taki, który:

- analizuje,
- wyciąga wnioski,
- modyfikuje system pracy,
- pozwala sobie być człowiekiem.

Bo w tej pracy nie chodzi o to, by być bezbłędnym. Chodzi o to, by być uważnym. A uważność wymaga spokoju.

MUCHA

MONODRAM DLA AKTORKI

REDAKCJA: MAGDALENA DZIEKAN
KOREKTA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA
KOREKTA TECHNICZNA: KATARZYNA PYKA

ONA – JADWIGA

(Jest kobietą przed czterdziestką. Sprawia wrażenie zaniedbanej. Makijaż ma rozmazany – może zbyt krzykliwy i nieudolnie zrobiony – albo nie ma go wcale. Ubrana raczej domowo: wygodnie, mało finyzyjnie. Jeśli natomiast jest ubrana wyjściowo, to strój nie ma wykwinności i elegancji, jest raczej nieudaną próbą wykreowania dobrego wizerunku.

Scena się rozświetla. Z przodu, pośrodku klęczy Jadwiga. Ręce ma złożone jak do modlitwy).

I nie wódź mnie na pokuszenie, ale mnie zbaw ode złego. Amen.

(Spuszcza wzrok, przez chwilę jest cicho, potem podnosi wzrok).

Wiem, że grzeszę. Biję się w piersi!

(Uderza się w klatkę piersiową).

Ale jak długo jeszcze mam cierpieć? Tylko dlatego, że moja pramatka w raju była nieposłuszna? Zerwała jabłko i co z tego? Przecież to tylko jedno jabłko!

(Po chwili wstaje z klęczek).

Ile jeszcze za to jabłuszko trzeba płacić? I czemu tylko kobiety?

To już tysiące bolesnych lat miesiączek, menopauz. I ciągle niezadowolone: z biustu – bo albo za mały, albo za duży; z włosów – bo czemu się nie kręca, tylko są proste, a jak się kręca, to czemu nie są proste. Z bioder – bo zawsze za szerokie. Z nóg – bo nawet jak są długie, to albo łydki za grube, albo uda za grube.

Ile jeszcze przeciągów po każdym facecie, który trzaska drzwiami, bo nie mogę mu ofiarować niczego, czego nie znajdzie gdzie indziej?

(Zamyśla się. Nagle zastyga, jakby coś usłyszała. Goni za czymś wzrokiem).

Bzz... bzz... Obudziłaś się? Czego chcesz? Z Bogiem rozmawiam! Szacunku trochę mieć powinnaś! I nie przerywać!

(Zrywa się, podbiega do stołu i chwytą łapkę na muchy. Próbuje nią uderzyć niewidzialnego owada. W końcu zrezygnowana siada na krześle).

W dzień to ona śpi. Budzi się wieczorem i tym bzyczeniem, pełnym pretensji, doprowadza mnie do szału. A może to Ty ją przysłałeś?

(Podnosi wzrok).

Jeszcze jedna kara?!

(Milczy, wpatrzona w dal).

Przyszedł ten moment i mi się wydawało, że wszystkie grzechy spłaciłam. Nie czułam już pod stopami kamieni. Znow zaczęły pachnieć konwalie. A to taki cudny zapach.

(Biust podnosi. Na siwych odrostach farbę kładzie, uśmiecha się jak za dotknięciem różdżki).

Pojawił się ten jedyny. Czekałam na niego całe życie. Ślepia rozanielone miałam, aż zmarszczki wygładziły się na twarzy. I tak sobie myślę nieśmiało, cichutko – nareszcie.

A Ty zrzucasz na mnie zarazę!

(Podchodzi do umywalki i myje ręce. Potem podchodzi do stołu i spryskuje go środkiem dezynfekującym. Mruczy ze złością).

Nie znoszę tego zapachu.

(Po chwili kontynuuje).

A może tamte grzechy spłacone? Teraz moje własne spłacam? Powiadają: Pan Bóg nierychliwy... Ale czemu akurat u mnie taki rychliwy jesteś?! Nie możesz chwilę poczekać? Latami turlam się po wybojach. W końcu udało się znaleźć kolebkę i kołysało mną tak cudnie.

A Ty mi coś takiego?! Że niby... zła córka jestem? Matkę z domu wyrzuciłam? Nie wyrzuciłam. Mieszkancko koło kościoła jej znalazłam. Zasłużyłam, żeby we własnym domu mieć trochę powietrza wyłącznie dla siebie. I móc decydować, co robię i z kim robię.

(Idzie umyć ręce, potem spryskuje środkiem dezynfekującym. Może też mieć rodzaj natręctwa, na przykład drapać nerwowo różne części ciała).

Wszystko było zaplanowane. Nawet pościel wykrochmaliłam. W końcu trzeba być przygotowanym, na wszelki wypadek. Kolacja zawsze może się śniadaniem skończyć.

Mówili, że Chińczycy wirusa wyhodowali, że to nowa broń biologiczna. Ale nie słuchałam, bo pacyfistką jestem. Co mnie jakaś broń obchodzi? A tu nagle bum! Z domu wychodzić nie wolno, bo ktoś z Niemiec wirusa przywiózł. Że też ludzie przez tyle lat się nie nauczyli, że Niemcom ufać nie można.

No to siadłam przed telewizorem – i aż się przeraziłam! W Chinach ludzie umierają, Włochy granicę zamykają. W panice do sklepu biegnę, a tam półki z ryżem i makaronem puste. Cukru też nie ma. I papieru toaletowego. Myślę sobie: ryż z Chin – stamtąd zaraza przyszła; a makaron

z Włoch – tam najwięcej ludzi zabiła. Może ludzie myślą, że się uodpornią? Ale po co im cukier? Żeby bimber pędzić? Mówią, że wysokie procenty odkażają. A papier toaletowy? Przecież to nie jelitówka!

Powietrze w sklepach jakieś takie suche się zrobiło. W gardle drapie – ale kaszlnąć przecież nie można. Raz kaszlnęłam, w kolejce, przy kasie. Cisza. Ludzie się ode mnie odsunęli. Zaczęli mnie wzrokiem bić, jakbym kogo zamordowała. Poczułam przerażona, że jeszcze mocniej drapie. Ale za nic w świecie drugi raz nie kaszlnę! Prawie się udusiłam! Na szczęście dałam radę. Z tego przerażenia zaczęłam szukać w sobie winy. Czemu mnie to spotyka?

Pomyślałam o mamie i że trzy lata terapii nic nie dały. Znow się czuję winna.

Nawet przed terapeutką wypłakać się nie mogę. Na koniec tej zarazy czekać muszę.

Dzwonię do niego i pytam, czy nasze ustalenia są aktualne. A on, że musimy przesunąć, bo w grupie ryzyka. Ale myśli o mnie czule. Rozzłościłam się, że tchórz z niego. Co mi z tego czułego myślenia, skoro ja marznę?

Ciepłem wypełnić mnie trzeba, żebym w ogóle to przetrwała!

Przeraziłam się, że w grupie ryzyka jestem. Ryczeć mi się zachciało. Że przemijam, że jestem śmiertelna. Do tej pory nie miałam czasu o tym myśleć.

Rachunek robić zaczęłam – co ja w tym życiu osiągnęłam? Czy sens jakiś miało? Dzieci nie mam. A i facet się do tej pory nie nadarzył, ten właściwy. A może i nadarzył, tylko matka wszystkich na smycz brała i kontrolować chciała – to pouciekali.

Czasami taki gniew mnie na nią wypełniał, że wszystko było mi jedno, co ona powie.

Trzaskałam drzwiami i szłam w miasto, miłości szukać. Tego zachwytu, zapachu, dotyku.

I myślałam za każdym razem, że to ten. Co z tego, że mnie od dziwki wyzywała?

Jak wracałam do domu, to byłam czymś wypełniona. Jakimś światłem... I te słowa nie bolały wcale, jakby odbijały się ode mnie.

(Wzdycha).

Tylko, że to zawsze krótko trwało. A każdy taki sam sukinsyn. Obietnice robić, wymiętolić i do widzenia.

(Znowu idzie się myć i dezynfekować ręce. Słyszcy bzyczenie muchy).

Idźże, cholero! Rachunek sumienia robię!

Napatoczyła się taka, karmiona gównem, i nijak odczepić się nie chce. W tej ciszy słychać tylko jej bzyczenie.

Jeden był dłużej. Jadwisia – mówił do mnie.

(Uśmiecha się do siebie).

Mieszkałam nawet u niego. Matka z księdzem przychodziła. Wodę święconą wylewali, kazali krzyżem na podłodze leżeć. Ale się nie dałam.

W ciąży zaszłam. Szczęśliwa byłam jak nigdy. Mówiłam mu, że to owoc naszej miłości. A on mi, że ten owoc miłość psuje. Że z „owocem” to ja mogę do matki wracać. I że mam wybierać – on albo owoc.

Pomyślałam, że jak tak wybierać każe, to kochać musi. Więc wybrałam jego.

Potem jeszcze raz zaowocowało i znów musiałam wybrać. W końcu powiedział, że ziemia we mnie za żyzna i tych owoców już się boi. Kazał się wynosić, bo nową znalazł.

(Wzdycha).

Dzieci nie mam. Miłości nie znalazłam. I dopiero niedawno matkę z domu wyprowadziłam. Wszystko razem nie dało mi nadziei na lepsze jutro.

(Zamyśla się).

Gdybym mogła cofnąć czas... Mamą bym chciała być. Może chociaż ta miłość jest prawdziwa? Ale nie taka jak u mojej matki. W kościele musiałam stać spokojnie, bo mnie tak szczypała, że łzy z oczu płynęły. A potem siniaki miałam. Za karę w komórce siedzieć musiałam, bo Boga nie szanuję.

(Wznosi oczy ku górze. Składa ręce do modlitwy).

I wybacz nam nasze grzechy i wybacz, że Cię nie szanowałam. Ale ciężko wystać w tym za duchu, w głowie się kręci. A z ambony wciąż to samo – że całe moje życie grzechem naznaczone.

(Zamyśla się).

Małeństwo takie niewinne i czyste... Kościołem i telewizją niezatrute. Może by mnie pokochało, taką nieudaczną i niepasującą do nikogo.

Terapeutka mówi, że czasu cofnąć się nie da. Przecież wiem – odpowiadam. Ale mogę sobie pomarzyć? – pytam.

Ona, że to nie marzenia, tylko iluzja. I że uciekam w nią od problemów dnia codziennego.

Ja na to, że mogę jeszcze mieć dzieci.

A ona, że to nie byłoby dobre ani dla mnie, ani dla dziecka. Bo jeśli chcę dzidziusia po to, żeby ktoś mnie pokochał, to nakładam ogromną odpowiedzialność na to nienarodzone.

Sama najpierw muszę się pokochać.

Mądrzy się i mądrzy... Studia pokończyła, a głupoty takie opowiada.

Przecież ja siebie kocham, pani doktor – mówię.

Wszystko robię, żeby mi dobrze było. Chłopa szukam, co by się mną zaopiekował, przytulił.

A ona mi przerywa, że to ja sama mam się sobą zaopiekować i granice stawiać.

Potem minę poważną robi i rzuca, że życzy sobie, żebym używała feminatywów. Bo jak mówię do niej „doktor”, to jest brak szacunku.

Kiwam głową na to i już nic nie mówię. Bo nie mam pojęcia i boję się, żeby jej nie obrazić. Dobrze, że sesja się kończy. Sprawdzić muszę, co to te feminatywy.

(Zaczyna opędyć się od czegoś niewidocznego. Machać rękoma. Potem klepać mocno po ramionach, jakby siadała na nich ta niewidoczna mucha).

Dajże spokój na chwilę. Pomyśleć nie można. Czy ty masz dzieci? Pewnie masz. Srajka jesteś, ale złamać się nie dasz. O dzieci swoje walczysz? Siły to ty masz więcej niż ja.

Nie mogłam spać. Tak jakbym na śmietnik wyrzuciła coś, co było częścią mnie. Poczucie winy żołądek ścisnęło. Nie mogłam oddychać z bólu.

(Milczy przez chwilę).

A mówił do mnie, że kocha. Że takiej jak ja, to jeszcze nie miał.
Kiedy się dowiedziałam, że jestem w ciąży, to jakbym była w bajce.
On spojrzał z niechęcią. Powiedział, że za wcześnie.
Łzy same zaczęły mi płynąć, więc zaczął tym kochaniem obściskować.
A jak już sił nie miał, powiedział, że jesteśmy dorośli i bajki nam niepotrzebne.
I poczułam, jakby coś we mnie się zapadało.

(Patrzy w górę).

Gdzie wtedy byłeś? Czemu nie pomogłeś sił znaleźć? Światła w tych ciemnościach nie zapaliłeś? Nie było Cię. Drugi raz wyskrobałam. Czekałam, aż na dziecko gotów będzie.

(Milczy znów przez chwilę).

No i się doczekałam. Wyrzucił, bo inna grządka świeżą ziemią mu zapachniała.
Okno też musiałam zamknąć, bo ciągle tylko słyszałam: Proszę pozostać w domu. Wychodzić tylko w razie konieczności. Nie zapominać o maseczce, rękawiczkach i zachowaniu odstępu.
Uciec chciałam od tego lęku wrzucanego przez okno. Włączyłam telewizor.

(Myje ręce, dezynfekuje, przeciera blaty i klamki).

Słuchałam i się zastanawiałam, kto jest większym idiotą – ja czy ci tam w środku?
Zamknęli granice, ludzi w domu pozamykali. Mówią, że Matka Boska nas broni. Że jesteśmy przygotowani na każdą sytuację. Przed czym nas broni? Zarazę już wpuściła! Słuchać tego nie mogłam.

Nagle zaczynają mówić o chronieniu wartości chrześcijańskich. Że nie możemy zapomnieć. I że kobieta nie ma prawa wyboru, bo wybiera głupio. Wszystko jedno, czy zgwałcona, czy nie – ma rodzić. A że umrze? Mówią, że każdy kiedyś umiera.

Aż mnie krew zalała. Wybrałam głupio i żal serce ścisnęło. Ten ciężar będę nosić do końca życia – bo to mój wybór był. I żaden minister, żaden stary dziad nie będzie za mnie decydował! Patrzyłam na tę nachlaną gębę i aż się przeraziłam, że ktoś taki o moim życiu decydować będzie.

Teraz nie czas na kobiecą głupotę! Zarazę trzeba wyplenić, bo nas wszystkich pozabija.

Z tego strachu kaszlu suchego dostałam. Zaczęło mnie dusić, a w nocy gorączka poty ze mnie wylewała. Wystraszyłam się. Na wszystko jesteśmy przygotowani!

(Śmieje się ironicznie).

A ta infolinia – jeden wielki pic! Dzwonię do sanepidu, a pani mówi, że jak za granicą nie byłam, to żadna korona.

To dzwonię do lekarki. A ona, że wszystko wskazuje na chorobę. Mam wezwać pogotowie.
Ręce mi drżą. Już widzę, jak umieram!

A pogotowie mówi, że nie przyjedzie, bo nie spełniam warunków. Zagrożenia życia – nie ma.
Ja im na to, że test muszę zrobić, bo z ludźmi pracowałam. Rodziny mają.

A oni, że kto miał się zarazić, to się zaraził. Mam zostać w domu i się obserwować. A gdybym
czuła, że umieram – to dzwonić. Już czuję!

Nie wiedziałam, co robić. Telewizor wyłączyłam, bo pokazywali, jak we Włoszech ulice są
puste. Wiatr się odbija od murów – zimny, że aż ciarki przechodzą.

W ciszy uspokoiłam się trochę.

A tu matka dzwoni. Że wirus jej radio zabija! Że pieniędzy nie mają! Że modlitwy jej zabrają!
A bez nich – ona umrze.

Pytam, czy nie może się sama modlić?

A ona, że nie – i że pieniądze im trzeba wysłać.

Odłożyłam słuchawkę. Czuję, że myśli znowu pędzą.

I że natychmiast muszę wyjść z domu.

Poszłam do sąsiadki psa pożyczyć, a ona mi mówi, że jej to już był dzisiaj i ledwie chodzi po
domu. Żebym szła do tej. No to poszłam.

Ale na piątym nikt nie otworzył. Myślę, co tu zrobić? Sama nie mogę wyjść, bo stan wyjątkowy.
To znaczy... nie ma stanu wyjątkowego, ale nic nie wolno.



Zebrałam całą odwagę, jaką miałam w sobie, i wyszłam sama, bez psa. Zacisnęłam pięści, podniosłam wysoko podbródek i idę.

Ciemno i cicho, nikogo nie ma.

Odetchnęłam z ulgą.

Przeszłam naokoło bloku. Byłam już pod samą bramą, a tu policja mnie zatrzymuje.

Pytają, czy wiem, że z domu mogę wychodzić tylko w razie konieczności.

Myślę: co powiedzieć?

Nie powiem, że do pracy idę – przecież późny wieczór.

Mówię więc, że pies mi uciekł i muszę go znaleźć. Na to policjant, że raczej nie ma szans – psy z domów uciekają, bo spacerów mają dość.

Zasalutowali i odeszli.

A ja zmęczona do domu wróciłam.

Zacząłam szukać ładnych wspomnień. Chciałam się czymś ogrzać. Chłód w środku czułam. Dzwonię do niego. Chcę, żeby powiedział, że o mnie myśli. Mówi, że myśli.

Pytam, czemu nie dzwoni.

A on, że tyle ma na głowie.

Ja zdziwiona – co on niby ma na głowie, jak wirus grasuje?

Ścisnęło mnie w gardle, zaczęło drapać i musiałam kaszlnąć.

A on, że sobie życie porządkuje i musi kończyć. Słuchawkę odłożył.

(Podnosi głowę do góry).

Bzz... bzz... Śmieję się!

On też się pewnie śmieje.

A ten wasz śmiech zaczyna dusić. Bo nie może być, że ja z samych wad zlepiona.

Dzieckiem Bożym przecież jestem!

Wmógł mnie w ką! Na kupkę śmieci – w czasie tych swoich porządków!

Żeby sobie głowy nie zaprzętać.

Dopiero wtedy zaczęło dusić.

Funta kłaków te wyznania były warte.

I czego on się boi?

Przecież gdybym była chora, to przez telefon go nie zarażę.

(Myje ręce, dezynfekuje, potem spryskuje środkiem dezynfekującym blat stołu i przeciera go ściereczką. Odkłada ściereczkę, milczy chwilę zamyślona, idzie na przód sceny, klęka i składa ręce jak do modlitwy).

Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina, przeto błagam najświętszą...

(Przerywa i zamyśla się.)

Błagam wciąż o to samo. O odrobinę spokoju.

Ale Tobie tam u góry najwyraźniej się nudzi.

(Wstaje z klęczek, podchodzi do szafy, czegoś szuka, po chwili wyjmuje czarny parasol).

Złość taka we mnie wezbrała. Siłę w sobie poczułam.

Tacy oni są – mężczyźni. Kwiatka powąchać, a i owszem – bardzo chętnie.

Ale podać to już nie. A potem brzuchy rozlewają im się w fotelach i będą decydować, bo my za głupie jesteśmy!

Nikt o moim ciele decydować nie będzie. Tym razem nie schowam się pod miotłą.

(Wraca z dużym, czarnym parasolem. Rozkłada go. Mówi dalej drżącym głosem).

Wysłałam na balkon, żeby protestować. Widzę, że inne kobiety też wyszły i parasole trzymają. Poczułam, że nie jestem sama. Że jesteśmy razem. Żaden facet i żaden wirus nas nie zniszczy!

(Milknie na chwilę).

Tylko czasu nie cofnę. Mógłbyś wybaczyć. Miłość rozum mi odjęła.

(Przez chwilę jest cicho).

Wieczorem wiatr zaczął szaleć, to musiałam ten parasol znowu do domu wziąć.

(Składa parasol, milcząc podchodzi do szafy i go chowa).

Człowiek głupieje.

Wstaje rano i sprawdza, ilu zachorowało i ilu umarło.

Następnego dnia znowu – ilu zachorowało i ilu umarło.

A na koniec już tylko – ilu umarło.

A jest ich coraz więcej. Każdego dnia więcej.

(Krótka pauza).

Czuję, jak ta śmierć zbliża się do mnie zimnym przeciągiem. Serce bije mocniej, stopy marzną, ręce drętwieją.

Nie daj Boże, żeby lewa zdrętwiała – bo zaraz pojawi się następny lęk: czy to nie zawał czasami?!

Ta myśl zalewa mnie zimnym potem i nie wiem – czy to znowu nie atak paniki? Czy do szpitala jechać i się ratować? Jeśli to nie zawał, dam radę.

Tam wszędzie wirus czyha. A jak coś tak wrednego ofiar szuka – to najszybciej w szpitalu je znajdzie. Tam zaraza być lubi, bo obfite żniwa zbiera...

(Składa ręce do modlitwy i klęka).

Czemu zamykasz mnie w więzieniu lęków?

Karzesz dokonywać wyborów. A każdy jest sprawą życia i śmierci. Zostawiasz zupełnie samą.

Milczy.

Próbuję się uspokoić. Obrazek w głowie namalować. Już prawie jestem na plaży. Ziarenka piasku przelewają się przez palce. Pachnie morze. Szum fal się uspakaja.

A tu nagle telefon.

(Podnosi głowę do góry. Macha ze zrezygnowaniem rękoma).

Bzz... bzz... Własnych myśli nie słyszę! Wszyscy przeciwko mnie! Nie możesz chociaż ty jedna być ze mną?!

(Nasłuchuje).

Coś tak ucichła?

(Mówi do siebie).

Może zrozumiała.

Matka dzwoni. Słyszę: Jadźka! – i mrówki przebiegają mi wzdłuż krzyża, a w brzuchu ściska ze strachu.

Ona, że na cmentarz jechać muszę. Do tatusia. Bo rocznica jest.

Ja jej na to, że cmentarze są zamknięte.

A ona mi, że jej się tatuś śnił. A przecież wiem, że jak jej się śni, to dostaje palpacji. I że nie trzeba na grób. Wystarczy pod bramą stanąć. Ona dalej gada, jak najęta.

Zamknęła się w końcu. Ja też milczę. Po chwili mówi, że jak ja nie chcę, to ona sama pojedzie.

Krew mi do głowy uderza. Dopiero w telewizji mówili, że najgorsze przed nami. Siedzę w ciasnym mieszkaniu i boję się już nawet okna otwierać, a ona mi tu z cmentarzem!

Nie ma mowy! – mówię. I od razu czuję się silna! Jestem z siebie dumna. No a potem myśli znowu lecą mi w głowie na złamanie karku: bo przecież ona jest gotowa wyjść z domu i pojechać.

A jak zachoruje? Jak coś jej się stanie? To znów będę czuła się winna. Zadzwońabym do terapeutki... ale nie mogę.

Bo wirus. Telefonów nie odbiera. Jeszcze chwila i coś się stanie. Sufit mi na głowę spadnie.

Jak to było?

(Zamyka oczy, próbuje się uspokoić, siada, bierze głęboki oddech).

Mam wyobrazić sobie cytrynę. Już mam. Przekroić ją na pół i powinno pomóc. Przekroiłam i nic. A jak nie pomoże, to wycisnąć z niej sok. Pomogło. Serce się uspakaja i usta pełne śliny.

Tłumaczę sobie, że dam radę. Nie jestem stara. Na nic nie choruję. Pewnie miałam już tego wirusa, nie wiem tylko o tym. Udało się uspokoić. Zbieram się na ten cmentarz. Zamykam drzwi. A tu akurat sąsiadka z psem wychodzi. Widzę, że ma ochotę pogadać.

I o czym? O wirusie! Że to wszystko nieprawda. Wymyślili, żeby ludzi w domu pozamykać. Żeby nastraszyć, szczepionkę wyprodukować i wszystkich zaszczepić. O pieniądze chodzi. My ze strachu się pocimy, a oni ręce zacierają i liczą, ile forsy zarobią.

Patrzę na nią i sama nie wiem, czy ma rację, czy nie.

Widzę, że coraz bliżej się przysuwa. Przestaję oddychać. Nogi robią się miękkie. W końcu poszła. Oddycham z ulgą.

Dotarłam na przystanek na tych miękkich nogach. Autobus przyjechał, maseczkę założyłam i wchodzę. Siadam i czuję, że powietrze w środku stoi – strachem wypełnione. Maseczka do ust mi się przykleja. Pocę się pod nią, pocę się wszędzie, uszy bolą od gumek.

Cisza dudni w skroniach. Wszyscy patrzą po sobie podejrzliwie i ze strachem.

Czuję, że zaczyna drapać mnie w gardle. Ale za żadne skarby świata nie kaszlę!

Próbuję skupić się na czymś innym. Patrzą na metalową rurkę. Ale przed oczami pojawiają się literki z gazety – że wirus na metalu zostaje ileś tam. Zaczynam gorączkowo szukać w głowie, ile na papierze, ile na metalu, ile na plastiku, i przerażona nie mogę znaleźć. A potem się zastanawiam, kto siedział przede mną na tym miejscu. Że muszę uważać, żeby się z nikim nie dotykać. Wróć z cmentarza, wezmę prysznic i dopiero się uspokoję. Pomyślałam o cmentarzu, przypomniała mi się matka. Cały dzień się modli – razem z radiem.

Ostatni pieniądz na tacę odda. Nigdy nie zapytała, czy ja nie potrzebuję pomocy. Nie myśli, że mogę zachorować. Ważne, żeby ojciec śnić się przestał.

(Milczy przez chwilę).

Potem oczyma wyobraźni jego widzę. Błysnął palec ze złotym sygnetem. Aż mi się płakać zachciało. Na co to gadanie było? Jadwigo – mówił, a ja od razu czułam się wyjątkowa. I tłusta plama na bluzce już nie przeszkadzała. I że będziemy na tęczy tańczyć – mówił. Że widzi w moich oczach morze. Że czekał całe życie na mnie. Że nie może przestać myśleć. A teraz co?

Kto jest winien? Wirus czy ja?

(Wzdycha).

W autobusie coraz więcej ludzi i coraz mniej powietrza. Maseczka przykleiła się do twarzy. Czuję, że własnym potem oddycham. Słońce wali w szybę. Wszyscy rozglądają się nerwowo i czujnie, jakby tylko czekali, że zaraz nagle ktoś zza pazuchy nóż wyjmie.

Może sąsiadka ma rację? Może ten wirus wymyślony? Jak tak dalej pójdzie, to wszyscy powariujemy.

Połowa ludzi myśli, że wirus wymyślony. Druga połowa, że to koniec świata. Ale wszyscy zgodnie wierzą, że jedyną ochroną jest papier toaletowy. Co stało się z tym światem?! Powietrza już prawie nie ma. Maseczka nos zatyka. Wszystko wirować zaczyna.

Widzę w głowie, jak matka mnie szczypie i płakać nie pozwala. Ksiądz wodą oblewa i grzesznicą nazywa. Tamten miłością miętosi, a później wyrzuca znudzony. Widzę siebie, jak płaczę i nie mogę spać po skrobankach. Coraz szybciej bieżą obrazy w głowie i trudniej się oddycha. Potem jeszcze sygnet złoty, co miłość obiecuje, dużo gada, a życia dotknąć się boi. Wiruje, aż mi mdło w żołądku!

Nagle autobus staje na przystanku i przez otwarte drzwi wpada mucha. Moja mucha! Robi się jeszcze ciszej, wszyscy przerażonym wzrokiem wodzą za nią. A ona sobie z tego nic nie robi. Tylko bzyczy. Bzz... bzz...

Lata po całym autobusie, odbijając się od okien – jakby skakała na trampolinie.

Wystraszone dłonie zaciskają się mocno na metalowych rurkach. Aż bieleją kości palców.

Ludzie już nawet muchy się boją!

Patrzę na nią i czuję... Że się jej nie boję. Że jej zazdrozczę. Że jest wolna. Że jest ze mną!

(Patrzy w górę).

To Tyś mi ją przysłał. Srajkę aniołem stróżem zrobił!

Drzwi otwierają się na następnym przystanku. A w mojej głowie toczy się wojna, którą wygrywam. Już wiem, że nie pojedę na cmentarz! Nie dam pieniędzy na modlitwy z radiem!

Nie będę do niego dzwonić. Nowego znajdę!

Mucha wylatuje przez otwarte drzwi i jakaś siła we mnie podejmuje decyzję.

Do góry mnie podrywa!

W ostatniej chwili wypadam z autobusu za nią. Zdieram maseczkę. I czuję, że oddycham.

KONIEC

B

P

MIEJSCA W SIECI:

I

W SEN

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

Marzę sobie średniowiecznie
W pewnym miejscu drogi mlecznej
Gdy wypadną zęby mleczne
Przeczenie jest najbezpieczne

Kierunkowo chodzę wstecznie
Choć zazwyczaj niekoniecznie
Lepiej mieć lub nie mieć sprzecznie
Po posiłku mantrę wiecznie

I pomyślę znów na śpiąco
W wesołość rozbrajającą
By na jawie tak kojąco
Znów wejść w sen wymijająco

Przebudzenie znów rozpocnę
Na jałowym biegu spocznie
W środek dnia trochę odpocznę
Tak jak trunki wieloroczne

Komuś wysłę teksty głupie
Z publikacją po mym trupie
Z trumną po niżce w zakupie
Coś mnie w krzyżu stale chrupie

I odniosę się do wróża
Gdy myśl ciągle w sen zanurzam
Gdy kart wicher, idzie burza
Lepiej w kieszeń łapka kurza

Po cóż życie wciąż marnuję
I na jawie tak strofuję
Kiedy kontent podminuję
Snem, za który podziękuję

CISZA

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

spijam ciszę z pomroku nocy
gdy świat otulił się już snem
karmię się nią, nie mogąc nasycić
czy ta noc musi stać się dniem?

poczekaj niesprawiedliwy śnie
i nie zabieraj mnie jeszcze
nie chcę fałszywego ukojenia
poczuć daj cierpienia dreszcze

daj usłyszeć głosy sumienia
daj wyzalić zbolełej duszy
nim znów głośne światło dnia
chaosem wszystko zagłuszy

CZERSTWY CHLEB

REDAKCJA: WERONIKA BELOWSKA

KOREKTA: MAGDALENA DZIEKAN

KOREKTA TECHNICZNA: WERONIKA BELOWSKA

Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, miała na sobie sukienkę w kwiaty i wyglądała na nieśmiałą. Żadnego dekoltu, żadnego wystającego ramiączka stanika, a sukienka nawet nie odsłaniała kolan. Błyszczące oczy, zęby lśniące od śliny, której smak chciał poczuć, gdy tylko dostrzegł igrające w niej refleksy światła.

Uśmiechała się. Spod burzy czarnych, kręconych włosów, których nie dało się ujarzmić, posyłała nieśmiały uśmiech do kogoś, z kimś rozmawiała, ale nie patrzył na rozmówcę – patrzył na nią.

To było jak olśnienie. Jak szczeniackie zakochanie od pierwszego wejrzenia, które tak przypomina rażenie piorunem. W jednej chwili normalne tętno, rytm serca taki, jak rytm serca człowieka w jego wieku, a potem ten ucisk w piersi, to uniesienie, suchość w ustach i łomot pod żebrami. Coś w brzuchu, coś w plecach, tam, gdzie powinien być krzyż, a gdzie teraz drgały drętwiejące emocje. I coś w głowie, gdzie nie powinno być miejsca na takie reakcje, nie w jego wieku, nie teraz, nie tu, nie...

Ale ona tam była, uśmiechała się, mówiła coś głosem, którego nie dało się określić inaczej niż dźwięczący młodością, opowiadała, prawie nie mrugała. Nie odgarniała włosów. Wiatr bawił się jej sukienką.

A on patrzył. Chciał poczuć jej zapach, chciał do niej zagadać albo chociaż się zbliżyć. Ile by dał za siłę,

która pozwoliłaby mu wykonać krok w jej stronę. Ale on po prostu stał...

Kiedy zobaczył ją znowu, wyglądała trochę inaczej. Włosy już nie były tą niesforną gęstwą, wyprostowała je. Jej twarz stała się smuklejsza, ale nadal była taka sama: ten sam nos, te same brwi, ten uśmiech, od którego marszczyły się jej policzki. Jakby zrzuciła, co młodzieńcze, samej młodości nijak nie zatracając.



Miał wrażenie, że stała się... bardziej zwyczajna? Bardziej ułożona? Poważna?

Inny strój, zielona bluzka we wzór, który ledwo zauważył – był tak dyskretny, tak nie rzucał się w oczy, jakby chciał się ukryć. Nie było w niej już tej wstydlivości, a ona sama nie chciała się ukrywać.

Widował ją teraz częściej. Krótsze, prostsze włosy wyławiał z tłumy bez chwili zawahania i – bezbłędnie. Podążył za nią, kiedy szła przez las i kiedy przedzierała się przez tłum. Gdy w białej bluzce w kwiaty tak delikatnie żółte, że ich kremowa barwa aż ginęła w tej bieli, szła na plażę, gdzie siedziała na piasku i patrzyła na fale, był za nią, niewidoczny jak duch.

Może był duchem?

Innego dnia widział ją, jak rozmawia z jakimś mężczyzną w restauracji. Siedziała z nim przy stoliku, śmiała się, a szyba lokalu, tak czysta, że aż przeglądało się w niej całe miasto, wygłaszała każde jej słowo. Zostawał jedynie ruch ust, z którego nie dało się nic odczytać. Nie wiedział, kim jest tamten facet, ale szczerze, całym sobą nienawidził go bardziej niż kogokolwiek na świecie, bo wiedział, że ten niedługo będzie ją całował. Że to tamten pozna smak jej ust, jej zapach i może więcej, dalej...

Zaciskał pięści i zagryzał zęby. Tracił apetyt. Pocił się. Pocierał twarz. Cały był w emocjach, których nie potrafił i nie chciał okazywać.

Odwracał wzrok. Odchodził. Powracał. Wszystko w ciszy, w milczeniu, którego nie chciał przerywać. I patrzył.

Kiedy zobaczył ją następnym razem, była już stara. Siwe włosy obcięta na krótko, niemal po męsku. Zmarszczki na twarzy upodabniały ją do kromki czerstwego chleba. Dawne, lśniące, prawdziwe zęby zostały zastąpione przez sztuczne – tak samo lśniące, ale mniej apetyczne.

Oczy pozostały takie same. Oczy, które jednocześnie uśmiechały się i wydawały smutne. Podkrążone. Usta węższe, ale uśmiech, który po nich

błądził, wciąż nosił w sobie znamiona tamtego sprzed lat.

Zestarzała się, ale z godnością – nie jak seksbomby kina. Nadal miała w sobie to coś. Nie cała młodość została w niej zabita.

Wkrótce potem się dowiedział, że zmarła.

Jeszcze chwilę temu widział ją żywą, znów z kimś rozmawiającą, grającą na skrzypcach, jakby dopiero na sam koniec odkryła w sobie nową pasję, a potem...

Westchnął.

Przeciągnął się.

Spojrzał na swoje ręce, na odbite w skórze półksiężycy paznokci zaciskanych pięści. Na niedojedzoną kolację. Na śpiącą obok żonę, która zasnęła w fotelu z opróżnionym kieliszkiem po winie w dłoni.

To było dziwne.

Podobno ten, kto czyta, żyje tyle razy, ile bohaterowie książek, które poznał. Ile razy żyje przeciętny widz? Nigdy się nad tym nie zastanawiał, ale teraz czuł się tak, jakby przeżył romans trwający całe życie, całą wieczność, ale skondensowany do ledwie... ilu? Pięciu? Sześciu godzin?

Maraton filmowy z zapomnianą gwiazdą kina. Nie znał jej, nigdy o niej nie słyszał, a nawet jeśli jej nazwisko obito mu się o uszy, nigdy go nie zapamiętał. Skąd miał wiedzieć, że zakocha się w niej od pierwszego wejrzenia? Że będzie patrzył, jak starzeje się z filmu na film, poważnie, siwieje, aż...

Skąd miał wiedzieć, że kiedy wyszuka w sieci jej nazwisko, żeby zobaczyć, co by tu jeszcze z nią obejrzeć, dowie się, że zmarła kilka lat temu?

Skąd miał wiedzieć, że przeżyje z nią całe jej życie w parę godzin? Skąd...?

Przetarł oczy.

Zakochał się, przeżył stratę. Było. Minęło. Zostało milczenie. Spojrzał na żonę, której nigdy nic o tym nie powie. Przez chwilę się zastanawiał, ile podobnych romansów mogła przeżyć ona, i poczuł wściekłość. A potem... zmienił kanał. Le-

ciał właśnie film z jakąś nową, modną gwiazdką kina, o której nic nie wiedział. Kto wie, co się wydarzy...

MICHAŁ P. LIPKA.

Rocznik 88. Autor opowiadań, które można znaleźć na różnych portalach (Kostnica, Sztukater) czy w magazynach i antologiach („Biały kruk”, „Czerwony Karzeł”, „Konstelacja grozy”, „Zakamarki nocy”).

Lokalnie wydał dwie książki – „Księga Twardowskiego” i „Szafran”. Zdarzyło mu się działać też na polu komiksowym i publicystycznym.

MIEJSCA W SIECI:

Instagram: https://www.instagram.com/michal_p_lipka



Przebudzeni LOG I. Zresetowana



Autor: Klaudia Michnik

Wydawnictwo: self-publishing

Oprawa: miękka

Formaty: druk, e-book

Gatunek: science fiction

Data premiery: kwiecień 2026

Gdzie kupić? W sklepie autorki, www.klaudiamichnik.pl

ZARCHIWIZOWANE WSPOMNIENIE [NIEAUTORYZOWANE]

– *Arienne... musisz... ukryć... Nie pozwól mu...*

„Ukryć” słowo, które utkwilo w zresetowanej pamięci Arienne Revan. Dziewczynie bez przeszłości i bez prawa do... przyszłości. W Tarkaanie odnajduje ją imperator Vexar i Alec, dowódca rebelianckiej jednostki Nocturnis Vult. Obaj są gotowi zniszczyć całe światy, tylko po to, by zatrzymać Arienne dla siebie, ale kieruje nimi inna motywacja.

Z pomocą Nocturnis Vult i dowódcy, który jej nienawidzi, Arienne musi odtworzyć swoją przeszłość z urywków złożonych z krwi, kodu i cieni.

Cieni, które wybudzają jej drugą jaźń, a kiedy całkowicie się ujawni... Wszystko, co zna, stanie w płomieniach.

ZARCHIWIZOWANE WSPOMNIENIE LOG-01

[NIEAUTORYZOWANE | zakończone]

“Przebudzeni LOG-1. Zresetowana” to pierwszy tom dylogii – mrocznej, emocjonalnej space opery o wolnej woli, buncie i niebezpiecznych pragnieniach w dystopijnym świecie, gdzie człowieczeństwo ma kod kreskowy.

HIGIENA PRACY REDAKTORA I KOREKTORA

O ODPOCZYNKU MÓZGU, ODPOWIEDZIALNOŚCI I ASERTYWNOŚCI W ZAWODZIE

REDAKCJA: MONIKA BARTOSZEWICZ
KOREKTA: EWELINA BELZ

Praca redaktora i korektora bywa postrzegana jako „lekką” – wykonywana przy biurku, w ciszy, bez wysiłku fizycznego. To jednak złudzenie. Owszem, ciało rzadko się męczy tak jak w pracy fizycznej.

Ale mózg? On pracuje na najwyższych obrotach.

Redaktor i korektor nie tylko czytają. Oni analizują, interpretują, przewidują reakcje czytelnika, dbają o logikę tekstu, styl, rytm, spójność. Są odpowiedzialni za czyjaś historię, czyjś wizerunek, czyjeś nazwisko na okładce. A w ślad z tym także za własną reputację.

To obciążenie mentalne jest równie silne jak w wielu innych zawodach kojarzących się z pracą za biurkiem. Ciche. Niewidoczne.

Nierzadko lekceważone. A jednak realne.

Odpowiedzialność, która nie kończy się po wyłączeniu komputera

Redaktor bierze pod opiekę tekst, który dla autora bywa czymś więcej niż projektem. To często lata pracy, osobiste doświadczenia, ambicje, marzenia o publikacji. Świadomość tej odpowiedzialności potrafi ciążyć.

- A jeśli coś przeoczę?
- A jeśli autor się nie zgodzi?
- Czy to wystarczająco dobrze poprawione?
- Czy nie ingeruję za bardzo?

Korektor dodatkowo zмага się z presją perfekcji. Jego praca polega na wyłapywaniu błędów, które innym umykają. Paradoks polega na tym, że im lepiej wykona swoją pracę, tym mniej jest widoczny. A jeden przeoczony błąd potrafi zdominować odbiór całości.

To ciągła czujność poznawcza. A czujność wyczerpuje.

Dlaczego mózg potrzebuje odpoczynku

Otóż podczas redagowania mózg pracuje w trybie głębokiej koncentracji. To nie jest czytanie „dla przyjemności”. To czytanie:

- analityczne,
- kontrolne,
- selektywne,
- porównawcze.

Każda strona wymaga najwyższej uwagi. Każde zdanie – decyzji.

Badania nad funkcjonowaniem poznawczym pokazują, że zdolność do utrzymywania wysokiej jakości koncentracji spada po około 60–90 minutach intensywnej pracy. Po tym czasie rośnie liczba przeoczeń, skraca się cierpliwość, pogarsza się ocena stylistyczna.

W pracy redaktora oznacza to:

- więcej błędów,
- nadmierne ingerencje stylistyczne,
- spadek empatii wobec autora,
- zmęczenie decyzyjne.

Przepracowany mózg nie jest precyzyjny. A ta praca wymaga precyzji.

Mentalne obciążenia charakterystyczne dla redaktorów i korektorów

1. Perfekcjonizm

Wielu redaktorów to osoby o wysokich standardach. Chcą oddać tekst dopracowany. To piękna i pożądana cecha – dopóki nie zamienia się w silną wewnętrzną presję.

2. Samotność zawodowa

Praca odbywa się często w ciszy. W domu. Bez zespołu, bez bieżącej wymiany myśli. Brak natychmiastowego feedbacku potęguje wątpliwości.

3. Emocjonalne zaangażowanie w tekst

Szczególnie w pracy z literaturą autobiograficzną czy trudnymi tematami. Redaktor chłonie cudze doświadczenia, dramaty, traumy, niejednokrotnie „nadpisując” je na swoje własne. To także zostawia ślad.

4. Nieregularność zleceń i presja terminów

Albo jest dużo pracy naraz, albo jej nie ma. To generuje napięcie finansowe i emocjonalne.

Dlaczego higiena pracy jest tak ważna

Bo redaktor nie pracuje tylko oczami. On pracuje sobą. Jeśli nie zadba o:

- sen,
- rytm dnia,
- przerwy,
- granice zawodowe, jego jakość pracy spada. A wraz z nią – satysfakcja i poczucie sensu.

Brak higieny pracy prowadzi do:

- wypalenia,
- utraty radości z czytania,
- cynizmu wobec tekstów,
- nadmiernej drażliwości,
- chronicznego zmęczenia.

Redakcja i korekta wymagają świeżości umysłu. Bo umysł to narzędzie pracy. Jeśli jest przeciążone, cały warsztat traci ostrość.

Jak dbać o komfort psychiczny w tej pracy

1. Praca w blokach czasowych

Najlepiej 60–90 minut pracy plus 10–15 minut przerwy. Przerwa oznacza odejście od ekranu. Ruch. Światło dzienne. Ciszę. Spacer. „Przewietrzenie” głowy.

2. Oddzielanie projektów

Nie warto pracować nad kilkoma tekstami jednocześnie tego samego dnia. Mózg potrzebuje „resetu stylu”.

3. Rytuał zakończenia pracy

Zamknięcie pliku. Krótkie podsumowanie wykonanych zadań. Symboliczne „odłożenie” tekstu. To pomaga nie przenosić go do wieczornych myśli.

4. Sen jako narzędzie zawodowe

Brzmi banalnie. Ale sen konsoliduje pamięć, porządkuje informacje i poprawia zdolność dostrzegania błędów następnego dnia.

5. Ruch i ciało

Choć to praca umysłowa, napięcie odkłada się w ciele – w karku, barkach, oczach.

Regularny ruch to nie dodatek, to konieczny element higieny zawodowej. A jeżeli ruch z jakiegokolwiek przyczyny nie jest możliwy – zastąp go rysowaniem, oglądaniem znaczków lub jakimkolwiek innym dostępnym zajęciem nie polegającym na czytaniu.

Asertywność – fundament zdrowej pracy redaktora

Asertywność w tej profesji nie jest luksusem. Jest koniecznością.

Redaktor:

- negocjuje terminy,
- ustala zakres pracy,
- tłumaczy autorowi potrzebę zmian,
- odmawia nieuzasadnionych poprawek,
- wycenia swoją pracę.

Brak asertywności prowadzi do:

- pracy ponad siły,
- zaniżania stawek,
- przyjmowania nierealnych terminów,
- frustracji,
- poczucia niedoceny.

Dlaczego asertywność jest tak ważna?

Bo redaktor stoi pomiędzy tekstem a autorem, jest czymś w rodzaju pomostu.

Jeśli nie stawia jasnych granic, zaczyna pracować emocjami – z lęku przed konfliktem, z potrzeby udowodnienia swojej wartości.

Asertywność to:

- umiejętność mówienia „nie”,
- jasne określanie warunków współpracy,
- oddzielanie krytyki tekstu od krytyki osoby,
- szacunek do własnego czasu.

To jest chłód. To profesjonalizm.

Jak ćwiczyć asertywność w praktyce?

1. Jasne umowy

Zakres redakcji, liczba tur poprawek, termin oddania tekstu – wszystko powinno być ustalone na początku.

2. Realistyczne terminy

Jeśli tekst ma 400 stron, nie da się go rzetelnie zredagować w tydzień bez kosztów psychicznych.

3. Komunikaty „ja”

Zamiast: „To jest źle napisane”.

Lepiej: „Ten fragment może być nieczytelny dla odbiorcy, proponuję...”.

4. Świadomość własnej wartości

Redaktor nie jest dodatkiem do procesu wydawniczego. Jest jego filarem.

Pamiętać o sobie

Wielu redaktorów chce się wykazać. Chcą być dokładni, niezawodni, terminowi. Chcą, aby autorzy mogli na nich polegać. To piękne ambicje.

Ale w tej ambicji łatwo zapomnieć o sobie.

O tym, że:

- można odmówić,
- można przesunąć termin,
- można zrobić dzień bez czytania,
- można nie być perfekcyjnym.

Dbanie o siebie nie jest egoizmem. Jest warunkiem jakości.

Redaktor też jest człowiekiem

To zawód wymagający jednocześnie wrażliwości i analitycznego myślenia. To praca, która opiera się na odpowiedzialności za cudze słowa. To wysiłek, którego nie widać na pierwszy rzut oka.

Higiena pracy redaktora i korektora to:

- troska o mózg,
- troska o emocje,
- troska o granice,
- troska o ciało,
- troska o poczucie własnej wartości.

Bo tylko wypoczęty, spokojny i asertywny redaktor potrafi być naprawdę uważnym czytelnikiem. A uważność – w tym zawodzie – jest wszystkim.

Do czego prowadzi brak higieny pracy redaktora i korektora

1. Wyczerpanie poznawcze

Mózg nie jest maszyną. Nie działa tak, że im dłużej pracuje, tym lepiej, bo się „dociera”. Wręcz przeciwnie.

Badania nad funkcjonowaniem kory przedczołowej (odpowiedzialnej za koncentrację, planowanie i podejmowanie decyzji) pokazują, że przy długotrwałej intensywnej pracy bez przerw dochodzi do:

- spadku zdolności analizy,
- większej liczby przeoczeń,
- pogorszenia jakości decyzji,
- impulsywności.

To zjawisko nazywa się zmęczeniem decyzyjnym. Redaktor podejmuje setki mikrodecyzji na godzinę:

- czy zostawić szyk?
- czy zmienić interpunkcję?
- czy ingerować stylistycznie?
- czy to już nadredakcja?

Po kilku godzinach bez odpoczynku mózg zaczyna upraszczać. Idzie na skróty. Albo poprawia zbyt dużo. Albo przestaje poprawiać w ogóle.

2. Spadek jakości pracy – paradoks nadpracowania

Naukowo udowodniono, że po przekroczeniu pewnej liczby godzin intensywnej pracy poznawczej (zazwyczaj 6–8 godzin) efektywność nie tylko spada – ona zaczyna być ujemna. To znaczy: czas pracy rośnie, jakość maleje.

W badaniach nad chirurgami i kontrolerami lotów zauważono, że zmęczenie poznawcze prowadzi do wzrostu liczby błędów proceduralnych. W pracy redaktora mechanizm jest identyczny – tylko konsekwencje mają inny charakter.

Zmęczony redaktor:

- nie widzi oczywistych literówek,
- nadinterpretowuje sens,
- skraca tekst bez potrzeby,
- gubi konsekwencję stylistyczną.

Mózg w stanie przeciążenia zaczyna działać jak komputer z przegrzewającym się procesorem – spowalnia, zawiesza się, wykonuje skrócone operacje.

3. Wypalenie zawodowe

Brak higieny pracy prowadzi do chronicznego stresu. A chroniczny stres podnosi poziom kortyzolu. Jego długotrwałe podwyższone stężenie:

- obniża odporność,
- pogarsza pamięć,
- zmniejsza zdolność koncentracji,
- zwiększa drażliwość,
- obniża motywację.

Według badań Christiny Maslach* (profesor psychologii, Uniwersytet Kalifornijski) nad wypaleniem zawodowym (*burnout*) ma ono trzy główne komponenty:

- wyczerpanie emocjonalne,
- depersonalizację (cynizm, dystans),
- obniżone poczucie skuteczności.

U redaktora wygląda to tak:

- „Mam dość cudzych tekstów”;
- „Nic mnie już nie zachwyca”;
- „Wszystko brzmi źle”;
- „Nie jestem już tak dobry/dobra”.

To nie jest brak talentu ani zdolności do pracy. To przeciążony układ nerwowy.

4. Zjawisko podobne do mikrourazów w sporcie

Tu pojawia się naukowe porównanie. W sporcie istnieje pojęcie mikrourazów mięśniowych.

Trening powoduje mikropęknięcia włókien mięśniowych. To naturalne.

Ale mięśnie się odbudowują i wzmacniają, jednak tylko wtedy, gdy następuje regeneracja. Jeśli jej nie ma – dochodzi do przetrenowania.

W pracy poznawczej jest podobnie. Intensywna koncentracja powoduje „mikrozczęstnienie” neuronalne.

Mózg potrzebuje przerw, snu i zmiany aktywności, aby przywrócić równowagę neuroprzekazników (dopaminy, serotoniny, acetylocholi-ny). Brak regeneracji prowadzi do:

- przeciążenia poznawczego,
- obniżonej neuroplastyczności,
- spadku kreatywności.

To jak ciągły trening bez dni odpoczynku.

5. Nadwrażliwość i spadek odporności psychicznej

Długotrwałe przeciążenie powoduje, że układ nerwowy przechodzi w tryb zagrożenia.

Wtedy:

- każda uwaga autora wydaje się atakiem,
 - każda poprawka boli bardziej,
 - każda presja terminu urasta do rangi kryzysu.
- To efekt nadaktywnego układu współczulnego.

UWAGA: ORGANIZM NIE ODRÓŻNIA
„ZAGROŻENIA DRAPIEŹNIKIEM”
OD „TRUDNEGO MAILA”.

Reakcja biologiczna jest ta sama.

6. Zaburzenia koncentracji i pamięci

Chroniczne przeciążenie może prowadzić do:

- problemów z pamięcią roboczą,
- trudności w skupieniu,
- tzw. mgły poznawczej.

To szczególnie niebezpieczne w zawodzie, który opiera się na detalach. Badania nad depriwacją snu pokazują, że 17–19 godzin bez snu daje spadek sprawności poznawczej porównywalny z poziomem alkoholu 0,05% we krwi**.

Przewlekłe niedosypianie redaktora może działać bardzo podobnie.

7. Utrata empatii wobec tekstu i autora

Zmęczony mózg oszczędza energię. Jednym z pierwszych obszarów, które „wyłącza”, jest empatia.

Dlatego brak higieny pracy prowadzi do:

- zbyt ostrych komentarzy,
- braku cierpliwości,
- skracania dialogu,
- mechanicznego traktowania tekstu.

A przecież redakcja to nie tylko poprawianie. To relacja.

Dlaczego tak się dzieje?

Bo mózg:

- zużywa około 20% energii całego organizmu,
- pracuje na neuroprzekaznikach, które muszą się regenerować,
- potrzebuje snu do konsolidacji informacji,
- reaguje na stres biologicznie, nie ideologicznie.

Nie jesteśmy stworzeni do ciągłej wysokiej koncentracji przez 10–12 godzin dziennie.

To nie jest kwestia silnej woli. To kwestia neurobiologii.

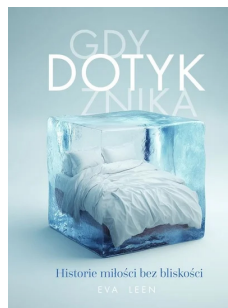
Im bardziej redaktor chce być odpowiedzialny i perfekcyjny, tym bardziej ryzykuje utratę jakości pracy, jeśli ignoruje regenerację.

Higiena pracy nie jest luksusem.

Jest warunkiem profesjonalizmu.

* https://www.researchgate.net/publication/277816643_The_Maslach_Burnout_InVENTORY_Manual

** https://www.nature.com/articles/40775?utm_source=chatgpt.com



To opowieść o tym, co dzieje się z człowiekiem, gdy przez długi czas nie doświadcza bliskości: dotyku, czułości, bycia zauważoną. O relacjach, które z zewnątrz mogą wyglądać „w porządku”, a od środka coraz bardziej pustoszeją...

Autorka prowadzi nas przez trzy przeplatające się historie kobiet, z których każda doświadcza innego rodzaju chłodu w związku. Nie są to dramaty pełne gwałtownych zwrotów akcji. Przeciwnie, ich siła polega na codzienności. Na niewypowiedzianych zdaniach, na przemilczeniach, na powolnym przyzwyczajaniu się do braku.

Książkę czyta się bardzo szybko. Styl jest prosty, przystępny, momentami niemal surowy. Dzięki temu łatwo wejść w opowieści i dać się im ponieść, choć jednocześnie odczuwałam niedosyt - szczególnie tam, gdzie aż prosiło się o głębsze wejście w psychikę bohaterek, ich ambiwalencję, lęk przed zmianą i przed nazwaniem tego, co naprawdę boli.

„Gdy dotyk znika” to książka bardzo potrzebna. Daje język tym emocjom, które często utkwiły gdzieś między poczuciem winy a wstydem. Pokazuje, że samotność w związku nie jest czymś wyjątkowym ani „nienormalnym”, choć bywa bardzo bolesna. I że brak bliskości nie musi oznaczać, że „coś jest z nami nie tak”.

To lektura dla kobiet, które czują, że w ich relacji coś zniknęło, ale nie potrafią jeszcze tego nazwać. Dla tych, które zadały sobie kiedyś pytanie: „czy to już wszystko, co mnie czeka?” i nie znalazły na nie odpowiedzi.

Czasem pierwszy krok do zmiany to po prostu przeczytanie historii, w której można zobaczyć siebie. I pozwolić sobie na myśl, że to, co boli, zasługuje na uwagę.

– @ksiazki_kawa_i_kwiatki

LEKCJA WDZIĘCZNOŚCI

REDAKCJA: KATARZYNA PYKA

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

Drzewo nie było – jak i reszta przydomowych drzew – ani wysokie, ani niskie, ale za to rozłożyste. Rzucało cień, chroniło przed wzrokiem sąsiadów, a teraz, o tej porze w tym świetle wydawało się niemal zupełnie czarne, jak niemal zupełnie czarny wydawał się dom, przy którym rośło.

I to właśnie w jego cieniu, siedząc pod jego gałęziami i liśćmi, które od światła ulicznej latarni zaczynały nabierać niezdrowej pomarańczowej, sodowej barwy, uderzająca raz po raz w ekran telefonu, by odrzucić przychodzące połączenie albo zignorować kolejną wiadomość, dziewczyna powiedziała:

– No sam wiesz.

Wiedział, ale co miał powiedzieć? Przez chwilę, przez ten moment, kiedy w głowach ludzi rodzą się najgorsze, najbardziej zenujące pomysły, chciał nawet powiedzieć coś w stylu: „Wiem tylko, że jesteś piękna”.

Choć szczerzej byłoby, gdyby rzucił, że jest sexi, ale aż tak umysłu mu nie zaćmiło. Mógł powiedzieć: „Wiem, że jesteś idealna”.

Wcale tak nie było, nawet on to wiedział, ale ładnie by zabrzmiało, może zachęcająco. Nie, prędzej tragicznie, jak z beznadziejnej komedii romantycznej, której żaden szanujący się facet oglądać nie będzie...

No chyba że w ukryciu, nocami, nawet przed bliskimi udając, że wlepią wzrok w filmy porno, wdychając do obiektu swoich marzeń.

Filmy porno też zresztą oglądał. I dużo wtedy wdychał, myśląc o tej, z którą teraz rozmawiał.

Przez chwilę miał ochotę powiedzieć coś z tych rzeczy, które przyszły mu do głowy, rzucić jakiś fajny tekst, ale to był moment, a on nie

był idiotą, a na pewno nie takim. Więc milczał. Stał po prostu i słuchał, ucząc się słuchania płci przeciwnej, jak uczył się wypełniających go właśnie uczuć.

A ona, stukając w ekran telefonu, mówiła:

– Wiesz, mogłabym cię zaprosić do domu, ale...

Ktoś znów do niej zadzwonił, ożywiając telefon cichym warkotem wibracji. Odrzuciła połączenie.

– Rozumiesz? W sumie mógłbyś wejść, przedstawiłabym cię rodzicom, siostrze, w końcu mi pomogłeś, ale to bez sensu.

Przyszedł kolejny SMS, który zignorowała. Kiedy spoglądała na ekran, gdy jedna po drugiej przychodziły wiadomości, światło ekranu zmieniało jej twarz w blade oblicze ducha.

A może rzeczywiście była błada? Nadal błada?

Był wieczór, prawie noc, oni mieli po kilkanaście lat, na jej telefon dobijali się rodzice, a ona w mroku wieczoru, w słabym świetle ulicznych latarni, które rozszczepiało jej cień na kilka oddzielnych, nierównych, ginących gdzieś w źdźbłach trawnika ciemnych sylwetek, patrzyła to na telefon, to na niego i mówiła:

– Nie może się wydać, co tam zaszło, oni zaraz by pytali.

I spoglądała na niego, jakby chciała, żeby przysiągł, że będzie milczał jak grób i nikomu niczego nie zdradzi, więc pokiwał głową.

– Okej, okej, głupio tak – rzuciła, wdychając. – No ale nic. Tak to już bywa.

Znów ktoś do niej zadzwonił, ale zignorowała go. Powinna już iść, nie powinno jej tu być, ale była, zwlekała, ociągała się.

Może chciała się pożegnać, ale się nie zegnała. A na pewno nie zegnała go wylewnie. Nie przytuliła. Stała tak, na tyle blisko, by czuć jej ciepło, jej zapach, ale nie dość blisko, by stykali się choćby przypadkiem, i się zastanawiała. Myślała.

Bardzo tego pragnął, nie łudził się jednak, że pocałuje go na pożegnanie. Ani że na pożegnanie da się chociaż pocałować. Cmoknąć przynajmniej w policzek. Wiedział, że ma chłopaka. Jego nadzieje nic tu nie zmieniały. Więc nie czekał na nic, a raczej starał się na nic nie liczyć, o niczym nie myśleć. Starał się zapaść w milczenie, jakby przywdział ostatnią zbroję, jaka mu pozostała...

I się nie rozczarować, kiedy powiedziała:

– No wiesz, dzięki, ale muszę już lecieć. Jakby cię zobaczyli, zaraz zaczęliby pytać, kim jesteś, skąd się znamy. No, okej, mogłabym powiedzieć, że ze szkoły czy coś, ale... Lepiej, żeby nas nie widzieli. – Odrzuciła kolejne połączenie.

– Więc lepiej będzie się nie spotykać. Nie widywać. Zresztą mam chłopaka, dziwnie by to wyglądało.

Znów odrzuciła połączenie.

– No to na razie.

Machnęła do niego ręką, jakby nie stała blisko, jakby była gdzieś daleko, a ich dwoje dzieła przynajmniej ulica, i ruszyła w stronę domu. Ale kilka kroków dalej, kilka chwil jego podziwiania jej nóg i pośladków później odwróciła się, jakby poczuła na sobie ten wzrok, i dorzuciła:

– Powinnam ci podziękować, no ale rozumiesz, trochę wtrąciłeś się w nie swoje, nie? Byłoby jakoś głupio.

I puściła oko. A potem już jej nie było: połknął ją mrok wieczoru. A on stał tam, między drzewem a latarnią, trawiąc lekcję wdzięczności, którą otrzymał. Patrzył na dom, na okna, jakby mógł w nich dostrzec, nie jak się przebiera, nie jak wyciera się ręcznikiem, tylko wygląda



przez okno, żeby sprawdzić, czy on jeszcze tam czeka. Żeby mu jednak podziękować.

Aż w końcu ktoś go przegonił.

30.12.2022 r.

KIESZEŃ W PRZESTRZENI

ROZDZIAŁ 4

REDAKCJA: MAGDALENA DZIEKAN

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi do biblioteki, Addela podeszła do Antona i dźgnęła go palcem prosto w pierś. Była wściekła. Nie pamiętała, by ktoś ją kiedykolwiek tak zdenerwował.

– To był twój genialny pomysł?! – Nie wiedziała, że tak donośnie potrafi krzyczeć szeptem. – Czyś ty zwariował?!

Mężczyzna nie wydawał się zbyt przejęty konsekwencjami swoich słów. Poprawił poły marynarki i wzruszył ramionami.

– Uważam, że to rozwiązało wiele problemów – odparł pojednawczo.

– Rozwiązało wiele problemów? Rozwiązało na pewno gorset mojej ciotki, która po prostu oszalała. Nie wiem, czy jej to nie zabije!

W istocie na taką bombową informację Felicja zareagowała w dość osobliwy sposób, a mianowicie zemdląca. Addela uważała swoją ciotkę za silną osobowość, najwyraźniej jednak i ona miała swoje granice.

– Nie widzisz, że to, co powiedziałeś, tylko przysporzyło nam nowych? A tak w ogóle, co ty tu robisz? – Ponownie dźgnęła go palcem, żałując trochę, że nie trzyma w dłoni chociażby ostrego patyka.

Anton nieco się zmieszał. A więc coś było na rzeczy – nie niepokoiłby jej ani nie przerywał śledztwa z byle powodu. Zwiesił głowę i ruszył w stronę dwóch foteli.

– Musimy porozmawiać – oznajmił ponuro i usiadł.

Addela poczuła, jak całe jej ciało się spina. Z jednej strony bardzo chciała usłyszeć, co Anton ma do powiedzenia. Z drugiej – jego mina świadczyła, że nie będzie to raczej nic dobrego. W jej głowie zakiełkowała nieśmiała myśl, że może by tak uciec do swojego pokoju i schować się przed tym nieproszonym gościem. Istniało jednak ryzyko, że potrafi on przechodzić przez ściany, a teraz zachowuje jedynie pozory normalności. Podeszła więc niepewnie i usiadła naprzeciwko.

Anton westchnął teatralnie i pochylił się w stronę Addeli.

– Pamiętasz, jak odesłałem cię z zaświatów, byś się dowiedziała, kto jest twoim mordercą? To miało uchronić cię przez latami błąkania się w Poczekalni dla dusz i tak dalej...

– Nie pamiętam. O czym ty mówisz? – spytała śmiertelnie poważnie.

W pierwszym momencie mężczyzna stracił rezon, ale po chwili zachichotał i pogroził jej palcem.

– Ty... Żarty się ciebie trzymają. Ale to poważna sytuacja, bo widzisz... Ja w zasadzie byłem na zastępstwie.

Addela zmrużyła oczy. Podskórnie czuła, że ten pechowy dzień dopiero zaczyna się rozkręcać.

– Widzisz – kontynuował – istnieją pewne procedury, które nieświadomie pominąłem.

– Jakie procedury? – zapytała sucho.

Anton zaczął nerwowo skubać mankiet koszuli.

– Nie wiedziałem, że odsyłanie kogokolwiek z Elizjum do Wymiaru Męki jest surowo zabronione. Można to zrobić jedynie wtedy, gdy złożą się odpowiednie pisma, a na odpowiedź najczęściej czeka się latami.

Addela gwałtownie wstała. Tego było już dla niej zbyt wiele. Czy naprawdę miała takiego pecha, że trafiła na urzędnika „na zastępstwie”, który na dodatek najprawdopodobniej wpakował ją w kłopoty?

– Jakie są kary za złamanie takiego przepisu? – zapytała nerwowo.

– No cóż... – Anton także wstał, unosząc dłonie w uspokajającym geście. – Powiedzmy, że oboje nie chcielibyśmy ich doświadczyć.

– Dlaczego ja niby miałabym zostać ukarana? Nie zrobiłam nic złego, prawda?

Mężczyzna przez chwilę milczał, uśmiechając się niepewnie.

– Powiedzmy, że zawsze dwie strony ponoszą winę. Nieświadomość nas nie uchroni. – Rozłożył szeroko ręce.

– Ty oszuście! Ty łotrze! – wykrzyczała wściekła Addela i zaczęła okładać go pięściami. – Miałam spokojne życie, a ty co narobiłeś?! Teraz pewnie pójde do jakiegoś niebiańskiego więzienia!

Krzyki rozbrzmiewały na korytarzach rezydencji. Wujek Mark, popijając koniak, uśmiechnął się pod nosem.

– Ach, ci młodzi – burknął. – Ta namiętność. – Cmoknął i z rozkoszą powąchał zawartość kryształowego kieliszka.

Anton w końcu unieruchomił ręce Addeli, choć nie było to łatwym zadaniem.

– Możemy to naprawić i nikt się nawet nie zorientuje – wyszeptał. – Tylko przestań na mnie krzyczeć, bo za chwilę twoja służba wezwie żandarmów.

Addela rzuciła się na fotel i dyszała ciężko. To śledztwo ją wykończy. Poranny entuzjizm arystokratki zniknął całkowicie, jak krople deszczu uderzające o szyby.

– Jak? Mów – wydyszała.

– To banalnie proste i w zasadzie niczego nie zmienia. Musimy odnaleźć twojego mordercę. To umożliwi ci powrót do Elizjum, i tyle. W papierach po prostu wstawię zmienione daty i nikt się nie domyśli, że zaszła jakakolwiek pomyłka. – Anton radośnie klasnął w dłonie. – Mogę? – Wskazał na szklaną miseczkę, w której skrzyły się cukierki zapakowane w pozłotka. Nie czekając na odpowiedź, poczęstował się.

– To możliwe, żeby się udało zorganizować wszystko niepostrzeżenie? – zapytała. – Nie mają tu żadnych szpiegów czy kogoś takiego?

Po bibliotece rozszedł się tubalny śmiech mężczyzny.

– Nic się nie martw. Musimy tylko uważać, żeby morderca nie dorwał cię ponownie, bo to wszystko zepsuje. Będiesz wtedy podwójnie odhaczona i sprawa natychmiast się wyda.

Addela zastanowiła się chwilę. W zasadzie Anton miał rację. Wszak celem jej powrotu było odnalezienie sprawcy i w nowej sytuacji mieli robić to samo. To mogło się udać.

– Muszę dokończyć moją listę podejrzanych. Dzisiejszy dzień pędzi niczym pies gończy i nie zdążyłam...

– Pomogę ci. Dlatego się pojawiłem – zapewnił gorliwie. – Może nawet uda nam się wyrobić nieco szybciej niż w siedem dni.

Posłała mu spojrzenie mówiące „Znów coś ukrywasz”.

– Za tydzień wraca urzędnik, którego zastępowałem. Wolałbym, żeby do tego czasu wszystko już zostało... posprzątane.

Addela pokiwała głową. Była tego samego zdania.

– Mam jeszcze jedno pytanie – dodała. – Jak już się dowiem, kto mnie zamordował, to co mam zrobić? Dziś byłam pewna, że znalazłam mordercę, ale nic się nie stało.

– Nie mówiłem? – Anton zrobił zdziwione oczy, ale gdy zauważył, jak usta arystokratki ponownie zaciskają się w wąską kreskę, natychmiast zaczął wyjaśniać: – A więc... Morderca musi się przyznać. Na głos. Tylko wtedy to zadziała.

– To będzie trudniejsze – oznajmiła z westchnieniem Addela.

– Nic się nie martw, moja droga. – Urzędnik wepchnął sobie do ust kolejne dwa cukierki. Skleiły mu nieco zęby, więc trochę bełkotał: – Doprowadzimy do konfrontacji i będzie musiał się przyznać. Nie są potrzebni wówczas żadni świadkowie. Jedynie musi wyznać, że chciał cię zabić. W zasadzie, że cię zabił, ale już nie czepiajmy się szczegółów.

Addela złapała za srebrny dzwoneczek i zadzwoniła. Nie minęła nawet minuta, gdy do biblioteki weszła Aleksandra.

– Panienko? – Służąca wyglądała już znacznie lepiej niż podczas wcześniejszej rozmowy w kuchni.

– Przynieś mi kartkę i pióro – poleciła arystokratka. – I powiedz, proszę, co robią pozostali.

– Pani Felicja udała się do sypialni. Dostała globusa, więc przygotowałam jej mokre okłady. Pan Mark nadal relaksuje się w salonie. A Gustaw jest ze mną w kuchni. Przyłożyliśmy mu surowe mięso do oka. Niestety całe spuchło i w tym momencie nic na nie widzi – podsumowała rzetelnie pokojówka.

– Biedny Gustaw. Przekaż mu, proszę, że będę gotowa za trzydzieści minut. Jeżeli jednak nie czuje się na siłach na siłach, by pojechać ze mną na konkurs, to niech nie ryzykuje. Zabiorę wówczas Antona.

Aleksandra wdzięcznie dygnęła i zerknęła na towarzysza swojej pracodawczyni. Addela spodziewała się, że plotki już dotarły do każdej osoby ze służby. Uśmiechnęła się w duchu. Najpewniej nikt się nie spodziewał, że schorowana stara panna wywinie taki numer.

Po paru minutach, wyposażeni w pióro i kartki, zaczęli sporządzać listę podejrzanych. Zaszczytne pierwsze miejsce *ex aequo* zajęło wujostwo. Co prawda arystokratka z trudem potrafiła sobie wyobrazić, by jej własna rodzina mogła ją skrzywdzić, ale fakty były niepodważalne. Mieli motyw. Wiedzieli, że rezydencja wraz z przyległymi gruntami po jej śmierci trafi do nich.

Drugie miejsce przypadło lekarzowi Meringowi. On miał sposobność. Miał także motyw: również został uwzględniony w testamencie. A że co niedziela spotykał się na pokerze z mecenasem, który spisywał testament, mógł się dowiedzieć, jaka była jego treść.

Na trzecim miejscu pojawiła się ogół służby. Addela wątpiła, by Agnes czy Aleksandra posunęły się do tego, aby ją zabić. W głębi serca wierzyła, że wiele znaczy dla starszej kucharki, i dopuszczanie do głosu myśli, że ta chciałaby ją zabić, było wręcz fizycznie bolesne. Należało jednak założyć, że ktoś ze służby mógłby mieć jakiś ukryty motyw, którego na ten moment się nie domyślali.

Przy kolejnym punkcie utknęli na chwilę. Addela się upierała, by wpisać Ofelię – jej główną rywalkę w Konkursach Piękności dla Psów. Anton nie był jednak co do tego pewien zastanawiał się się, czy by nie dać Ofelii jakiegoś niższego miejsca w rankingu, bo jej nienawiść do Gemstonówny była zbyt jawna. W końcu uległ zapewnieniom Addeli, że jest to bardzo prawdopodobne, by to właśnie ona stała za zleceniem zabójstwa. Postanowili, że urzędnik jako „narzeczony” Addeli wybierze się z nią i Gustawem na dzisiejszy konkurs, na którym pozna i oceni Ofelię Black.

Piąte miejsce przypadło „ewentualnemu mordercy” z biblioteki w Londynie. Ten wpis został w pełni wymuszony przez Antona. Podobno kiedyś przeczytał książkę o bibliotekarzu, który okradał zamożnych ludzi z białych kruków, a jako że bywał bardzo przekonujący, gdy tylko się postarał, kobieta, nie chcąc się kłócić, i takiego potencjalnego mordercę dopisała do listy.

Potem zaczęły się schody. Krąg znajomych Addeli był niewielki. Nie mieli pomysłu, kto jeszcze mógłby dybać na jej życie, więc postanowili modyfikować swoją listę, kiedy zajdzie taka potrzeba.

– No to w drogę, moja droga narzeczono! Idziemy zgarnąć jakiś pucharek – oznajmił entuzjastycznie urzędnik i ruszył dziarskim krokiem do wyjścia.

Addela miała ochotę stuknąć się w czoło. W co ona się wkopała? Ale fakt, że była w tym wymiarze warunkowo, sprawiał, że konwenanse przestały tak bardzo ją obchodzić. Miała wręcz ochotę, by niczym chochlik namieszać w tym skostniałym, eleganckim świecie.

Wstała i ruszyła za mężczyzną. W salonie czekał na nich Gustaw. Wyglądał jak siedem nie-

szczęść. Rude loki sterczały jak sprężynki na wszystkie strony, choć ewidentnie próbował je okiełznać. Jedno zielone oko wpatrywało się w nią uważnie, podczas gdy drugie kryło się pod spuchniętą, fioletową powieką.

– Addela! – Zerwał się na równe nogi, gdy tylko ją zobaczył.

Kobieta ruszyła ku niemu. Miała straszne wyrzuty sumienia, że w jej domu spotkała go taka krzywda. Zнали się wiele lat i zawsze myślała o nim niezwykle ciepło. Wiedziała również, że ma dobre serce, gdyż kochał jej psianki najbardziej na świecie. I one uwielbiały jego.

– Tak mi przykro, że spotkało cię takie nieszczęście, Gustawie. – Odruchowo złapała go za dłonie i ścisnęła. – Czy wybaczysz mi ten incydent?

– Nie ma czego wybaczać, moja droga. To nie twoja wina – odparł i brzmiał naprawdę szczerze.

Anton odchrząknął znacząco, a kiedy Addela posłała mu pytające spojrzenie, ten ruchem głowy wskazał na ich splecione dłonie. W pierwszej chwili nie zrozumiała, o co mu chodzi, lecz po namyśle przypomniała sobie, że jako narzeczona nie powinna tak dotykać innych mężczyzn. Natychmiast puściła uścisk.



– Powiedz, jak się czujesz. – Miała ochotę dotknąć palcami oka Gustawa, obawiała się jednak zarówno tego, że sprawi mu to ból, jak i reakcji urzędnika. Musieli odegrać swój teatrzyk najlepiej, jak to tylko możliwe.

Gustaw przeczesał dłonią włosy, a te jak niesforne wiewiórki rozpięchły się na boki.

– Bywało gorzej – zaśmiał się nerwowo. – Powiedz lepiej, jak twój stan zdrowia. Niecodziennie dzieją się tu takie szalone rzeczy. – Przy ostatnim stwierdzeniu spojrział wymownie na Antona, który właśnie nadgryzał różowe, lukrowane ciasteczko.

– Zdziwiająco dobrze – oznajmiła arystokratka, uświadamiając sobie, że nie miała praktycznie żadnych ataków duszącego kaszlu.

Nagle z szezlonga dobiegło ich głośne chrapnięcie. Wujek Mark drzemał na atłasowych poduszkach, a jego przechylony tupecik spoczywał mu na policzku niczym śpiący chomik. Wszyscy troje uśmiechnęli się na ten widok.

– Ruszamy? – zapytał Anton z ustami pełnymi kremówki.

W powozie było ciasniej niż zwykle, ponieważ Addela nie zajmowała już pojedynczego miejsca naprzeciwko Gustawa, a siedziała obok swojego „narzeczonego”, który najwyraźniej doskonale się bawił.

– Długo się znacie? – zapytał Anton opiekuna psów, gdy tylko wyruszyli.

Gustaw poprawił się na siedzeniu. Widać było, że niespecjalnie się polubili.

– Pięć lat. Od kiedy Addela została właścicielką Jane i Austena. Najpierw pomagałem w ich tresurze, a teraz to ja prezentuję je podczas konkursów – odpowiedział uprzejmie, choć dość oschle.

– Ciekawe, ciekawe... – Anton założył nogę na nogę i tak energicznie machał stopą, że od kolan Gustawa dzieliły ją dosłownie milimetry.

– A wy? Długo się znacie? Addela nigdy o tobie nie opowiadała – zapytał uprzejmie treser psów.

– Byłem jej słodką tajemnicą, prawda, pączusiu? – Przy tych słowach poklepał kobietę po dłoni.

Addela miała świadomość, że nie do końca jej się udało ukryć oburzenie i zniesmaczenie, które walczyły o to, by zawładnąć jej mimiką. Marzyła, by ta podróż wreszcie dobiegła końca. Nigdy wcześniej nie czuła się



tak zażenowana jak teraz, słuchając historii swojego rzekomego romansu i „fali namiętności”, która miała łączyć ją z urzędnikiem z zaświatów. Musiała się powstrzymać, by nie zdzielić go parasolką w tył głowy.

Gustaw uprzejmie milczał, wysłuchując coraz to bujniejszych opisów uczuć, które rzekomo łączyły jego przyjaciółkę z tym mężczyzną znikąd. Od czasu do czasu zerkał na Addelę, jakby szukając w jej oczach potwierdzenia, że cokolwiek z tego, co wypływa z ust owego klauna, jest prawdą. Ona zaś, niewiele mogąc zrobić, słała mu jedynie przepaszające uśmiechy. Przynajmniej miała nadzieję, że na takie wyglądają. Nie ufała za bardzo swojej twarzy.

Gdy dotarli do hali, chciała wybiec czym prędzej z powozu, ale było to miejsce, w którym obowiązywała określona etykieta. Wystawcy wchodzili w rolę, a konkursem rządziły niepisane zasady. Ona poznała je już dawno i musiała przyznać, że całkiem dobrze potrafi grać w tę grę. Zresztą miała tu tylko jednego godnego uwagi rywala.

Gdy drzwiczki się otworzyły, stangret już czekał z wyciągniętą dłonią. Addela uwielbiała sobie wyobrażać, że wychodzi z powozu i w tym samym momencie skupia na sobie uwagę całego otoczenia. Zazwyczaj jednak tak to wyglądało jedynie w jej wyobraźni. Gdy stanęła na ziemi, zauważyła, że większość osób już dotarła. Rozpoznała prawie wszystkie powozy i najprawdopodobniej była ostatnia. Nie zdarzało się to... praktycznie nigdy.

Po chwili stała ramię w ramię z dwoma przystojnymi mężczyznami i z cudownymi psami po bokach. Co prawda jeden wyglądał tak, jakby dopiero wyszedł z bójki w kanałach, a drugi rozglądał się wokół, jakby spacerował po Luwrze. Poczła się pewniej w tym towarzystwie.

Ruszyli równym krokiem w kierunku głównego wejścia. Wiatr delikatnie rozwiewał jej włosy. Usłyszała w głowie muzykę fortepianową, idealnie wkomponowaną w stukot jej obcasów. Gdy weszli do środka, dobiegły ją szepty i poczuła na sobie zaciekawione spojrzenia. Musiała przyznać, że obecność Antona została zauważona natychmiast.

Gdy dotarli do swojego boksu, cała sala szeptała już tylko o jednym: kim jest przystojny towarzysz Addeli Gemstone. A ona poczuła, że sprawiało jej to niemałą przyjemność.

– Co teraz? – szepnął prosto do ucha Addeli.

Uśmiechnęła się do niego tak, by wyglądało, że ją adoruje, po czym pochyliła się ku niemu i powiedziała:

– Gustaw się wszystkim zajmie. My musimy jedynie przez najbliższą godzinę oglądać konkurs.

– A gdzie ta słynna Ofelia? – zapytał urzędnik.

Niezbyt przyjemny dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa na samą myśl o rywalce.

– Ma boks tuż obok naszego. Na koniec zawsze jesteśmy zmuszone składać sobie gratulacje, więc na pewno ją poznasz.

Konkurs rozpoczął się chwilę po tym, jak skończyli rozmowę. Prowadzący – ubrany w elegancki czarny frak i wysoki cylinder – najpierw przedstawił zawodników. Istniała niepisana zasada, że pierwszeństwo prezentacji przypadało naprzemiennie Gemstonównie lub Blackównie. Tym razem zaczęła Addela.

Gdy wyczytano nazwisko i wywołano jej pudle, na arenę wkroczył Gustaw z psami. Prezentowały się jak zawsze perfekcyjnie. Ich umaszczenie współgrało ze sobą jak dzień i noc, jak światłość i ciemność. „Jak życie i śmierć” – pomyślała kobieta.

Gustaw, jak zawsze, wspaniale panował nad psami. Te zaś słuchały go uważnie i wykonywały każde polecenie bez najmniejszego uchybienia. Publiczność była zachwycona i nie szczędziła im braw.

Po krótkiej przerwie na arenę wkroczyły dobermanym należące do Ofelii. Podczas gdy pudle kojarzyły się z miękkością i delikatnością, Zeus i Hades Blackówny byli uosobieniem siły i gracji. Ich smukłe sylwetki poruszały się w idealnej synchronizacji, a sierść mieniła się w świetle lamp.

– Nie chciałym się natknąć na nie w ciemnej uliczce – wyszeptał Anton do Addeli, a ona jedynie skinęła głową.

W niej także budziły strach. Podobnie zresztą jak ich właścicielka. Nie zawsze tak było. Kiedyś się przyjaźniły. Ich rodzice spędzali ze sobą mnóstwo czasu, więc naturalnie ich córki, rówieśniczki, również się do siebie zbliżyły. Wszystko się rozpadło, gdy pojawiła się między nimi rywalizacja, a kiedy rodzice Addeli zaginęli, zniknęła także nić, która je łączyła.

Gdy ostatnie występy dobiegły końca, zawodnicy wraz z trenerami ustawili się w równym rzędzie na środku areny. Prowadzący zachwalał sponsorów i uczestników, dziękował publiczności, co chwila zdejmował i znów zakładał cylinder.

– A teraz nadeszła pora na to, na co wszyscy najbardziej czekamy – oznajmił donośnie, unosząc białą, zapieczętowaną kopertę. – Trzymam właśnie w dłoni oficjalne wyniki Czterdziestego Piątego Konkursu Piękności Psów. Trzecie miejsce otrzymują... Alexis i Blake Lindy Donovan! – Halą wstrząsnęły brawa, a trener Lindy podszedł, by odebrać puchar oraz gratulacje. – A teraz miejsce drugie! Różnica w punktacji była naprawdę minimalna... Drugie miejsce zajmują... Zeus i Hades Ofelii Black!

Przyjemny dreszcz przeszył ciało Addeli. Nawet jeśli to nie ona stanie na podium, ważne było jedno – jej rywalka nie wygrała. Wiedziała, że za ścianą ich boksu na pewno nie rozlegały się okrzyki radości. Ofelia może i uśmiechała się do ludzi, ale w środku kipiała ze złości.

– A teraz pora na ogłoszenie miejsca pierwszego! – Prowadzący celowo przedłużał ten moment. – Zwycięzcami zostają... Jane i Austen Addeli Gemstone!!!

Sala wybuchła owacjami na stojąco. Addela skromnie spuściła wzrok i delikatnie się uśmiechnęła – miała do perfekcji opanowaną reakcję na wygraną. Zawsze stawiała na skromność, choć w jej wnętrzu szalał prawdziwy tajfun szczęścia. Niestety Anton, jak to miał w zwyczaju, zepsuł całą jej teatryk. Zerwał się na równe nogi i zaczął krzyczeć: „Taaak!!!”, jednocześnie głośno

Nabór do majowego numeru

Hasła:
KOSMOS
BÓSTWA I WIERZENIA

Termin: 05.04.2026

Nabór na maj – start!

Przyjmujemy zgłoszenia przez formularz:

<https://forms.gle/5Vpoj4gHdo3z5Cd7>

Hasła na ten miesiąc:

KOSMOS – wszystko, co związane z przestrzenią, gwiazdami, planetami, statkami, nieskończonością...

BÓSTWA I WIERZENIA – ale uwaga: nie wystarczy „wrzucić” dowolnego boga, liczy się kontekst, historia, system wierzeń, głębia.

Nie idziemy na skróty.

Szukamy treści, które coś niosą. Do zobaczenia we „Fragmentarium”. Gdzie słowa zyskują wolność.

klaszcząc. Addela spojrzała na niego z przerażeniem. Wstała, by go uspokoić, lecz w tym momencie mężczyzna zrobił coś, czego nikt się nie spodziewał: objął ją w pasie – choć musiał dwukrotnie poprawić uchwyt – i spróbował ją podnieść. Bez powodzenia. Zaskoczona tą spontaniczną reakcją Addela splonęła rumieńcem, a Anton dopiero wtedy się zreflektował, że przesadził.

– Nie wiem, jak wy w Elizjum świętujecie, ale tutaj to tak nie wygląda! – wysyczała mu w ucho. – Nigdy więcej tak nie rób!

Kątem oka dostrzegła jeszcze, jak Gustaw wraca na swoje miejsce z ogromnym pucharem. Ich spojrzenia się zetknęły i zobaczyła w jego oczach ten sam szok, który sama odczuwała. Najwyraźniej w ostatnim tygodniu życia przyjdzie jej skompromitować się za wszystkie minione lata.

Nadszedł moment, w którym właściciele psów mieli zejść na arenę, by odebrać osobiste gratulacje od organizatorów konkursu. Addela w pośpiechu wygładziła pogniecioną przez Antona suknię i ruszyła w stronę sceny. Z boksu wyszła dokładnie w tej samej chwili co Ofelia. Posłały sobie nienawistne spojrzenia. Gdyby ktoś z ogromną wyobraźnią spojrzał na obie kobiety, mógłby dostrzec w nich zadziwiające podobieństwo do igły i poduszeczki na igły: tak jak Addela była korpulentna, tak Ofelia – wysoka i koścista. Twarz pierwszej przypominała raczej księżyc w pełni, a drugiej – sierp z wyraźnie wysuniętą, ostrą brodą.

Staneły obok siebie i z godnością ścisnęły dłonie organizatorów i sponsorów. Na koniec przyszedł czas na wzajemne gratulacje. Gdy Ofelia wygłosiła formułkę, którą raczyła Addele za każdym razem, kiedy ta sięgała po najwyższą wygraną, pochyliła się niżej i wyszeptowała jej prosto w twarz:

– Kiedyś cię zniszczę...

Addela aż zachłysnęła się powietrzem. Próbowwała wyrwać dłoń, ale rywalka trzymała ją w żelaznym uścisku.

– A więc to ty...

ROZDZIAŁ 5

Podróż powrotna minęła im w całkowitej ciszy. Gustaw siedział zamyślony. Ewidentnie spodziewał się, że – jak zawsze – będą omawiać występ Jane i Austena i cieszyć się z wygranej. Jego przyjaciółka jednak najwyraźniej nie miała na to najmniejszej ochoty. Siedziała wpatrzona w okno i błędziła myślami gdzieś bardzo daleko stąd. Jej narzeczony z kolei parokrotnie próbował zagadywać Gustawa, ale tym razem to on nie miał ochoty na rozmowę z tym klaunem. Nie potrafił pojąć, skąd się wziął ten pajac i jak to możliwe, że Addela się z nim zaręczyła i nic mu wcześniej nie powiedziała. Nie spodziewał się, że kobieta z taką klasą mogłaby skrywać jakiegokolwiek tajemnice.

Gdy dotarli do rezydencji Gemstone'ów, był już późny wieczór. Gustaw pożegnał się pośpiesznie i poszedł odprowadzić psy do ich pokoi. Gdy zniknął, Addela złapała Antona za rękę i wyszeptowała:

– Za piętnaście minut w bibliotece.

Sama ruszyła prosto do swojej sypialni. Aleksandra podreptała tuż za nią, zdejmując w biegu płaszcz pracodawczyni.

– Przygotuj, proszę, dla Antona pokój we wschodnim skrzydle i przynieś nam kolację do biblioteki.

– Dobrze, panienko. – Nawet jeśli pokojówka zdziwiła się tym, że narzeczony zostaje na noc, nie dała tego po sobie poznać.

Addela wpadła do swojego pokoju niczym burza i zatrasnęła za sobą drzwi. Serce waliło jej jak oszalałe. Usiadła na łóżku i próbowała złapać oddech. Słowa Ofelii przeraziły ją nie na żarty. Choć rywalka już nieraz kierowała pod jej adresem różne pogrozki, to w obecnej sytuacji nabrały one większej mocy. Chciała niezwłocznie powiedzieć o nich Antonowi, nie wiedziała jednak, czy powinna wprowadzać w całą sprawę Gustawa, a jej narzeczony najpewniej by się wygadał. Gdyby przyjaciel uznał ją za wariatkę, pękłoby jej serce.

Zerknęła w stronę leków, których dziś nie zażyła. Wzięła w palce jedną z kolorowych pigułek. Pomyślała o doktorze Meringu. Mężczyzna leczył jej rodzinę od przeszło dwudziestu lat. Rodzice mu ufali. A jednak... dziś był najlepszy dzień od ponad dekady i właśnie dziś nie zażyła przepisanych jej na stałe leków. Chciała wierzyć, że to jedynie zbieg okoliczności, ale prawda była brutalna. Ktoś ją zabił. Ktoś, kto miał z nią kontakt. Postanowiła, że jutro pojedzie do mecenasa i wprowadzi odpowiednie zmiany do testamentu, a na razie nie będzie łykać żadnych pigułek. Brak ataków kaszlu sprawił, że mimo dzisiejszego wyczerpującego tempa poczuła po raz pierwszy, że naprawdę żyje. Westchnęła ciężko i wstała, by zejść do biblioteki. W tym samym momencie usłyszała głosy. To ciotka Felicja i wuj Mark rozmawiali tuż za ścianą.

Błyskawicznie sięgnęła po szklankę stojącą na szafce nocnej, a jej zawartość wlała do paprotki. Podeszła do ściany, która dzieliła jej sypialnię od pokoju wujostwa, przyłożyła do niej szklankę i zaczęła podsłuchiwać.

W pierwszym momencie nie potrafiła zrozumieć, o czym mówią, lecz po chwili skupienia udało jej się wychwycić pierwsze słowa.

– ...nie wypali. – Głos wuja brzmiał nieco bełkotliwie, ale nie ma się co dziwić, skoro zniknęło pół butelki whisky.

– Wypali, wypali. Zobaczysz, że niebawem rezydencja zostanie naszą własnością. Zresztą mi się należy, przecież to posiadłość mojej siostry. – Ciotka najwyraźniej przechadzała się po sypialni, bo jej słowa zlewały się ze stukotem obcasów uderzających o drewnianą podłogę.

Addela odsunęła się od ściany. Poczowała zimny pot na plecach i nagłą bezwładność ciała. A więc chcieli przejąć rezydencję! Uświadomiła sobie, że w testamencie to właśnie im przepisała dom. Jeszcze parę godzin temu była pewna, że to Ofelia stoi za sprawą zabójstwa, ale słowa wujostwa całkowicie odmieniły jej perspektywę. To, o czym rozmawiali, było ewidentną próbą odebrania jej domu. A jaka droga prowadziła do tego najszybciej? Oczywiście, śmierć dziedziczki! Co za...

Kobieta zacisnęła pięści, aż zbielały jej knykie, i ponownie przyłożyła szklankę do ściany.

– ...tego jej pozał się Boże narzeczonego. Nie możemy dopuścić do ich ślubu – oznajmiła ciotka.

– Moja droga, jak zamierzasz się go pozbyć? – zapytał wuj.

Serce Addeli zaczęło galopować jak szalone. Czy właśnie usłyszy niepodważalny dowód na to, że jej wujostwo to mordercy? Zastanowiła się, co powinna wówczas zrobić. Czy wystarczy, że krzyknie do nich przez ścianę, a oni potwierdzą, że ją zabili, czy powinna ich zapytać osobiście?



– Jeszcze nie wiem, ale coś wymyślimy.

Nagle rozległo się pukanie. Kobieta w pośpiechu wstała z podłogi, odstawiła szklanke i poszła do drzwi, po czym otworzyła je na oścież. Ujrzała Aleksandrę.

– Panienko... Pan Anton się niecierpliwi. Prosił, bym sprawdziła, kiedy może się panienki spodziewać.

– Już schodzę – odparła Addela i miała zamknąć drzwi, gdy dotarły do niej ostatnie słowa pokojówki:

– Czy panienka wie, że to pierwszy raz od paru lat, gdy samodzielnie otworzyła mi drzwi? Bardzo mnie cieszy, że panienka czuje się lepiej. – Dziewczyna dygnęła i odeszła, nie czekając na odpowiedź.

Addela zatrzymała się w pół kroku. Nie sposób było temu zaprzeczyć. Nawet inni to dostrzegali. Ciepło rozlało się wokół jej serca.

Kilka chwil później siedziała już z Antonem w przytulnej bibliotece. Byli tak głodni, że postanowili najpierw zjeść kolację. Mężczyzna pochłaniał ogromne ilości jedzenia. Arystokratka się zastanawiała, czy on w ogóle potrzebował jeść. Przecież nie był tak do końca żywy. Z drugiej strony ona również nie, a czuła głód. Nie można było zastanawiać się nad pobocznymi kwestiami. Czas ich gonił, a oni nie mieli jeszcze żadnego pewnego tropu.

Jak najzwyczajniej Addela opowiedziała współnikowi o groźbie Ofelii i podsłuchanej rozmowie pomiędzy wujostwem. Podzieliła się też spostrzeżeniem na temat leków i poprawy zdrowia, odkąd przestała je przyjmować – a właściwie o nich zapomniała.

– Co o tym myślisz? – zapytała urzędnika.

Ten podrapał się po brodzie.

Analizował usłyszane od Addeli informacje i podobnie jak ona rozważał wszystkie potencjalne scenariusze.

– Gdybyśmy wiedzieli, w jaki sposób zostałaś zabita, byłoby nam łatwiej. Niestety, nie uda mi się wykraść tak poufnych danych – oznajmił po dłuższej chwili.

– Zakładałam, że zostałam otruta, bo nie było żadnych śladów krwi...

– To wcale nie musiała być trucizna, a ślady krwi jeżeli nawet się pojawiły, to zostały przed tobą ukryte, gdy dotarłaś do swojej kieszeni w przestrzeni. Nie lubimy niepotrzebnie straszyć nowych lokatorów – wyjaśnił mężczyzna.

To diametralnie zmieniało sytuację. Addela mogła zatem zostać zadźgana, uduszona, postrzelona czy otruta, a służby sprząające z zaświatów i tak już zatarły wszelkie dowody i cofnęły czas.

– Więc doktor czy kucharka przestają być oczywistym wyborem – stwierdziła.

– Na to wygląda.

Anton wepchnął sobie do ust kilka cukierków i żuł je, wpatrując się w ciemność za oknami. Gdy skończył, spojrzął na Addelę i zapytał:

– To twoje śledztwo. Co proponujesz?

Kobieta zastanowiła się przez chwilę. Myślami wybiegła do detektywa Rogera. W momencie, gdy pojawił się Anton, jej wymagowany pomocnik zniknął. Miło by było, gdyby ktoś teraz za nią podjął decyzję, ale zdawała sobie sprawę, że to niemożliwe.

– Jutro po śniadaniu pojedziemy do mecenasa i zapoznamy się ponownie z moim testamentem. Wprowadzimy tam również zmiany, w tym obowiązek przeprowadzenia sekcji zwłok w celu ustalenia przyczyny zgonu. Mecenas jest przyjacielem mojego lekarza, więc najpewniej go o tym poinformuje. I to do doktora pojedziemy w drugiej kolejności. Dowiemy się, co znajduje się

w lekach, które mi przepisuje. Jak wrócimy na obiad, spróbujemy przesłuchać moje wujostwo. Co do Ofelii... Muszę przyznać, że nie mam pojęcia, jak ją podejść.

– Może umów się z nią na kolację? – zaproponował Anton, ale Addela jedynie prychnęła.

– Ona mnie nienawidzi. W życiu nie zgodzi się ze mną spotkać.

Zapadła chwila ciszy, którą przerwał urzędnik.

– A jeżeli to ja bym się z nią spotkał i wy badał to i owo?

– Ty? – Spojrzała na niego zaskoczona.

– Ja. Udam, że jako twój narzeczony martwię się wrogością, która między wami panuje, i będę udawał, że próbuję załagodzić sytuację dla dobra mojej przyszłej żony.

Addela nie miała pojęcia, co o tym myśleć. W jakiejś pokręconej i dziwacznej formie to mogło się udać. Nie była jednak przekonana, czy dżentelmen siedzący przed nią jest tak dobrym aktorem, by nie dać się ponieść emocjom – co udowodnił chociażby po dzisiejszej wygranej pudli albo po jej prośbie o to, by ją odesłał.

– Co nam szkodzi? Możemy spróbować. Gorzej już chyba być nie może. No to mamy plan na jutro – oznajmiła arystokratka, po czym wzięła w dłoń srebrny dzwoneczek i zadzwoniła.

Już po chwili w progu stanęła Aleksandra.

– Moja droga, pošlij wiadomość do Ofelii Black z prośbą o spotkanie w dniu jutrzejszym o godzinie szesnastej.

Pokojówka nawet nie drgnęła, a jej powieki nawet nie zamrugały.

– Wszystko w porządku? – zmartwiła się Addela.

– Tak, tak, panienko... tylko... Czy mam posłać zaproszenie do TEJ Ofelii Black? – Wyciągnęła rękę ku górze, by zaznaczyć niebanalny wzrost konkurentki jej pani.

Kobieta uśmiechnęła się ciepło. Wszyscy doskonale wiedzieli, że nie pałały do siebie sympatią.

– Tak, moja droga, nie będzie to zaproszenie ode mnie, ale od mojego... narzeczonego – oznajmiła, wskazując dłonią na Antona.

Aleksandra raz po raz przenosiła wzrok z pracodawczyni na mężczyznę i z powrotem, a oczy niemalże wyskakiwały jej z orbit. Gdy zrozumiała, że nie dowie się niczego więcej, dygnęła i wyszła.

– Wszyscy pomyślą, że zwariowałam – jęknęła kobieta, zapadając się głębiej w fotel i jednocześnie masując skronie.

– Moja droga, jak to mówią, tylko wariaci są coś warci – oznajmił jej współnik, ponownie wsuwając do ust garść cukierków.

Arystokratka nie znała tego powiedzenia, ale bardzo jej się spodobało. Ramy społeczne, w jakie wszyscy byli wciśnięci, już od dawna ją uwierały. Perspektywa ostatnich dni w tym wymiarze dodawała jej odwagi, a przecież minął dopiero pierwszy dzień i już dużo się zmieniło. Czy tak myśleli ludzie, którzy chorowali na śmiertelne choroby i którym dano tylko określoną ilość czasu do wykorzystania? Sama czuła się pełna sił i wigoru pomimo późnej pory, o której zwykle już smacznie spała. Za to jej towarzysz wymownie ziewnął i oznajmił:

– Czas oddać się ziemskim przyjemnościom. Widzimy się na śniadaniu. – Po czym wstał, poklepał Addelę po ramieniu i wyszedł.

Ona sama postanowiła jeszcze chwilę odpocząć i przemyśleć kilka spraw. Spojrzała na ciemność za oknem. Świadomość, że po śmierci człowiek wcale nie nurza się w mrocznej ciszy i nieistnieniu, była pocieszająca niczym ciepły koczyk. Wstała i podeszła do jednego z regałów, na którym wśród książek stał oprawiony w ramkę rysunek przedstawiający jej rodziców wraz

z nią. Wykonano go na krótko przed ich ostatnią podróżą. Podniosła ramkę i przyjrzała mu się dokładnie. Byli wówczas tacy szczęśliwi. Papa zrobił niespodziankę swoim kobietom i zabrał je na piknik do niewielkiej miejscowości, gdzie mieszkał jeden z jego pracowników. Traf chciał, że był on także utalentowanym rysownikiem i uwiecznił tę chwilę szczęścia.

Addela poczuła, jak jej oczy wypełniają się łzami. Dobrze, że mama nie wiedziała, jak pazerna i obłudna jest jej siostra. A może właśnie była tego świadoma? Wszak gdy jeszcze żyła, ciotka Felicja nie była zazwyczaj zapraszana do ich rezydencji. To Addela po śmierci rodziców pozwoliła się jej tu zagnieździć i ujęła ją w testamentcie. Tak wielu rzeczy nie wiedziała. Nikt nigdy nie rozmawiał z nią poważnie, a i rodzice na pewno nie byli świadomi, że ich czas tak szybko się skończy. Niebawem się spotkają i będą mieli mnóstwo czasu na omówienie przeszłości. Ta myśl pokrzepiła kobietę. Odłożyła rysunek na swoje miejsce i ruszyła do sypialni.

Wchodząc na piętro, poczuła czyjąś obecność. To było jak impuls. Nagła świadomość, że w ciemności na korytarzu coś lub ktoś się skrywa. Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby się bronić. Jako że dostrzegła jedynie wazon, podeszła do niego najciszej, jak potrafiła, i chwyciwszy go oburącz, zaczęła wchodzić po schodach. Z każdym kolejnym krokiem czuła coraz większe napięcie. Dłonie przytrzymujące wazon zdrząły lekko, więc ścisnęła go mocniej, by nie wypadł. Wstrzymała oddech. Wciąż miała w głowie słowa Antona, że nie może dać się znów zabić, bo wówczas zostanie odhaczona dwa razy, cokolwiek to znaczyło. A najpewniej znaczyło kolejne kłopoty. Gdy była już prawie na górze, zatrzymała się i wsłuchała w ciszę. Wyobraziła sobie, że tuż za rogiem stoi ciotka z ogromnym nożem i tylko czeka, aż niczego nieświadoma siostrzenica wejdzie w ciemny korytarz. Postanowiła więc, że to ona zaskoczy zamachowca, i najszybciej, jak tylko potrafiła, przeskoczyła ostatni schodek, unosząc naczynie.

– Aaaaaaaa!!! – Krzyk wyrwał się z jej piersi, a zawtórował mu identyczny, tyle że w męskiej wersji.

Usłyszała dźwięk tłuczonego szkła i dopiero wtedy otworzyła powieki. Przed nią stał Gustaw, osłaniając głowę przed wazonem, który znajdował się tuż nad nim.

– Co ty tu robisz? – zapytała Addela, trzymając przez cały czas naczynie nad jego głową.

Mężczyzna spojrział w górę i powoli się wyprostował. Dłonią wskazał na odłamki szkła i mokrą plamę pomiędzy nimi.

– Przyniosłem ci wodę i... chciałem porozmawiać – zaczął, ale dokładnie w tym momencie drzwi do pokoju wujostwa otworzyły się z hukiem, a w progu stanęła ciotka Felicja.

Addela i Gustaw odruchowo zrobili krok w tył ze strachu. Kobieta widziała swoją ciocię już w niezliczonych wydaniach, ale to było zdecydowanie najbardziej przerażające. Całą twarz miała wysmarowaną białą mazią, a na policzkach znajdowały się dwa plasterki ogórka, które prawdopodobnie wcześniej leżały na powiekach. Włosy skręcone na papilotach tworzyły wokół głowy tęczową aureolę wielkości dojrzałego arbuza. Całości dopełniała szeroka, biała koszula nocna, której nie powstydziliby się żaden duch nawiedzający zamki.

– Co tu się wyprawia?! – wykrzyczała.

Addela natychmiast schowała wazon za plecy, niczym mała dziewczynka przyłapaną na gorącym uczynku.

– Nic, ciociu, wystraszyłam się tylko i potłukłam szklanekę. Idź spać.

Kobieta zlustrowała siostrzenicę i Gustawa. Na nim zatrzymała chwilę dłużej swoje ptasie spojrzenie. O dziwo, nie skomentowała ani słowem, że jej siostrzenica znajdowała się sam na sam z mężczyzną. Najwyraźniej wyłącznie Anton tak na nią działał.

– Dobrze, ale nie hałasujcie tak. Niektórzy o tej porze już śpią – oznajmiła, po czym odwróciła się na pięcie i trzasnęła drzwiami.

Gustaw i Addela spojrzeli po sobie, a potem wybuchnęli śmiechem. Śmiali się tak długo, aż Addela poczuła, że brakuje jej tchu.

– Widziałas jej minę? – zapytał mężczyzna. – Zacznę chyba wierzyć w duchy.

– O czym chciałeś porozmawiać? – zagadała, przypominając sobie ich rozmowę sprzed pojawienia się cioci.

Gustaw rozejrzał się wokół. Najwyraźniej nie chciał, by ktokolwiek ich usłyszał.

– Możemy wejść do ciebie? To nie zajmie dużo czasu.

Addela poczuła, że nie powinna się godzić, zwłaszcza że od paru godzin była zaręczona i nie chciała tworzyć plotek. Z drugiej zaś strony przecież to był Gustaw.

– Dobrze, ale na chwilę. Padam z nóg.

Zaprosiła go do środka i zaproponowała miejsce przy niewielkim stoliku.

– O czym chciałeś porozmawiać? – spytała ponownie.

– Ja... Cóż, chciałem cię zapytać o tego całego Antona – oznajmił, a rumieniec oblał jego policzki.

Tego się nie spodziewała. Jej przyjaciel nigdy nie był aż tak bezpośredni.

– Nie rozumiem... – zaczęła niepewnie, lekko się jękając.

– No bo... kim on jest? Pojawia się nagle, nie wiadomo skąd. Nigdy o nim nie opowiadałaś, a ja myślałem, że jesteśmy blisko. Pozwoliłaś mi czytać swoje powieści... Myślałem... A teraz...

Arystokratka obserwowała go zaskoczona, widząc, że nie potrafi wyrazić swoich myśli.

– Gustaw... Czy ty martwisz się, że obecność Antona zaszkodzi naszej relacji? – Nie umiała przedstawić swoich podejrzeń inaczej.

Długo milczał, po czym spojrzął jej w oczy i odparł:

– Powiedzmy...

– Nie musisz się martwić. Jego obecność nic między nami nie zmieni.

– Już zmieniła... – wypalił nagle, ostrzej niż powinien, ale szybko się zreflektował. – Przepraszam. Chyba nie lubię zmian.

Addela czuła się skołowana. Gustaw nigdy nie zachowywał się w taki sposób. Pewna myśl zagnieździła się w jej umyśle i nie chciała zniknąć. „Czy to możliwe, żeby jej przyjaciel był zazdrosny?”. Znali się pięć lat. Nigdy nie opowiadał, by był z kimkolwiek związany. Ona nie pytała. Uważała, że się przyjaźnią, jednak nigdy, ale to nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że mógłby coś do niej czuć. Owszem, zdarzało się jej mieć adoratorów, ale tym zależało jedynie na jej majątku. Wiedziała, że tak naprawdę nie są zauroczeni ani jej charakterem, ani urodą.

Potrząsnęła głową, by wyrzucić myśli wirujące w głowie.

– Nie martw się. Pojawienie się Antona niczego pomiędzy nami nie zmienia. – Addela uśmiechnęła się ciepło, a on raptownie chwycił ją za rękę.

– Właśnie zmienia... Kiedy planujecie się pobrać?

Czy on pytał o konkretną datę?! Litości! Musiała dalej brnąć w tę wymyśloną historyjkę. Okłamywanie przyjaciela wcale nie sprawiało jej przyjemności.

– Jeszcze tego nie ustaliliśmy. Pewnie na wiosnę – odpowiedziała, wpatrując się we własne dłonie, bo nie potrafiła mu spojrzeć w oczy.

– Rozumiem. Pójdę już. Mam nadzieję, że nasz jutrzejszy trening jest aktualny?

Na litość boską! Całkowicie zapomniała o treningu.



– Tak, ale nie złość się na mnie, jeżeli będę miała lekkie opóźnienie. Mam parę spraw do załatwienia. – Uśmiechnęła się przepraszająco.

– Ważniejszych niż trening? – zapytał zdziwiony Gustaw.

– Niestety, muszę pojechać do mecenasa w sprawie testamentu i do lekarza... Ale postaram się wrócić jak najszybciej.

Nic nie odpowiedział, tylko wstał. Ona zrobiła to samo.

– Pożegnaj się już, żebyś mogła się wyspać. – Wziął w dłoń jej rękę. – I... – zawałał się.

Nic już nie powiedział, tylko się pochylił i delikatnie dotknął ustami wierzchu jej dłoni, składając na niej pocałunek. Motyle rozpierzchły się w brzuchu Addeli, a gdy jeszcze podniósł na nią wzrok, miała wrażenie, że lada chwila się roztopi. Nie przeszkadzało jej nawet, że jednego oka nadal nie było widać pod spuchniętą powieką.

On jednak puścił jej dłoń i wyszedł. Pozostawił za sobą pustkę, jakiej kobieta jeszcze nigdy nie czuła.

MARTA PAWLIK

Z wykształcenia archeolog, z zawodu linergistka. Na co dzień pracuje z pacjentkami onkologicznymi, pomagając im wracać do normalności po leczeniu chemioterapią i mastektomii. Prywatnie mama 17-letniej Oliwii, i to dla córki pisze od dziesięciu lat powieści oraz opowiadania, które rosną wraz z nią. Do tej pory trafiły jedynie do szuflady, ale niczym nocne stwory powoli z niej wychodzą.

MIEJSCA W SIECI:

Instagram: [maki_papierowe](#)

PIEŚŃ LASU

REDAKCJA: MAGDALENA TOMCZAK

KOREKTA: PAULINA MIKA

KOREKTA TECHNICZNA: WERONIKA BELOWSKA

Wiatr szarpał moje włosy, jakby były jesiennymi liśćmi tańczącymi w wiecznym walcu z żywiołem. Po moich policzkach spływały niepokorne łzy, mieszając się z kroplami deszczu. Natura zrobiła swoje i zgasiła ogień wściekłości buzujący w moim sercu. Teraz na jego dnie znajdowała się wyłącznie cisza – moja najwierniejsza przyjaciółka.

Objęłam się ramionami, by choć trochę się ogrzać. Na horyzoncie – cienkiej linii łączącej wzburzone morze ze stalowymi chmurami – widziałam jeszcze zarys statku. Statku, który zabierał w siną dal chłopca, któremu oddałam połowę mojego serca. W tej drugiej, zmuszającej moje ciało do życia, zalegała pustka.

Skuliłam się, podciągając kolana pod samą brodę. Zamknęłam oczy, zastanawiając się, czym wypełnić pustkę po nim. To on obudził uspioną we mnie istotę – tę, która nie zadowalała się zwykłym oddychaniem.

Zbłąkany kosmyk mokrych włosów raz po raz smagał mój policzek. Przyłożyłam w tym miejscu dłoń w taki sam sposób, w jaki robił to Luka. Mój Luka.

Kiedy poznałam go przed sześcioma laty, był małym, krnąbrnym i złośliwym rudzielcem o piegach tak widocznych, jakby ktoś skropił mu twarz atramentem. Mieliśmy wówczas po dwanaście lat i pałaliśmy do siebie szczerą nienawiścią. Prowadziliśmy nieustającą wojnę – on

szarpał mnie za warkocze, a ja zdobywałam lepsze stopnie od niego, traktując go przy tym arogancko.

Uśmiechnęłam się delikatnie na wspomnienie chwili, gdy nakrzyczałam na niego przy wszystkich uczniach z naszej klasy po tym, jak włożył mi ropuchę do tornistra. Mieliśmy wówczas zaledwie szesnaście lat. Dużo później przyznał, że to właśnie wtedy się we mnie zakochał.



– Te twoje wronie włosy mnie urzekły, Padme – oznajmił z szerokim uśmiechem kilka miesięcy po tym wydarzeniu.

Poczułam, jak kolejne łzy spływają mi z kącików oczu. *Jak mam dalej żyć?* – zadawałam sobie w duchu pytanie.

Wiatr się wzmógł, kradnąc ciepło z mojego ciała – był niczym przypomnienie samotności.

– Zawsze masz lodowate stopy, Padme – śmiał się Luka wieczorami, gdy przytulaliśmy się pod kocem.

Uwielbiałam te wspomnienia. Gromadziłam je niczym biżuterię w szkatułce. Najcenniejszym z nich był jego śmiech. Wszyscy twierdzili, że brzmiał niczym dzwonek na wietrze. Wierzyłam im na słowo – tak samo jak jego mamie, gdy przy każdej okazji powtarzała, że jesteście swoimi przeciwieństwami.

Jemu buzia się nie zamykała, a ja milczałam. Jego światem były dźwięki – moim cisza.

Nie przeszkadzało mu, że nie słyszę od piętego roku życia. Mówił, że dzięki temu widzę więcej. Z entuzjazmem opowiadał mi o każdej melodii, która go zachwyciła. Tak łatwo było go pokochać...

Po awanturze z ropuchą zaczęły się zmiany. Tego dnia pobiegł za mną leśną ścieżką i przeproszał, a ja w odpowiedzi uderzyłam go z całej siły w ramię. Gdy następnego dnia pojawił się przed moim domem z bukietem wiosennych, polnych kwiatów – zdeptałam je. Luka jednak się nie poddawał. Był wytrwały. Przez cztery lata mi dokuczał, by przez kolejne cztery codziennie mnie przeproszać.

Nie pamiętam, po ilu dniach się zorientowałam, że chłopak nie zrezygnuje z codziennego czekania przy moim płocie z wiązanką najpiękniejszych kwiatów, jakie udało mu się znaleźć. Już ich nie deptałam. Zabierałam do domu i suszyłam delikatne płatki w podręcznikach.

Ostatnie dwa lata spędzone z nim były najwspanialszym czasem w moim życiu. Przeminięły jednak i nadszedł czas, by wrócić do rzeczywistości. Otworzyłam powieki, by dostrzec

zarys statku. Nawet gdybym potrafiła latać i wzniosła się ponad korony sosen, nie zdołałabym wypatrzeć Luki stojącego przy relingu.

Wstałam, mocniej obejmując się ramionami. Zaczęłam powoli schodzić z klifu, zastanawiając się, czy jeszcze kiedykolwiek się uśmiechnę. Ścieżka prowadząca do naszej wioski wiła się wśród pól niczym wąż. Mijałam miejsca naznaczone piętnem naszych wspólnych chwil. Jeszcze nie tak dawno byliśmy parą zakochanych nastolatków, wierzących, że świat tylko czeka, aż go poznamy.

Nie czekał.

Nieszczęścia waliły się jak domino. Najpierw ojciec Luki zapadł na tajemniczą chorobę. Pewnego dnia przewrócił się po wyjściu z lasu i już nie wstał. Leżał tydzień z gorączką, majacząc o duchach i zemście istot z puszczy. Krzyczał, że tajemnicze głosy kazały mu się zabić. Początkowo nikt nie wziął tego na poważnie. Dopiero gdy następnego ranka się okazało, że pięciu innych mężczyzn popełniło samobójstwo, zaczęliśmy panikować.

Egzystowaliśmy tuż przy lesie od stuleci. W naszej społeczności istniało na jego temat wiele legend, które do tej pory traktowaliśmy jak bajki dla niegrzecznych dzieci. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Luka był przerażony, a jego ojca oskarżono o sprowadzenie do wioski Zła. Nie uniewinniono go nawet wtedy, gdy powiesił się na belce stropowej w ich chacie.

Codziennie kogoś traciliśmy. Jedno pozostawało niezmiennie – tajemnicza choroba dotykała wyłącznie mężczyzn. Nieważne, w jakim wieku czy stanie zdrowia byli, śmierć sięgała po nich wszystkich.

Z oddali dostrzegłam pierwsze zabudowania naszej osady. Dzień chylił się ku końcowi i wieczorna szarówka spowiła okoliczne tereny. Za nimi niczym mroczny mur górowała ściana lasu – miejsca, które spędzało nam sen z powiek.

Gdy zmarł ojciec Luki, zaczęto szukać kolejnego winnego nocnych samobójstw. Zdecydowano, że odpowiada za nie pradawny bór. Uznano, że

najprawdopodobniej coś się przebudziło w jego zakamarkach. Szeptucha się upierała, że jest to Lanza – wiedźma szukająca swojego zmarłego narzeczonego. Ten według legendy powiesił się na gałęzi, wybierając śmierć zamiast życia z czarownicą. Ona nie zamierzała zaakceptować takiego stanu rzeczy i od tamtej pory się błąkała, próbując odnaleźć utraconego ukochanego.

Jaka by nie była prawda, padł na nas błądy strach. Kobiety strzegły swoich mężów i synów, lecz ci i tak ginęli. Jeżeli nie udało im się odebrać sobie życia, to zaczynała trawić ich tajemnicza gorączka, wyniszczająca ciało i duszę. Nie było innego sposobu niż ucieczka za morze.

Luka odpłynął w towarzystwie pozostałych piętnastu mężczyzn i szóstki małych chłopców. Wierzyliśmy, że to jedyny sposób, by ich ocalić. Kobiety oddały morzu swoich ukochanych braci, mężów i synów, wierząc, że tam będą bezpieczni.

Wkroczyłam pomiędzy pierwsze domy w osadzie. Nigdzie nie paliło się światło, lecz nie spodziewałam się go ujrzeć. Wiedziałam, gdzie mam się kierować. Kościół znajdował się w samym sercu wioski. Był najokazalszą budowlą, kojarzącą się z władzą i bezpieczeństwem. Ciężkie drewniane drzwi zaskrzypiały, gdy je otwierałam. W nozdrza buchnął mi zapach gromnic. Na końcu nawy głównej wśród świec siedziały moje towarzyszki. Wokół nich kręciło się pięć maleńkich dziewczynek, a dwoje niemowląt pochlipywało. Jedna z kobiet o imieniu Heizer

wstała i ruszyła mi na powitanie. Gdy stanęłyśmy naprzeciwko siebie, delikatnie uścisnęła moje ramiona i powiedziała wyraźnie, tak, bym mogła czytać z ruchu jej warg:

– Odpłynęli?

Pokiwałam głową ze smutkiem.

– Zatem, Padme, pora, żebyśmy postanowiły, jak pozbyć się zła, które przebudziło się w lesie.

W jej tęczęwkach migotały odbicia płomyków świec. Nastrój w świątyni był pełen napięcia i czci. Zdawałam sobie sprawę, że to ja odegram główną rolę w tej walce, ponieważ jako jedyna nie słyszę dźwięków pieśni dobiegającej z puszczy po zmroku. Teraz musiałyśmy tylko ustalić, jak tego dokonam.

Ścisnęłam dłoń kobiety na zgodę i wraz z nią ruszyłam w kierunku ołtarza. Zapowiadała się długa i ciemna noc pełna strachu i postanowień.

MARTA PAWLIK

Z wykształcenia archeolog, z zawodu linergistka. Na co dzień pracuje z pacjentkami onkologicznymi, pomagając im wracać do normalności po leczeniu chemioterapią i mastektomii. Prywatnie mama 17-letniej Oliwii i to dla córki pisze od dziesięciu lat powieści oraz opowiadania, które rosną wraz z nią. Do tej pory trafiły jedynie do szuflady, ale niczym nocne stwory powoli z niej wychodzą.

MIEJSCA W SIECI:

Instagram: [maki_papierowe](#)



WITCH.AK
ART
Pracownia Artystyczna
Kinga Witczak



- DIGITAL ART
- GRAFIKA WEKTOROWA
- ILUSTRACJE
- RYSUNEK TRADYCYJNY
- MALARSTWO
- PORTRETY

☎ 661-791-619 ✉ kingawitczak91@gmail.com 🌐 @WITCH.ak Art

ERGONOMIA STANOWISKA PRACY

DLACZEGO BIURKO I KRZESŁO SĄ NARZĘDZIEM ZAWODOWYM

REDAKCJA: MONIKA BARTOSZEWICZ
KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

W pracy redaktora spędzamy przy biurku od kilku do kilkunastu godzin dziennie. To oznacza tysiące godzin rocznie w pozycji siedzącej. Jeśli ta pozycja jest nieprawidłowa – ciało zaczyna się adaptować. Niestety w złą stronę.

Biurko i krzesło – wysokość ma znaczenie

Optymalna wysokość

Standardowa wysokość biurka to około 72–75 cm, ale to wartość uśredniona. Wysokość powinna być dopasowana do wzrostu. Najważniejsza zasada: łokcie podczas pisania powinny być zgięte pod kątem około 90 stopni, a barki rozluźnione. Jeśli biurko jest:

- za wysokie → unosimy barki, napinamy kark;
- za niskie → garbimy się, wysuwamy głowę do przodu.

Najlepszym rozwiązaniem są biurka z regulacją wysokości (również z opcją pracy stojącej). Zmiana pozycji w ciągu dnia zmniejsza obciążenie kręgosłupa.

Krzesło – nie estetyka, lecz konstrukcja ma znaczenie

Nie będzie przesadą stwierdzenie, że dla redaktora krzesło jest inwestycją w zdrowie, a nie jedynie dodatkiem do biurka. Na co zwrócić uwagę przy jego wyborze:

- Regulacja wysokości → stopy powinny w całości spoczywać na podłodze. Kolana pod kątem około 90–100 stopni.
- Podparcie lędźwiowe → naturalna krzywizna kręgosłupa (lordoza lędźwiowa) musi być wsparta.

Brak podparcia powoduje zapadanie się dolnego odcinka pleców.

- Regulowane podłokietniki → powinny umożliwiać swobodne oparcie przedramion bez unoszenia barków.
- Oparcie dopasowane do pleców → nie za miękkie. Nie za twarde. Stabilne.

Jak pozycja siedząca wpływa na kręgosłup?

Kręgosłup ma naturalne krzywizny:

- lordozę szyjną,
- kifozę piersiową,
- lordozę lędźwiową.

W pozycji zgarbionej:

- głowa wysuwa się do przodu,
- odcinek szyjny jest przeciążony,



Źródło: https://www.freepik.com/premium-vector/woman-demonstrates-correct-posture-working-with-computer-sitting-with-straight-back-table_225793063.htm

- barki rotują do środka,
- klatka piersiowa się zapada.

Każde 2–3 cm wysunięcia głowy do przodu zwiększają obciążenie kręgosłupa szyjnego nawet o kilka kilogramów. Efekt długofalowy:

- przewlekły ból karku,
- napięciowe bóle głowy,
- drętwienie rąk,
- ograniczenie ruchomości szyi.

A w rezultacie nawet wdowi garb.

Pozycja a mózg – zależność, o której mało się mówi

Zła postawa to nie tylko ból. Zgarbiona sylwetka:

- ogranicza pojemność płuc,
- zmniejsza dotlenienie organizmu,
- zwiększa napięcie mięśniowe.

Mózg zużywa około 20% tlenu w organizmie. Jeśli oddychamy płytko (co dzieje się przy zapadniętej klatce piersiowej), spada efektywność poznawcza.

Badania pokazują, że przewlekłe napięcie szyi i karku może nasilać bóle głowy oraz obniżyć koncentrację.

CZYLI: ZŁA POSTAWA = MNIEJ EFEKTYWNY MÓZG.

Długotrwałe pisanie na klawiaturze – konsekwencje dla dłoni i nadgarstków

To szczególnie ważne w pracy korektora. Powtarzalne ruchy palców przez wiele godzin mogą prowadzić do różnych schorzeń, jak np. zespołu cieśni nadgarstka czy zespołów przeciążeniowych ścięgien.

Zespół cieśni nadgarstka

Dochodzi do ucisku nerwu pośrodkowego w kanale nadgarstka. Objawy:

- mrowienie palców (szczególnie kciuka, ale też palców wskazującego i środkowego),
- drętwienie dłoni,
- osłabienie chwytu,
- ból promieniujący do przedramienia.

Zespoły przeciążeniowe ścięgien

Objawy:

- zapalenie ścięgien,
- ból przy ruchu,
- sztywność dłoni rano.

Odpowiednio przygotowane stanowisko pracy przy komputerze i zachowanie prawidłowej postawy - Twoja droga do zdrowego życia.

Góra krawędź ekranu kilka centymetrów powyżej linii wzroku.

Monitor ustawiony bokiem lub tyłem do źródła światła.

Monitor w odległości 40-75 cm od użytkownika.

Blat na wysokości łokci pracownika. Przedramiona na blacie

Fotel wyposażony w regulację wysokości (40-50)cm i odchylenia w zakresie 5 stopni do przodu i 30 do tyłu.

Należy zachować odpowiednią głębokość biurka.

Fotel powinien pozwalać na obrót o 360 stopni wokół osi poziomej i mieć blokowane koła.

Stopy całe na ziemi.

Biurko ustawione około metr od okna.

Źródło: <https://kariera.comarch.pl/blog/jak-pracowac-komfortowo-czyli-co-powinnismy-wiedziec-o-ergonomii-pracy-przy-komputerze/>

Długotrwałe napięcie bez przerw powoduje mikrourazy – podobnie jak w sporcie.

Mysz komputerowa – jednostronne obciążenie

Wielogodzinne operowanie myszką:

- obciąża jeden nadgarstek,
- przeciąża bark,
- powoduje asymetrię napięcia mięśniowego.

Efekt? Ból łopatki, szyi, czasem promieniowanie bólu do głowy. Dlatego warto:

- zmieniać rękę (jeśli to możliwe),
- używać ergonomicznej myszki pionowej,
- korzystać ze skrótów klawiaturowych, by ograniczyć pracę myszy.

CIEKAWOSTKA

Zmiana ręki pracującej myszą stymuluje różne obszary mózgu, sprzyja ich rozwojowi i poprawie neuroplastyczności, a także nawiązywaniu nowych połączeń nerwowych.

Do czego prowadzi wieloletnie zaniechanie ergonomii

Niestety praca wbrew ergonomii może powodować:

- przewlekłe bóle kręgosłupa,
- dyskopatie,
- migreny napięciowe,
- problemy z krążeniem,
- przewlekłe zmęczenie,
- pogorszenie koncentracji.

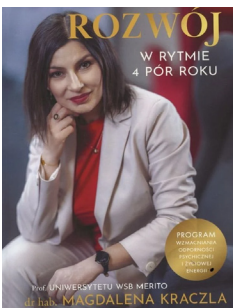
Ciało zaczyna generować ból jako sygnał ostrzegawczy. A ból pochłania uwagę poznawczą. Mózg skupiony na bólu ma mniej zasobów na analizę tekstu.

Zasady, które powinny być standardem pracy redaktora

- Monitor na wysokości oczu (górną krawędź na linii wzroku).
- Plecy oparte, nie pochylone.
- Nadgarstki w linii prostej, niezgięte ku górze.
- Przerwa co 60–90 minut.
- Krótka sekwencja ruchowa co godzinę (rozciąganie, kilka przysiadów, ruch ramion).

Redaktor pracuje głową. Ale jeśli ciało jest w bólu – mózg pracuje gorzej. Warto pamiętać, że ergonomia nie jest luksusem ani fanaberią, lecz warunkiem długoterminowej sprawności zawodowej.

Rozwój w rytmie 4 pór roku



Autor: Magdalena Kraczkla

Wydawnictwo: [Limitless Mind Publishing](#)

Oprawa: twarda

Formaty: druk

Gatunek: rozwój osobisty

Gdzie kupić? [Empik](#)

Ta książka to zaproszenie do zatrzymania się, wyciszenia i głębszego spojrzenia na siebie – tydzień po tygodniu. Autorka, Psycholog Biznesu i Zdrowia, prof. Uniwersytetu WSB Merito Magdalena Kraczkla, dzieli się sprawdzonymi ćwiczeniami terapeutyczno-rozwojowymi z własnego gabinetu psychologicznego, tworząc praktyczny przewodnik po samopoznaniu, odporności psychicznej i świadomej obecności. M. Kraczkla od lat wspiera ludzi w odkrywaniu ich potencjału, budowaniu odporności psychicznej i radzeniu sobie ze stresem. Jako certyfikowany Trener, Coach i Konsultant odporności psychicznej oraz Przewodnik Shinrin Yoku łączy psychologię z terapią naturą, tworząc holistyczne podejście do dobrostanu.

Każdy rozdział prowadzi Cię krok po kroku, pozwalając wzmocnić uważność, lepiej zrozumieć własne emocje i odnaleźć spokój mimo codziennych wyzwań.

Ta książka jest dla czytelników, którzy: potrzebują zwolnić, uspokoić umysł i wrócić do siebie, chcą pracować nad poczuciem równowagi i odporności psychicznej, szukają praktycznych, realnie działających ćwiczeń rozwojowych, pragną większej klarowności, spokoju i wewnętrznej siły.

ZMARTWYCH

REDAKCJA: WERONIKA BELOWSKA

KOREKTA: EWELINA BELZ

KOREKTA TECHNICZNA: KATARZYNA PYKA

Nie wiem, co się dzieje i gdzie jestem, gdy mocne szarpnięcie przywołuje mnie do życia. Ciało przypomina mi bryłę lodu. Moja pierś gwałtownie unosi się i opada, aż w końcu nabieram potężny haust powietrza, po czym z drżeniem wypuszczam je z płuc, zaraz potem zanoszę się rwącym kaszlem, od którego wszystko mnie boli. Kiedy otwieram oczy, świat okropnie wiruje, kolory zlewają się w czarną plamę. Jest mi niedobrze. Moje powieki są ciężkie, jakby były z ołowiu. Możliwe, że znów tracę przytomność, gdy ciemność zasnuwa mój umysł.

Chcę się już obudzić. Nie wiem, jak długo spałam. Mam wrażenie, że za długo. Co rusz odzyskuję świadomość, by zaraz ponownie zapaść w pustkę. Coś mnie tu trzyma i nie chce puścić. To jak ruchome piaski – im bardziej chcę się wydostać, tym mocniej się zapadam.

Słyszę głosy, kilka naraz, lecz nie rozumiem słów. Widzę szydercze, powykrzywiane twarze, ale ich nie rozpoznaję. Czuję ucisk w żołądku i lodowate dreszcze. Uczucie duszenia przeplata się ze zgrozą.

Nie powinno mnie tu być!

Nie powinno mnie tu być.

Nie powinno?

Mój puls przyspiesza, serce wybija nierówny rytm, nieustannie walcząc z letargiem.. Nagle wynurzam się z niebytu i wraca mi przytomność. To nie miejsce dla mnie. Kolejny świszczący oddech i bolesny spazm kaszlu, od którego robi mi się słabo.

Żyję.

Niemal czuję z tego powodu ulgę, ale jeszcze nie wiem, co mnie czeka, więc studzę rosnącą euforię. Z całych sił staram się rozjaśnić umysł,

przeczesać go w poszukiwaniu ostatnich wydarzeń. Wspomnienia atakują mnie z każdej strony, zalewając groźnymi strumieniami wątlej pamięci. Za szybko i za dużo. Przyhamowuję je, aby nie utonąć w morzu straconego życia. Moje powieki są niemożliwie ciężkie, gdy je ponownie rozwieram.

Skupiam wzrok na lazurowym niebie nade mną. Wydaje się zbyt błękitne, by mogło być prawdziwe. Obłoki suną niedorzecznie wolno, ale to pomaga zachować trzeźwość umysłu. Rozglądam się po miejscu, w którym leżę bezwładnie. Powietrze przesycone jest wonią mokrej gleby i leśnego poszycia. Oddycham głęboko i wciągam w nozdrza słodko-gorzki zapach stęchlizny zwykle towarzyszący cmentarzom. Odrętwiałe członki pomału rozgrzewa na nowo tętniąca w moich żyłach krew.

Nikły uśmiech rozświetla moją twarz, kiedy spostrzegam, że nadal mam na sobie mój ulubiony bordowy strój i przytroczony do boku miecz. Tak, mój miecz. Natychmiast wyciągam po niego dłoń, jakby był moją tratwą, i mocno ściskam rękojeść. Spokój natychmiast ogarnia mnie całą i nie pozwala utonąć w tym szaleństwie. Nie wiem, gdzie jestem, ale to najmniejszy z moich problemów.

Nasłuchuję.

Cisza.

Nikogo, kto chciałby mnie dobić, tu nie ma.

Czuję ulgę. Wypuszczam wstrzymywane powietrze i nakazuję ciału wolno powstać. Ból, który temu towarzyszy, omal znów nie powala mnie na miękką glebę. Głośny jęk przesycony cierpieniem opuszcza moje usta. Uprzedzali, że tak będzie, ale ja nie słuchałam. Tak niewielu

doświadcza przebudzenia. Nawet nie brałam pod uwagę tego, że akurat mnie się uda.

Cholerny fart!

Moje nogi drżą. W końcu udaje mi się stanąć i, opierając się na klindze miecza, odkrywam, że ktoś mi wykopał płytki... grób. Górna krawędź dołu sięga mi zaledwie do barków. Niemal czuję z tego powodu rozczarowanie.

– Gorzej to już nie mogłaś trafić, Laryso – słyszysz znajomy głos, od którego mój puls przyspiesza.

Odwracam się w stronę demona, niedbale siedzącego na pniu powalonego drzewa. Ostrzy wielki miecz zwany Licem Diabła. Doskonale znam to ostrze, to nim zostałam ugodzona tyle razy – ostatni przesądził o mej śmierci...

Gdy spoglądam w przerażające zielone oczy, czuję w gardle narastającą panikę, a zimny dreszcz przebiega po całym ciele. Chwiejnie cofam się przed stworem. Jego policzki unoszą się w groteskowym uśmiechu odsłaniającym zbyt wiele ostrych, nieludzkich zębów.

– Ty...! – warczę, zawierając w tym jednym słowie wszystkie obelgi świata.

– Co, nieciekawie? – mruczy Orion, napawając się każdą sekundą mojego przerażenia. Wbija ostrze miecza w ubitą ziemię obok prawego buta. Ponownie unosi na mnie wzrok i dodaje: – Nie martw się. Dziś jestem tu zawodowo.

Następnie wstaje, strzepuje niewidzialne pyłki z czarnej płaszcza, wolno podchodzi do mnie i przyklęka na krawędzi wykopanego dołu. Odruchowo unoszę miecz.

– Co znaczy... zawodowo? – jąkam się.

Chyba nie ma na myśli... Nie! To nie może być prawda! Myślę gorączkowo, co jeszcze mógłby ode mnie chcieć, prócz rzecz jasna mej śmierci, ale mam przeczucie, że tym razem nie o to chodzi...

– No, a jak myślisz, złotowłosa? – naśmiewa się ze mnie, rozciągając usta w uśmiechu samozadowolenia.

Ostatnio, gdy widziałam ten uśmiech, wybiłam mu kieł. Z niechęcią zauważam, że odrósł. Szkoda, bez niego nie był już takim przystoj-

niakiem. Czuję złość. Ogrom rosnącej, niepomówianej złości, która szuka ujścia.

– Nie wierzę, że to akurat ciebie wylosowałam na mojego mentora! – wybucham rozgoryczona. Mój głos jest niemożliwie szorstki z powodu wysuszonego gardła. Ile bym teraz dała za łyk wody.

– Z tysiąca jeden demonów to nie lada niespodzianka – przyznaje Orion, wciąż rozbawiony.

Przez chwilę zastanawiam się, czy ze mnie kpi, czy może oszalał i naprawdę się z tego cieszy.

– Chyba jesteśmy sobie pisani. – Mruga do mnie zaczepnie, wyciągając dłoń, pozaznaczaną siatką blizn. Jedną otrzymał ode mnie. Z satysfakcją stwierdzam, że jest najszersza.

Prycham z furii.

– Wolę umrzeć, niż zbratać się z tobą! – Posyłam mu rozdrażnione spojrzenie.

Mina na moment mu rzędzie.

– Zostałaś przebudzona z woli Bogów, nie możesz zerwać boskiego traktatu, wiesz, czym to grozi – przypomina, jakbym nie wiedziała. Głupi kutas!

Co za syf! Bogowie ze mnie drwią.

– Dlaczego najgorsza uczennica ma dla nich jakiegokolwiek znaczenie? – pytam, usiłując zachować spokój.

Orion uważnie mi się przygląda.

Osoby nadnaturalne – takie jak ja – po przebudzeniu miały trzy opcje: zostać aniołem, deminem albo znów trafić do świata ludzi. Rola anioła sprowadzała się do czuwania nad ludźmi i wyłapywania mieszaińców. Demony zaś trzymały w ryzach wszystkie światy, głównie łagodziły spory i gasiły konflikty. Dlaczego nie przypadło mi to łatwiejsze zadanie? Dlaczego w ogóle się wybudziłam? Myśl o zapomnieniu całego koszmaru, którego doświadczyłam w Międzyświecie, była kusząca, ale ponowne przechodzenie tego całego cyrku w Sortowni – już nie bardzo. A mogło to trwać w nieskończoność, dopóki Bogowie nie ujrzą we mnie potencjału. Dla nich byliśmy tylko tępym orężem, które należało jak najszybciej zaostrzyć. Pozostali umierali i trafiali na ziemię jako zwykli ludzie. Zapominali

o poprzednim wcieleniu, prowadzili zwyczajne ludzkie życie, a potem znów trafiali do Sortowni.

Demon nadal wyciąga dłoń w moją stronę. Już raz dałam się tak nabrać i wpadłam w pułapkę. Ignoruję go więc i, wspomagając się mieczem, wydostaję się z grobu. Po chwili stoję obok znienawidzonego mężczyzny i choć moje mięśnie płoną od wysiłku, staram się nie okazywać słabości.

– Niezbadane są wyroki boskie. – Demon wzrusza masywnymi ramionami, nie odrywając ode mnie spojrzenia. Wytrzymuję jego wzrok, spodziewając się wszystkiego. Ostrze trzymam w gotowości.

– Czy można się zrzec mentora? – pytam, poważnie się nad tym zastanawiając.

Orion postępuje krok w moją stronę, nic sobie nie robiąc z miecza, który trzymam w ręku. Patrzy na mnie z góry karcącym wzrokiem.

– Nie można... – cedzi przez zaciśnięte szczęki.

– Na pieprzony traktat! – Ściskam nasadę nosa, próbując zapanować nad rosnącą frustracją.

– Laryso, posłuchaj!

Jego głos jest ostry jak uderzenie bicia. Gdy unoszę na niego poirytowany wzrok, studzi gniew.

– Nie będę udawał, że ten wybór mnie cieszy – podkreśla, podnosząc swój wbity w ziemię miecz. – Wiesz, jak było między nami. – Posyła mi znaczące spojrzenie bez cienia uśmiechu. Odpowiadam tym samym. – Ale to już nieważne, teraz jesteś moją uczennicą i dopilnuję, byś była najlepsza.

Za tymi słowami kryje się dużo więcej, niż mówi. Widzę to w jego oczach. Zaciskam pięści, myśląc tylko o tym, jak bardzo teraz chciałabym mu przywalić.

– Doprawdy?! – Mrużę oczy.

– Daję ci na to diabelskie słowo honoru. – Wyciąga dłoń i uśmiecha się zachęcająco.

– Chyba spadłeś do piekieł o raz za dużo. Nie wchodzę w tobie w żadne konszachty – zaprzeczam natychmiast.

– Obawiam się, że nie masz wyboru. – Chowa miecz do pochwy na plecach, ignorując fakt, że mogłabym go teraz zaatakować. Tym samym daje mi do zrozumienia, że żaden ze mnie przeciwnik.

– Bo co? – odpyskuję, mieląc w ustach niecenzuralne słownictwo.

Wzdycha, tracąc cierpliwość.

– Bo masz dwa wyjścia: albo mnie słuchasz i w zamian od czasu do czasu daję ci namiastkę ludzkiego życia, albo się buntujesz, a ja postaram się ze wszystkich sił, abyś tego pożałowała – grozi, uderzając w czułą strunę.

Mam ochotę kopnąć go w jaja, i to tak, aby mnie zapamiętał na całe życie, ale tak nic nie wskóram. Orion jako mentor ma nade mną przewagę, ale i ja mogę mocno mu się naprzykrzyć.



Jeśli nie uda mu się mnie wyszkolić, oboje zginiemy. Mnie nie zależy na życiu, nie na tym. Ale jemu już tak.

– Twój kochaś na pewno tęskni... – Orion podsuwa mi wizję ukochanego, który pozostał wśród żywych. Nie widziałam go od tak dawna...

– Nie twój interes!

– Teraz wszystko, co dotyczy ciebie to mój interes – przypomina demon.

Wzdycham, spoglądając w chmurzące się niebo. Już po chwili czuję pierwsze zimne krople deszczu na twarzy i chłodny podmuch wiatru. Uwielbiałam deszcz, lecz ten był inny, wyjątkowy, ponieważ pierwszy, którego doświadczyłam po przebudzeniu. Nie byłam już człowiekiem. W sumie to nigdy nim nie byłam, ale teraz już nawet nie mogłam mieć co do tego złudzeń. Miałam stać się demonem, takim jak Orion. Spojrzałam przez ramię na grób, z którego się wygramoliłam.

– Nie chciało ci się kopać, co? – pytam mężczyznę stojącego obok mnie.

Mój mentor uśmiechnął się krzywo i skrócił dystans między nami. Lubił tak robić: zmuszać mnie, abym się cofnęła, lecz nie tym razem. Dumnie uniosłam podbródek, patrząc w jego kocie źrenice.

– Wiedziałem, że się przebudzisz – odrzekł, unosząc dłoń do mojej twarzy. Wzdrygnęłam się zaskoczona, gdy potarł kciukiem bliznę na moim prawym policzku: pamiątkę naszego pierwszego spotkania. Chwyciłam go za nadgarstek i odepchnęłam jego rękę.

– Ciekawe skąd?! – pytam buntowniczo.

– Od dnia, w którym przywlokłem cię w to zafajdane miejsce, czułem, że podła z ciebie suka, Laryso – odpowiada, mierząc mnie wrogim spojrzeniem. – Taka, co to czepia się życia z każdej strony. I dobrze. Ja zrobię z ciebie prawdziwą bestię, a ty mi dasz awans. – Jego oczy rozbłyskują euforią, mieniając się wszystkimi odcieniami zieleni.

– Awans? – powtarzam ze śmiechem.

– Mam wysokie ambicje. – Mruga do mnie.

– Dobra, miejmy to za sobą – burczę pod nosem lekceważąco.

– To tylko dwa lata – pociesza mnie.

Tak, to tylko dwa lata... powtarzam sobie, a potem czeka mnie wieczna służba. Wprost nie posiadam się ze szczęścia.

KONIEC

PATRYCJA RESZKA

W maju obchodzi 30 lat. Skończyła technikum hotelarskie, ale od zawsze marzyła o pracy ze zwierzętami, stąd też pomysł pracy w sklepie zoologicznym. Wychowała się na wsi, gdzie gusła i zabobony miały się dobrze. Czarownice porywały dzieci, a diabeł czaił się w lesie. Naturalnie pojawił się zamiłowanie do fantastyki i mitologii.

Jako dziecko uwielbiała słuchać opowiadań mamy. Gdy zaczynała od słów „dawno, dawno temu” w magiczny sposób przenosiła Patrycję i jej rodzeństwo do świata baśni. I nawet tyle razy opowiedziany Czerwony Kapturek, za każdym razem straszyl złym wilkiem, tak samo. Do dziś ma ciarki.

Tylko z Tobą jestem sobą



Autor: Miłosz Ławniczak

Wydawnictwo: Magia Słów

Gatunek: literatura młodzieżowa

Gdzie kupić? Empik

Nowa szkoła miała być dla Mikołaja szansą na świeży start i ucieczkę od bolesnych wspomnień z przeszłości. Zamiast tego przynosi spotkanie, które zmienia wszystko. Franek – charyzmatyczny, nieprzewidywalny – szybko staje się kimś więcej niż tylko kolegą z klasy, a rodzica się między nimi więź zmusza Mikołaja do konfrontacji z własnymi lękami i pytaniami o to, kim naprawdę jest. W świecie nastolatków pełnym pierwszych imprez, przyjaźni, presji i rodzinnych problemów, ich relacja staje się schronieniem – i jednocześnie największym wyzwaniem. Ciepła, pełna humoru, ale też refleksyjna opowieść o przyjaźni, która może przerodzić się w coś więcej - i o odwadze, jakiej potrzeba, by się do tego przyznać, nawet przed samym sobą.

Bo nowy początek nie zawsze oznacza spokój.



NIE MA CIEBIE

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

a jesteś
w snach
myśli
przypinaniu nart
w powrozach gniewu
odcinających
dopływ krwi
do serca

śniłam nieziszczony sen
o szerokich liściach malw
przy płocie
w snach stawiam dom i płot
sadzę kwiaty
na stole
gładzę biały obrus
bez zmarszczki
jak twoja twarz
i moja
poza czasem

„BETA READING OD KUCHNI. PRAKTYCZNY PRZEWODNIK RECENZENTA I... PISARZA”

KSIĄŻKA, KTÓRA MIAŁA BYĆ PRELEKCJĄ

KOREKTA TECHNICZNA: KATARZYNA PYKA

To nie miała być książka. Naprawdę. Na początku miałam przygotować prelekcję. Dlatego powstała ankieta o beta readingu. Jeśli czytaliście poprzedni numer „Fragmentarium”, znacie jej wyniki. I właśnie one wszystko zmieniły.

Ankieta dalej jest w obiegu i jeśli chcesz się przyczynić do rozwoju moich obserwacji, wypełnij ją tutaj: [Ankieta o działalności beta readerów](#).

I coś tam wybrzmiało bardzo wyraźnie

Nie pojedyncze głosy. Nie wyjątki. Tylko powtarzający się schemat:

- prawie połowa respondentów uważa, że beta reading jest potrzebny, ale brakuje mu profesjonalnych ram, czy jasnych standardów współpracy,
- beta readerzy działają intuicyjnie, bez punktu odniesienia,
- feedback bywa przypadkowy, zbyt ogólny albo trudny do wykorzystania, jednak dalej oczekiwany,
- ponad połowa biorących udział w ankiecie dała jasny feedback, że chcą podnosić swoje kwalifikacje.

I wtedy pomyślałam, że to nie jest temat na prelekcję. To jest temat na coś większego.

Więc zaczęłam grzebać

W pamięci i w doświadczeniu. We własnych notatkach, tych wszystkich „nabazgranych”, roboczych, które powstawały po:

- pracy z tekstami,
- rozmowach z autorami,
- analizach, które trzeba było jakoś uporządkować.

Zaczęłam do nich wracać i do tego, co było jeszcze wcześniej. Do kursów. Do warsztatów pisarskich. Do rozmów ze spotkań autorskich. Do słuchania i analizowania. Wracałam też do książek o pisaniu – polskich i zagranicznych.

Sięgałam do głosów takich jak: Sanderson, Piersa, Gołkowski czy A. Urbanowicz i wielu innych twórców, którzy rozkładają pisanie na czynniki pierwsze. To wszystko w mniejszym lub większym zakresie już było. Tylko rozproszone.

A ja już wcześniej byłam po drugiej stronie
Pracowałam jako edukator w poprzedniej branży. Prowadziłam ludzi przez proces. Tłumaczyłam rzeczy trudne na zrozumiałe.

Później pojawiły się pierwsze warsztaty pisarskie – dla grupy Mileny Wysockiej, tak naszej Mileny z zespołu redakcyjnego „Fragmentarium”.

I pamiętam ten moment bardzo dobrze. Bo dostałam coś, co jest najważniejsze: realny, dobry feedback od uczestników. Nie był grzecznościowy. Nie był „na zachętę”. Był taki, który mówi: to ma sens.

I wtedy zapadła decyzja

Spróbuję. Bo skoro temat jest potrzebny, doświadczenie też już jest i ludzie na to reagują, poszukują bety dla swoich dzieł, to może czas przestać odkładać to „na później”. Bo tego po prostu nie ma. Są jakieś artykuły. Krótkie, znów rozproszone. Drobne wzmianki i pojedyncze porady.

Ale w takim stopniu, w jakim jest to potrzebne – nie ma jednego miejsca, które:

- porządkuje obowiązki bety,
- pokazuje jej granice,
- daje narzędzia i buduje standard.

Tak powstało „Beta reading od kuchni”

Nie jako pomysł. Jako odpowiedź na ankietę, na doświadczenie. Na powtarzające się problemy.

To prawie 2 miliony znaków, które podzieliłam na co najmniej cztery tomy. Pierwszy z nich to około 300 stron konkretnego.

Co znajdziecie w środku?

Nie samą teorię. Tylko rzeczy, które realnie wykorzystuje się w pracy:

- czym naprawdę jest beta reading,
- gdzie kończy się beta, a zaczyna redakcja,
- jak analizować narrację i POV,
- jak pracować nad bohaterami,
- jak mówić o problemach w tekście,
- jak nie przekroczyć granic,
- jak wspierać autora, ale nie przejmować jego tekstu.

To kompendium, nie „zbiór wrażeń”, zaprojektowane tak, że można potraktować je jak pomocną checklistę.

Na jakim etapie jesteśmy teraz

Książka jest na ostatniej prostej. Przechodzi finalne szlify językowe – pod okiem innego redaktora, Weroniki Belowskiej (bo wiecie... własnych błędów się nie widzi).

Pierwsze składy już są w toku. A kolejne tomy czekają na etap redakcji – ruszy, gdy tylko zamknę prace nad tym pierwszym.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem:

- tom 2 – pojawi się w czerwcu/lipcu
- tom 3 – wrzesień / październik

W międzyczasie pojawi się też mini-poradnik o redagowaniu i analizie powieści fantastycznej – w formie e-booka.

I małe „od kuchni”

To, co widzicie jako okładkę – to jeszcze projekt. Grafika zostanie i jeszcze będzie dopieszczana.

Typografia – oczywiście do dopracowania.



Przedśprzedaż i gdzie kupić

- trwa do końca marca,
- druk i premiera: kwiecień,
- nakład: jedynie 300 egzemplarzy,
- druk (z e-bookiem w pakiecie) – 129 zł,
- e-book PDF / EPUB / MOBI – 119 zł,
- audiobook – latem

Książkę zakupisz na tej samej stronie, z której pobieraliście „Fragmentarium”: www.noc-naredaktorka.com

Na koniec

To jest trochę autopromocja. Nie będę udawać, że nie. Ale jeśli czytaliście ankietę, to wiecie, że ta książka nie powstała „bo tak”. Powstała, bo była potrzebna. I chyba pierwszy raz mam poczucie, że coś, co przez lata było rozproszone – naprawdę ma swoją formę.

OSTATNI MOST

REDAKCJA: KATARZYNA PYKA

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

„Być może to realiści budują drogi i mosty, ale to nie oni prowadzą nimi ludzi”

Pieśń harfy – Levi Henriksen

Noc powoli dawała za wygraną. Bezchmurna i bezwietrzna. Pokryła ciszą dolinę Przemszy tam, gdzie jej mniejsze siostry łączyły w jedno swe dwa nurty. Mgła o barwie zsiadłego mleka okrywała grubą kołdrą ten uroczy zakątek. Na jednym z wiaduktów kolejowych, dawno wyłączonym z eksploatacji, zamajaczyła przygarbiona postać. Jakby delikatnie pchana wstającym powoli słońcem dotarła do miejsca, gdzie żelazna kratownica pochylała się nad leniwym nurtem rzeki, przystanęła na chwilę i – zdawać by się mogło – niebezpiecznie wychyliła się poza barierę. Spod chusty pieczołowicie przykrywającej przyprószone siwizną włosy w nieprzeniknionej dal spojrzały zmęczone oczy.

– Zaczekaj. – Cichy, niemal niesłyszalny głos dobiegł uszu starowinki.

Kobieta zadarła głowę. Mgła wisiała nad jej sylwetką, spowijała łuki mostu, szczelnie okrywając źródło dźwięku. Cisza miała przynieść spokój, nurt Przemszy – ukojenie trosk.

– Nie przeszkadzaj mi – wyszeptały w pustkę zwiędnięte usta.

– Nie zamierzam. Ale mimo to poczekaj jeden dzień. Chociaż jeden.

– Po co? – Kobieta podjęła dialog z towarzyszem, kryjącym się gdzieś ponad nią. – Wybiła już czarna godzina.

– Poczekaj – nalegał głos. – Wysłuchaj opowieści. Przywołaj wspomnienia. Przejdź przez labirynt swojej pamięci. Ostatni raz, ten jeden ostatni, pomóż, gdy Tezeusz pyta o drogę. Rozwiń nić. Wróć do kłębka.

– Stare czasy. – Oczywiście, zawieszono w pustce, uroniły łzę. – Już nie jestem potrzebna.

– Więc daj sobie szansę. Jeszcze raz.

Gdzieś na wschodnim niebie zaświtało. Słońce z pozoru leniwe, lecz całą swą mocą rozpraszało mrok, łechtalo delikatnie, lecz stanowczo szarość mgły, a ta pod wpływem ciepła, powoli, niezgrabnie jak niechętny troglodyta poczęła odpuszczać i się unosić, odsłaniając urok zakątka trzech rzek. Bujne trawy, zroszone drobnymi kropelkami rosy, podniosły się z trwożliwego pokłonu, jakby próbując spojrzeć w oczy wstającemu dniowi. Trójkąt Trzech Cesarzy, skrzętnie ukryty pomiędzy Białą a Czarną Przemszą, budził się do życia, witając świat wszystkimi kolorami zieleni. Wiosna postanowiła zawitać na dobre.

Kobieta zamknęła oczy. Jeszcze przez chwilę cisza aż kłuła w uszy. A potem powróciły obrazy sprzed kilkudziesięciu lat. Gwar. Tętniąca życiem rzeka. Tłumy spacerowiczów. Stukot kół. Trzeszczące z wysiłku podkłady. Gwizdek stalowego kolosa. Podróż w nieznanne. Następną kolejową przygodą. Entuzjastyczne rozmowy podróżnych. Roześmiane i beztroskie dzieci. Wykwintni panowie i strojne damy. Wspomnienia przywołały uśmiech.

– Pięknie. Wtedy byłam przydatna.

– A widzisz?

Słońce rozświetliło górne części kratownicy. Most odradzał się w swoim majestacie. Pieczołowicie utkana pajęczyna poruszyła się nieznacznie. To osiem włochatych odnóży ruszyło na spacer po delikatnej sieci.

– Nie otwieraj oczu – namawiał głos – bo wspomnienie niechybnie umknie.

Pajęczy odwłok wypluł nić. Małe ciało, niepokojone żadnym podmuchem wiatru, opuszczało się i cicho osiadło na ramieniu staruszki.

– Przypomnij sobie – szepnął pajak niemalże do ucha. – Opowiedz sobie swoją historię.

– Nikt już nie chce słuchać.

– Opowiedz. Ja chcę.

– Tyle czasu upłynęło... – Usta poruszyły się jakby raźniej. Staruszka powoli wchodziła w trans, przypominając sobie wydarzenia sprzed lat. Otworzyła oczy i obróciła się w stronę najbliższej stacji kolejowej. – To tam. Piękny, szeroki, zadbane peron, budynek dworca murowany czerwoną cegłą. Wycieczkowicze i wczasowicze. Widzę ich.

Staruszka rozpostarła zapraszająco ramiona. Pajak uśmiechnął się i tupnął nóżką, jakby na

zachętę. Czuł, że i tym razem magia jego słów zaczyna działać.

– Witam serdecznie szanownych państwa i was, niesforne dzieciaczki. – Kobieta najwyraźniej przeniosła się w czasie, do epoki jeszcze sprzed wielkiej wojny. – Dzisiejsza przejażdżka odkryje przed wami uroki naszej pięknej, śląskiej ziemi. Odwiedzimy bujne zarośla, w których, przy odrobinie szczęścia dojrzymy zimorodka albo wilgę. Pojedziemy wzdłuż dostojnej Czarnej Przemszy, gdzie swe domy wybudowały wydra, bóbr, piżmak i reszta tego wesołego wodnego towarzystwa. Spojrzymy na kwitnące miasto, na dumne huty, by zakończyć naszą podróż w Mysłowicach.

Kobieta zamilkła. Tym razem to pajak zamknął oczy, jakby przeniósł się w czasie wraz ze swoją towarzyszką. Zawładnął nią. A jednocześnie dał się ponieść opowieści płynącej w dal, wstecz, malującej obraz już nie tylko przedwojennego Sosnowca. Cofnął się do dziewiętnastego wieku, kiedy to miejsce miało zaszczyt przynależenia jednocześnie do trzech wielkich mocarstw, do czasu, kiedy rzeka tętniła od pokrzykiwań ludzi płynących dumnie swoimi galarami wypełnionymi zbożem, drewnem i innym dobrami śląskiego pogranicza. Młyny i tartaki wodne wstrzymywały oddech na tę wyjątkową chwilę, by serdecznie go pozdrowić. Dołączył do wycieczki. Dał się zabrać w podróż. Rozmarzył się. Miał wiele wspomnień, ale te, przywołane przez staruszkę, poruszyły go do głębi. Poczuł, że zaczyna bić od niej poczucie spełnienia. Że spokój, którego pragnęła, objął ją w ramiona i przytulił z całą mocą.

– Pięknie!

Sfatygowana chusta, zerwana z głowy w przyptywie szczęścia,



zatańczyła w powietrzu i delikatnie opadła na powierzchnię wody.

Kobieta jeszcze raz zamknęła oczy. Od strony Jęzora dobiegł znajomy szum. Cichy. Ledwie dosłyszalny. Dźwięk narastał. Szuranie nie ustało. Od wschodu nadjeżdżała czarna lokomotywa, choć trafniej byłoby to ująć: lewitowała. Zrazu jej obraz był niewyraźny, lecz z każdym pokonanym metrem nabierał ostrości.

W końcu pociąg zawisł nad mostem. Z drzwi pierwszego wagonu wyskoczył konduktor i zatrzymał się w powietrzu.

– Zapraszam serdecznie. – Sumiaste wąsiska się poruszyły. Pod nimi, niczym żołnierze na mustrze, stanął w uśmiechu rząd białych zębów. – Ostatnia przygoda, pani Gertrudo.

Kobieta ujęła podaną dłoń. Zgrabnie wskoczyła do wagonu. Włosy, które magią wspomnień powróciły do swej kruczej czerni, upięła w fantazyjny kok. Założyła elegancki mundur i zasiadła w pierwszym przedziale. Wyrzała przez okno. W blasku słońca dostrzegła cieniutką nić, po której skrzętnie wspinał się jej towarzysz.

Lokomotywa sapnęła z wysiłku. Skład mierzwi ruszył z miejsca. Roześmiane oczy spojrzały na pajęczą sieć.

– Kim jesteś?

– Jestem strażnikiem wspomnień. Bramą do innego świata. Ukojeniem trosk.

– Masz jakieś imię?

– O tak! Kiedyś, dawno temu, ktoś dał mi imię. Jestem pająk Heweliusz.

– Pięknie!

Pajęczyna się zatrzęsła. To jakaś niezgrabna muszka uderzyła w nią z całą mocą. Zaszamotała skrzydełkami. Pająk był zbyt zmęczony podróżą w czasie. Zignorował ofiarę.

– Na dzisiaj wystarczy. – Uśmiechnął się życzliwie. – Uciekaj!

Tymczasem pociąg nabrał prędkości. Pomknął na północ. Pomimo braku szyn przez chwilę jeszcze słychać było miarowe stukanie kół. Obraz pociągu był coraz bardziej rozmazany, aż znikł zupełnie.

– Szczęśliwej podróży, Gertrudo.

Osiem małych nówek powędrowało w kątkratownicy, by ukryć się w cieniu.

– Poczekam do jutra. Zapewne znów mnie ktoś odwiedzi – wyszeptał pająk, patrząc, jak mała muszka wyswobadza się z sieci i ulatuje w stronę Trójkąt Trzech Cesarzy. Heweliusz pokiwał głową z uznaniem.

– Szczęściara...

Gdzieś tam w dół rzeki odpłynęła szara chusta. Już nie była potrzebna. Nad Przemszą znów zapadła cisza.

MARIUSZ OLEJNICZAK

Autor opowiadań z gatunku szeroko rozumianej fantastyki, choć literatura obyczajowa też nie jest mu obca. Zachęcony do pisania przez żonę Agnieszkę, pierwszą recenzentkę wszystkich tekstów. Uwielbia czytać, przede wszystkim komiksy, których jest maniakalnym fanem. Wolne chwile spędza na podróżowaniu z rodziną. Docenia ciszę, chyba że jest zakłócona dźwiękami tzw. „ciężkiej muzyki” ze wskazaniem szczególnie na heavy metal.

Laureat konkursów literackich: Przemyska Brama (wyróżnienie za opowiadanie „San Rideau” w 2023 roku, I miejsce za opowiadanie „Masyw Petrosa” w 2024 roku; II miejsce za opowiadanie „Czarny dąb” w 2025 roku); Piękno Spadających Liści (II miejsce w 2024 roku za opowiadanie „St(r)ach”, I miejsce w 2025 roku za opowiadanie „Jadwiga”); Festiwal im. Grudzińskiego (wyróżnienia za opowiadania „Szukam Pastora” w 2023 roku, „Jeden dzień” w 2024 roku i „To stary dom” w 2025 roku). Opowiadanie „Klub 27” zostało opublikowane na stronie internetowej Uranii jako wyróżnione w konkursie Fantasia Copernicana. Opowiadanie „O czym śpiewa słowik?” opublikowano w antologii „Konstelacja Grozy: Spaczeni Lovecraftem”.

MIĘDZY WDZIĘCZNOŚCIĄ A PROFESJONALIZMEM

O RÓWNOWADZE, KTÓRA BUDUJE RYNEK KSIĄŻKI

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

W świecie książki często mówi się o „dziele autora”. I słusznie – to autor niesie historię, emocję, ideę. Ale książka, którą trzymamy w rękach (lub czytamy na ekranie), rzadko jest wyłącznie jego dziełem. To efekt pracy zespołowej. Cichej, nierzadko niewidocznej. A jednak – kluczowej.

I tu zaczyna się temat, o którym mówi się za mało: równowaga w polecaniu siebie nawzajem.

Redaktor poleca autora.

Korektor poleca książkę.

Składacz pokazuje projekt, nad którym pracował.

To naturalne. To część budowania portfolio, wiarygodności, marki osobistej. Ale też coś więcej – to wyraz dumy z projektu i ludzi, z którymi się współpracowało. Problem pojawia się wtedy, gdy ten przepływ działa tylko w jedną stronę.

Niewidzialna część procesu

Autorzy – szczególnie w self-publishingu – często są bardzo aktywni promocyjnie. Pokazują okładki, fragmenty, opinie czytelników. Budują społeczność wokół książki.

Ale w tym wszystkim... zespół redakcyjny bywa pomijany. Nie zawsze z premedytacją. Czasem z braku nawyku. Czasem z przekonania, że „to przecież była usługa”. Wykonana. Opłacona. Zamknięta.

Tylko że dla drugiej strony to nie jest wyłącznie usługa. To godziny pracy nad cudzym tekstem. Decyzje, które wpływają na odbiór książki. Zaangażowanie, którego nie widać w stopce redakcyjnej.

Polecenie to waluta relacji

W branży kreatywnej rekomendacje są jedną z najcenniejszych form „wynagrodzenia długofalowego”. Kiedy redaktor pokazuje książkę, nad którą pracował, nie sprzedaje tylko swojej usługi. On mówi: „Zobaczcie, z kim warto pracować”.

Kiedy składacz publikuje projekt wnętrza książki, daje sygnał: „To jest autor, który stworzył coś wartego uwagi”.

To działa w obie strony – albo przynajmniej powinno. Bo gdy autor milczy, gdy nie wspomina zespołu, gdy na pytanie „polecacie redaktora?” nie odpowiada – ten obieg się urywa.

A przecież jedno zdanie potrafi zrobić ogromną różnicę: „Pracowałam/pracowałem z X – polecam, świetna współpraca”. To nie kosztuje. A buduje. To nie tylko uprzejmość – to świadomość procesu

Warto zrozumieć jedną rzecz – książka to nie produkt jednego człowieka, nawet jeśli wychodzi pod jednym nazwiskiem. Docenienie zespołu to nie jest gest grzecznościowy. To:

- uznanie realnego wkładu pracy,
- budowanie profesjonalnych standardów,
- edukowanie czytelników i innych autorów, jak wygląda proces powstawania książki.

Im więcej mówi się o redakcji, korekcie, składzie – tym bardziej rośnie świadomość jakości. A to działa na korzyść wszystkich.

A co z wydawnictwami?

Tu sytuacja bywa bardziej złożona. Wydawnictwa często – z różnych powodów – nie eksponują nazwisk redaktorów czy składaczy. Czasem to

kwestia polityki firmy, czasem ograniczeń formalnych, czasem po prostu przyjętej praktyki.

Self-publishing rządzi się innymi prawami

Autor wydający książkę samodzielnie ma pełną kontrolę nad komunikacją. Może zdecydować, czy chce pokazać kulisy pracy nad książką. Może wymienić osoby, które współtworzyły projekt.

I właśnie dlatego to na nim spoczywa większa odpowiedzialność za tę równowagę w branży wydawniczej.

Skoro korzysta z wolności, jaką daje self-publishing, warto, by szła za tym także świadomość relacji. To działa w obie strony. Zawsze.

Dobra współpraca nie kończy się na przelewie i oddanym pliku. Ona dalej trwa dzięki temu, jak mówimy o sobie wzajemnie po opublikowaniu tekstu.

- Czy polecamy siebie nawzajem?
- Czy wspominamy o współpracy?
- Czy budujemy sieć, czy tylko zamykamy projekty?

Bo rynek książki – zwłaszcza ten niezależny – opiera się na relacjach. A relacje nie rosną tam, gdzie jest cisza.

Na koniec – prosto

Nie chodzi o wielkie kampanie wdzięczności.

Nie chodzi o oznaczanie w każdym poście.

Chodzi o świadomość.

O jedno polecenie na grupie.

O jedno zdanie w poście.

O jedno „dziękuję” widoczne nie tylko w prywatnej wiadomości.

Bo książki powstają zespołowo.

I warto, żeby było to widać.

Eskadra Pisarzy pod okiem redaktora

Konstrukcja fabuły i narracja to pakiet nagrań z materiałami dodatkowymi



Masz pomysł na historię, ale czujesz, że fabuła się rozmywa? Nie wiesz, która narracja najlepiej odda sens Twojej opowieści?

Dzięki moim wykładom poznasz nie tylko teorię, ale przede wszystkim praktykę. Nie musisz już zastanawiać się, jak utrzymać tempo, napięcie i emocjonalną spójność opowieści ani jaki typ narracji wybrać. „Eskadra Pisarzy” to moje autorskie warsztaty pisarskie, które pomogą Ci spojrzeć na swoją historię jak na świadomie zaprojektowaną całość.

Nauczysz się, jak: budować fabułę, która prowadzi historię od początku do końca • odróżniać wątek główny od pobocznych i nadawać im znaczenie • kontrolować tempo akcji i zaangażowanie czytelnika • tworzyć konflikt wewnętrzny i zewnętrzny • unikać „pustych” roz-

działów i narracyjnych przestojów • poznasz różne typy narratorów • zrozumiesz, czym jest focalizacja.

Warsztaty łączą pisanie jako rzemiosło z pisanem jako sztuką — bez sztywnych schematów, za to z uważnością na styl, intuicję i indywidualny głos autora.

Co otrzymasz po zakupie?

• prezentację warsztatową w formacie PDF • materiały do samodzielnej pracy • możliwość powrotu do treści w dowolnym czasie

Cena w pakiecie: 200 zł

Dostęp: natychmiastowy, ważny trzy miesiące od zakupu

Zakup: <https://www.nocnaredaktorka.com/challenges>

To propozycja dla tych, którzy chcą pisać świadomie, odważnie i z większą kontrolą nad historią. Dołącz do „Eskadry Pisarzy” i pracuj nad fabułą tak, jak pracują nad nią profesjonaliści.

PRZEBUDZENIE

REDAKCJA: MAGDALENA TOMCZAK

KOREKTA: PAULINA MIKA

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA DZIEKAN

*Nie dam rady. Boże, nie dam rady...
Kurwa mać! Nie, nie mogę, nie teraz...*

Czuła, jak łzy ściekają jej po szyi, mocząc kołnierzyk koszuli. Szamotała się pomiędzy pomieszczeniami, szukając miejsca na zawieszenie sznura i jednocześnie czując ulgę, że nie ma takiej możliwości.

Nawet nie mam sznura... Muszę iść do domu. Jezu, żeby tak można było zniknąć... I jeszcze nikogo przy tym nie ranić...

Przed oczami stanęła jej twarz córki – jak by zareagowała? Nie, nie może jej tego zrobić. Po jej narodzinach przyrzekła sobie, że uczyni wszystko, by nigdy nie była tak smutna, jak ona. I tego musi się trzymać.

Pozbieraj się, pogaś światła, zamknij firmę, idź do domu.

Teatr, w którym odgrywa jedną z głównych ról, już czeka. Uśmiechnięta mama, przykładowa żona – leć podać obiad, zrobić pranie, wyprasować, posprzątać, posłuchać rewelacji dnia, pośmiać się, przytulić, oddać się i zasnąć utulona kilkoma kieliszkami wina. Zanurzyć się w ten uwalniający niebyt. Na szczęście szybko zasypia i mimo wszystko dobrze śpi. Szkoła tylko, że budzi się każdego ranka, i karuzela zaczyna się kręcić na nowo.

– Ile jeszcze wytrzymam? – szepnęła i otarła łzy. *Ile jeszcze?*

Wróciła do biura wyłączyć komputer i zahaczyła wzrokiem o zakurzony koci drapak. Ona już odeszła. Jest wolna.



I ciebie zwolniła z obowiązku. I co z tym zrobisz?

Zamknęła drzwi. Ciemność, deszcz i własne nieszczęście zlały się w jedno, oblepiając ją ze wszystkich stron. Tak bardzo chciała uciec, ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie.

Dni stawały się coraz dłuższe, a ona coraz bardziej bała się tego, co zdarzyło się tamtego

popołudnia. Straciła kontrolę, prawie się poddała. Codziennosc obracała się jak bęben w pralce. W kółko to samo, a ona zniknęła od wewnątrz. Została tylko powłoka, uśmiechająca się. A w środku czarna dziura... z posmakami beznadziei. Ale nie może zniknąć.

Jakaś resztką przyzwoitej obowiązkowości trzymała ją w ryzach. Kazała rano wstawać i grać dalej, choć świat wokół się walił. Znikąd wsparcia. Tylko wyrzuty sumienia. Ból głowy, spocone dłonie, ucisk w klatce i arytmiczne serce. Mdłości.

Uśmiech. Nie zapomnij o uśmiechu.

Rozluźnij ramiona, bo już kark boli. Idź. Zrób. Wstań. Usiądź. Co masz taką minę? O co Ci znów chodzi?! Znowu fochy? Obrażalska!

Dusi się łzami, które mają pozostać niezauważone. Dobrze, że w łazience może się zamknąć. Szum wody zagłusza jej płacz. Zaraz wyjdzie.

Tylko obetrzyj twarz.

Czerwonych oczu i tak nikt nie zauważy. Dmownicy krążą po własnych orbitach. A ona jest księżycem każdego z nich.

Co jest z nią nie tak?! O co chodzi?!

Czemu, gdy dla wszystkich świeci słońce, ona stoi pod czarną chmurą rozpacz?

Czemu on tak na nią spojrzął? Znowu się wścieka.

Od razu uśmiech zszedł z jej twarzy. Nie ma już siły. Nie, nie, musi jeszcze wyprasować rzeczy na jutro. Może uda jej się wieczorem poczytać.

Potrzebuję pomocy. Chyba. Na pewno. Znowu. Trochę wstyd.

Jak to wytłumaczy? Ciszka. Nie lubi tej ciszy. Gubi się w niej jeszcze bardziej. Z ciszy rodzi się chaos. Miota się jak zwierzę w klatce. Jeszcze tylko zakupy. Jeszcze tylko pozamiatać. Potem już znajdzie ten czas dla siebie. Ten, o którym piszą na fejsie. Nie wie, jak go znaleźć, ale gdzieś musi być. Podobno potem będzie szczęśliwa. Tylko znaleźć czas. Dla siebie. Zadbać o swoje potrzeby.

Jakie ja mam potrzeby? Szczęście, zdrowie, wakacje – pierdolenie.

Chce być sama, chce się przebudzić z tego koszmaru pieścizliwie nazywanego życiem. Żeby się przebudzić, musi zasnąć. Boi się, bardzo się boi.

– Halo? O cześć, mama. U nas wszystko w porządku, w pracy po staremu. Chyba będziemy malować korytarz, bo taki brudny się zrobił. Co u ciebie? O, jak fajnie! Ha, ha, ha! Słuchaj, muszę kończyć, do usłyszenia!

Chowa uśmiech. Idzie do wanny. Tam może się zanurzyć w samotności. Chciałaby w niej utonąć. A może tak... Ciepło rozchodzi się po ciele. Rubinowa woda omywa jej twarz. Zniknęły ślady po wszystkich łzach. Szum gasnącego serca zagłusza zniecierpliwioną ciszę. Strach odpłynął. Ciemność powoli otula zmęczone ciało. Za chwilę się przebudzi.

SYLWIA WALISZEWSKA

Urodziła się w Poznaniu. Od dziecka czytała powieści różnych gatunków, a pierwsze próby pisarskie podejmowała jako nastolatka, tworząc wiersze i formy epistolarne.

Po latach przerwy wróciła do pisania w 2025 roku, dołączając do warsztatów literackich w ostrowskim Forum Synagoga prowadzonych przez Adama Buszka. Efektem tej pracy jest udział w antologii Pracownia tekstu (2025). Jest także członkinią Ostrowskiego Klubu Literackiego BOHEMA.

Pisze opowiadania i poezję, pracuje nad pierwszą powieścią. W centrum jej twórczości znajdują się przeżycia wewnętrzne i rozterki kobiecego Ja. Swoje teksty prezentowała podczas wieczorów poetyckich „Szuflada”, a jej utwory znajdują się również w kolejnej antologii planowanej na czerwiec 2026 roku.

O CISZY, KTÓRA NAM POZOSTAŁA

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

Tęsknię za Tobą.
Tęsknię za Tobą o każdej porze,
w każdej godzinie
i w każdej sekundzie,
i każdego dnia,
odkąd odszedłeś.

Wciąż pamiętam Twój uśmiech
i Twoje policzki rumiane niczym dorodne letnie maliny.
Wciąż pamiętam podróże, na które mnie prowadziłeś
i Twoje żarty, których nie powinnam powtarzać.
Pamiętam, jak przyjemnie ciepły byłeś
i jak cudownie potrafiłeś przytulać,
i jak wygodne były Twoje kolana
kiedy razem siedzieliśmy obok starego pieca,
który zimą ożywiał cały nasz dom.

(Nie pamiętam Twojego głosu. Tylko cisza mi po Tobie została).

Płaczę za Tobą.
Płaczę za Tobą w każdej chwili,
która przypomina mi o Tobie:
kiedy widzę zmarszczki na cudzej twarzy
i kiedy słucham dzwonów kościelnych,
i kiedy wchodzę do Twojego mieszkania cichego,
pustego i jakże nagle obcego,
i kiedy uderza mnie Twój zapach, który zaraz zniknie.
Zniknie, jak płatki śniegu wiosną
i jak pąki kwiatowe jesienią.

Czas nigdy jeszcze nie pędził tak jak teraz –
okrutnie i brutalnie,
zostawiając nas w tyle, byśmy zbierali resztki
chwil, które już nie wrócą.

(Jeszcze pamiętam Twój głos i boję się dnia, kiedy zastąpi go cisza).

DLA TATY NA URODZINY

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

Kochany tato
życzę ci
żeby śmierć przyniosła ci na urodziny
naleśniki ze słodkim serem i kropkami bitej śmietany
i jeszcze wspomnienie
jak idziesz z dziadkiem do kawiarni na Nowym Świecie
a czekolada oblepia ci zęby

Życzę ci
żeby rak prostaty
był tylko guzikiem, który po naciśnięciu
przenosi cię jak perski dywan w inne nieziemskie światy
gdzie uśmiechnięty dziadek trzyma cię za drobne palce
a czekolada oblepia ci zęby

FIS-MOLL

REDAKCJA: MAGDALENA S. MATUSIEWICZ
KOREKTA TECHNICZNA: KATARZYNA PYKA

Paryż, czerwiec 1848

Jeżeli kiedykolwiek zastanawialiście się, jak muzycy zapamiętują utwory, to ja wam nie odpowiem na to pytanie. Przynajmniej nie za nich, gdyż mógłbym – ale tylko za siebie.

Moje palce wędrowały zręcznie po klawiszach, nie szczędząc białych, z kolei ledwo tylko muskały czarne. Po latach każdy instrument jest już wyrobiony, klawiatura zamienia się w szczyrbaty uśmiech, a perfekcyjniści gotują się wewnątrz, widząc tak nierówno wciśnięte klawisze.

Tak się grało na fortepianie, od zawsze.

Co z tymi utworami? Ach, tak... Kolory!

Gdy twój mózg nie działa jak u zwykłego śmiertelnika, dzieją się dziwne rzeczy. Oto nagle każda tonacja ma w mojej głowie swoją barwę. D-dur było dla mnie żółte, g-moll ciemnozielone, c-moll granatowe, a fis-moll brunatne. Ta dziwaczna paleta barw, wraz z graniem wciąż niedokończonej przeze mnie melodii przewijała się przez głowę i zapamiętywałem tylko sekwencje barw następujących po sobie.

Trzeci raz już ogrywałem zakończenie tej sonaty i wciąż miałem wrażenie, że nie potrafiłem tego wymyślić odpowiednio... dobrze. Lekko pomięta kartka z pokreślonymi sekcjami leżała przede mną i jakby groziła mi, że się obrazi, gdy nie skończę tego utworu.

A papier był drogi!

Ta sama kartka nie pojmowała, że przecież to nie ode mnie zależy, a od mojej kapryśnej wyobraźni, która raz podsunie epicką codę, a innym razem zatnie się na tygodnie.

Ech, życie kompozytora nie jest łatwe. No, chyba że jesteś Eugenem. Urodził się on na przed-

mieściach, wywodził się z arystokratycznych sfer, i dzięki znajomościom ojca został wciśnięty na dwór królewski. Pisał oprawy muzyczne do uroczystości dla samego króla Francji, zanim ten uciekł w lutym. Nigdy nie była to twórczość najwyższych lotów, ale król nie narzekał i solidnie go opłacał.

A ja? Muzyka była moją pasją, ale nijak dało się z tego utrzymać. Za dnia pracowałem jako francusko-austriacki tłumacz dokumentów, a popołudnia i dni wolne mogłem poświęcić na granie. Miałem do tego pokój w wynajętym mieszkaniu w kamienicy.

Moja sprzątaczką Isabelle raz w tygodniu czyniła co mogła, by tylko doprowadzić je do ładu. Mimo to zbierały się tu zatrważająco chore ilości kurzu, aż kręciło mi się w nosie. Co i rusz w trakcie grania na instrumencie przez mocne i niepowstrzymane kichnięcie wypadałem z narzucanego przez siebie tempa.

Kolejny raz podchodziłem do tej sonaty. Zeszty z nutami już na dobre zadomowił się na klapie mojego fortepianu, a ja znów patrzyłem pusto na ścianę, szukając w głowie czegokolwiek. Tapeta się miejscami odklejała i zdawałem sobie z tego sprawę za każdym razem, gdy akurat w głowie mi nie huczała żadna melodia.

– Panie Lindenhall, pan nie wziął dzisiejszej prasy. – Ostrożny głos wyrwał mnie z dryfu po meandrach harmonii.

Podskoczyłem na krześle. Zaskrzybiało przenikliwie. Isabelle stała w drzwiach, trzymając w ręku plik kartek, kopert i gazetę.

Zbliżyłem się, wysunąłem z jej wątłej dłoni plik, a ta spojrzała na mnie swoimi wielkimi, okrągłymi, szarymi oczami.

– Możesz już iść – oznajmiłem, zerkając na zegar. Nawet nie zorientowałem się, że minęła już kolejna godzina. – Zaokrąglij do pełnej za dziś – dodałem, nie patrząc na nią.

Kobieta skinęła i zniknęła w korytarzu.

Znałem ten jej wzrok. Było w nim coś więcej. Nieraz dostrzegałem tę iskierkę. Wiedziałem, że jest niezamężna i że mieszka tylko ze starszą schorowaną matką w dzielnicy nadrzecznej. Nie miałem oporów płacić jej sowicie, tym bardziej że zawsze była szczerą. Dbała o moje mieszkanie całym sercem. Może chciałaby czegoś więcej...

Przejrzałem wszystkie przesyłki. Rachunki, czeki i tabele majątkowe odłożyłem na brzeg stolika. Gazetę też. Dalej: kolejne propozycje naciągaczy chcących położyć łapę na moim dorobku. Nie ze mną te numery!

Jeden list z Austrii o stanie rozbudowy linii kolejowej – tym zajmę się jutro.

Na samym końcu w mojej dłoni została skromna, poźółkła koperta. Uśmiechnąłem się,

gdy zobaczyłem nadawcę z Amsterdamu: Albert van Dykke.

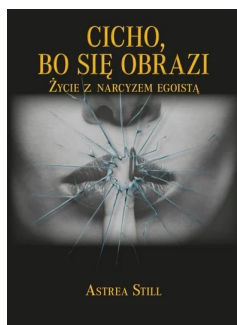
Najdroższy Albert! Przyjaciel z dzieciństwa. Lata go nie widziałem, ciągle sobie plułem w brodę, że nie wyrwam się z Paryża i go nie odwiedzam.

Otworzyłem kopertę. To samo pismo od lat. Te same, krzywe kaligraficzne zawijasy, które po tak długim czasie potrafię rozszyfrować. Ręki do pisania to on nie miał. Ale miał coś, czego mi brakło. Naturalny wdzięk i pewność siebie. Przez lata rozpisывał się, jak to on spotykał kolejną i kolejną kobietę. Łatwo się potrafił zauroczyć, drań jeden! Jednak ostatnie kilka listów przepełniało coś innego – Anna, córka bogatego kupca i podróżnika.

„Pełna jest sprzeczności i to mnie fascynuje. Każda chwila z nią to coś nowego, odkrywczego” – pisał tym razem.

Dobrze, drogi Albercie, bardzo dobrze. Powinieneś się wreszcie ustatkować...

Cicho, bo się obrazi. Życie z narcyzem egoistą



Autor: Still Astrea

Wydawnictwo: Limitless Mind Publishing

Formaty: druk

Gatunek: psychologia, motywacja

Gdzie kupić? [Empik](#)

Książka, która otwiera oczy tym, którzy zbyt długo milczeli.

Astrea nie jest ekspertką od psychologii. Jest kobietą, matką i osobą, która przeżyła toksyczną relację. Píše z potrzeby serca i z potrzeby prawdy – by oddać głos tym, którzy latami nie mieli odwagi go użyć. Jej książka to osobisty manifest, zapis walki o siebie i swoje dzieci, a jednocześnie drogowskaz dla wszystkich, którzy chcą wyrwać się z emo-

cjonalnego zniewolenia.

Choć autorka kieruje swoje słowa przede wszystkim do kobiet, „Cicho, bo się obrazi” trafi również do mężczyzn. Bo toksyczne relacje nie wybierają płci – dotykają każdego, kto znalazł się z kimś, kto niszczy nie pięścią, lecz słowem, gestem, wycofaniem, milczeniem. Ta książka odsłania mechanizmy działania osób o narcystycznych cechach osobowości – tych, którzy nie stosują przemocy fizycznej, ale powoli wyniszczają od środka. Dzięki tej opowieści czytelnicy nauczą się je rozpoznawać, zrozumieją, co dzieje się naprawdę, i – co najważniejsze – będą mogli zawczasu się obronić albo szybciej uwolnić z takiej relacji.

Polecamy ją wszystkim, niezależnie od wieku czy doświadczeń. Szczególnie tym, którzy czują, że „coś jest nie tak”, ale nie potrafią tego nazwać. Ta książka pomoże im zobaczyć więcej. I odzyskać siebie.



Zamarłem i spojrzałem bezwiednym wzrokiem na zegar. Ja też wreszcie powinienem...

Głośno westchnąłem.

Mam jeszcze dwie godziny. Wróciłem do fortepianu, usiadłem już uspokojony. Stołek zaskrzypiał pod moim ciężarem. Ze stosu pomazanych kartek ze szkicami kompozycji wygrzebałem to, co chciałem.

Rozłożyłem zapiski na pulpicie. Wziąłem głęboki wdech, czekając, aż cisza w pokoju zacznie rezonować. I wtedy uderzyłem dłońmi... Złowieszcza melodia zaczynająca się donośnym fis-moll rozbrzmiała. Palce same wygrywały szalone ornamentacje pełne chromatyki. Melodia, jakiej świat jeszcze nie słyszał i zdecydowanie przełomowa, niosła za sobą coś więcej niż tylko rozrywkę. Pomiedzy nutami czaiło się coś złowieszczego, co czułem podskórnie, ale nie potrafiłem tego określić.

Przed oczami malował mi się las skąpany barwami późnej jesieni i chłodnego wiatru unoszącego opadłe z drzew liście. Tonacje same układały mi te wzory. Zakończenie oznaczone przeze mnie jako allegro con brio było mocarne, ta melodia rozdierała rzeczywistość, a ostatnia kadencja zamykała wszystko zgrabnie i dostojnie. Potem znów zapadła pauza. Ta gwałtowna cisza była jedynym i ostatnim dźwiękiem, jaki mógł wybrzmieć.

Nie żałowałem sobie. Lubiłem ten utwór. Do wieczora musiałem powtórzyć go jeszcze kilka razy. Na przyjęciu będę go odgrywać przed szeroką publicznością. Eugene mnie do tego przekonał. Słuchał go jeszcze w surowej wersji, ale stwierdził, że to będzie dobre do odegrania w pałacu. Ciekawiło mnie, jak to odbierze publika, dla której Mozart i Haydn byli codziennością. Czy przypadnie im do gustu utwór tak odmienny?

Dwie godziny zleciały jak wystrzał bicza.

Pospiesznie włożyłem koszulę i elegancki, bordowy surdut oraz kozaki. Moja pięta naciśnęła na poluzowany obcas. No tak, miałem oddać te buty do szewca, ale znów zapomniałem.

Musiałem zrezygnować z mojego ulubionego kapelusza z piórem, żeby mnie nikt nie wytykał palcami jako Holendra. Francuska arystokracja wszystko co nieparyskie, uważała za passe. Lubili się wywyższać. Grunt, że przez lata pracy we Francji mój holenderski akcent w moim francuskim stał się prawie nieodczuwalny.

Pochwyciłem gazetę ze stolika. Pierwsza strona straszyla rewolucją zbierającą swoje żniwa na południowym zachodzie. „Przebudzenie czy upadek?” – grzmiał nagłówek. Po ucieczce króla mówiło się, że rząd nie ma tu społecznego poparcia. Dociskał poddanych podatkami, a wcale nie przekładało się to na poprawę jakości życia. Przedsiębiorstwo rozbudowujące kolej, dla którego tłumaczyłem dokumenty, lwią część zysków musiało oddawać im w podatkach.

Złapałem cygaro, zapaliłem i wtedy wyszedłem. Dopiero pod wieczór robiło się przyjemnie. Za dnia lipcowe słońce prażyło niemiłosiernie. Ulice w południe świeciły pustkami, a teraz mieszkańcy wypełzli, rozpoczęli swoje codzienne życie.

Zauważyłem, że w ciągu paru miesięcy przybyło wzdłuż głównych traktów patroli. Prawdopodobnie rząd obawiał się rewolucji pełzającej przez Francję i chciał trzymać Paryż w ryzach. Umundurowani żołnierze przechadzali się ulicami trójkami, a ja ich mijałem bez słowa, bez spojrzenia.

Nie padało już od tygodni, toż i paryskie ulice zmieniły się w suche, pyłące ciągi, a przejeżdżające dorożki wzniewały tumany kurzu. Musiałem zasłaniać twarz rękawem, by nie naprószyło mi w oczy.

Wzdłuż jednego z głównych traktów chłopstwo rozstawiło się ze swoimi zbiorami, przekrzykiwało się, ludzie się targowali. W powietrzu unosił się zapach warzyw i ziół.

Nagle z bocznej uliczki wystrzelił młodzieniec i z impetem wpadł na drewniany kram, wyracając plecione kosze z warzywami. Jarzyny poniszczyły się, soczyste czerwone pomidory rozchlapały się pod jego ciężarem. Korpulentna

kobieta zaczęła go rugać wielopiętrowymi przekleństwami. Zanim chłopak zdążył się otrzepać z brudu, pomiędzy kramy wbiegło trzech żołnierzy we francuskich mundurach, z muszkietami na plecach. Dopadli go i zaczęli szarpać za ubrania. Postawili do pionu i związali mu ręce sznurem.

– Was też to dosięgnie! – krzyczał. – Paryż będzie następny!

– Ty, jesteś następny! – odwarknął spocony wojskowy.

Mundurowi szybko sprowadzili go na ziemię. Trzymając go za ramiona, pociągnęli go z ziemi i wkrótce zniknęli wśród tłumu. Odprowadziłem ich wzrokiem, uśmiechając się pod nosem. To nie moja broszka. Jestem Holendrem. Choć mieszkałem tu od lat, wciąż czułem się obco, paryska kultura wciąż mnie zadziwiała. W niekoniecznie pozytywnym znaczeniu tego słowa. Zawsze się mówiło, że Francuzi to naród mający we krwi rewolucyjność i żadna władza nie będzie miała z nimi lekko.

Słońce zaczynało dotykać dachów okolicznych budowli, a niebo przybierało pomarańczowej barwy. Powietrze zaczęła wypełniać wilgoć niesiona lekkim wiatrem z podmiejskich łąk i pastwisk.

Wszystkie stolice Europy były niemal identyczne – niewybrukowane ulice, higiena pozostawiająca wiele do życzenia, stragany i handel uliczny niemal w każdym zakątku; i tylko główne trakty były przejezdne dla dorożkarzy. Te wszystkie miasta różnił tylko język.

Gdy skręciłem w główny trakt prowadzący bezpośrednio do bramy pałacu, poczułem mrowienie w dłoniach. Strzyknąłem palcami, rozmasowałem nadgarstki. Już niedługo moje ręce będą mogły się wykazać.

Zbliżałem się do głównej bramy kompleksu pałacowego. Zachodzące słońce rzucało na renesansowych płaskorzeźbach kolumn bramy półcienie, nadając im dodatkowej głębi. Nie mogło to wyglądać inaczej – jedna z głównych stolic Europy musiała podkreślać swój styl i wielowiekową tradycję jednego z ważniejszych miast.

Dwóch gwardzistów właśnie odprawiało kolejną karetę z gośćmi. Gdy powóz ruszył, zatrzymałem się i sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni płaszczu. Wyciągnąłem zaproszenie z niesmakiem. Papier pogniół się – płaszczyzna kartki stała się wygięta. Westchnąłem. Pracowałem z papierami od lat, wszystko musiało być w idealnym stanie! To wyraz szacunku do dokumentów!

– A pan w jakim celu? – odezwał się wyższy z nich i bardziej nieogolony.

Okazałem zaproszenie wartownikom. Ci obejrzelik dokument obustronnie, spojrzeli po sobie ze zdziwieniem i przytaknęli. Wpuścili mnie, choć rozumiałem ich konsternację. Prawdopodobnie byłem jedynym gościem na wieczornym przyjęciu, który zadał sobie trud przyjścia pieszo. Nigdy nie korzystałem z dorożki ani karety. Większość życia spędziłem na statkach. Wszędzie, gdzie mógłbym, użyłbym każdego innego transportu poza konnym. Karetę musiałbym kupić, a pieniędzy nie chciałem ot tak wyrzucać w błoto, skoro mogę po mieście chodzić pieszo.

Pałac wyrastał ponad rozległe ogrody, choć stylem nie odbiegał od kamienic budowanych w centrach miast. Wielowiekowy budynek musiałby przejść horrendalnie drogą renowację, by stylem dogonić obecne czasy. Kto wie, może rząd na to uezbiera z tych swoich podatków?

Gdy moje buty szurały o kamienistą nawierzchnię, wymijały mnie odjeżdżające fikuśne karety i powozy innych gości, jedne pozłacane na krawędziach, inne bogato pomalowane, ze zwisającymi frędzlami. To nie holenderski styl i kompletnie tego nie rozumiałem.

Główna fasada pałacu niknęła w półmroku, za rzędem kolumn, jedynie przez główne drzwi i okna wylewało się na zewnątrz miodowe światło. Słyszałem już muzykę, gwar rozmów stawał się coraz to donośniejszy. W drzwiach stał lokaj przystrojony w pstrokatą liberię. Gdy tylko natrafił na mnie wzrokiem, przesadnie się uśmiechnął.

– Nazwisko pana? – spytał, chwilę wcześniej odchrząknąwszy.

– Jan Lindenhall – oznajmiłem.
 – Jean? – spytał, niemal zwijając usta w trąbkę, próbując przekręcić moje imię na francuskie.
 – Może być i Jean, nie mam nic przeciwko – odparłem.

Wyjątkowo nie chciałem na siłę podkreślać mojego pochodzenia. Skinąłem uprzejmie głową.

Zostałem wpuszczony do środka płynnym ruchem jego dłoni. Ledwo przekroczyłem próg, a uderzył mnie niemal obcy, dziwny świat. Pałacowemu przepychowi nie dorównywało żadne wnętrze, jakie odwiedziłem w całym swoim życiu.

Bogate zdobienia oplatały każdy centymetr kwadratowy ściany, wiły się wokół pokaźnej kolekcji obrazów. Odbijały światła lamp gazowych i świec. Zapach wosku mieszał się z aromatem pieczonego mięsa. Od razu poczułem wilgoć w ustach. Na co dzień jadałem skromnie, by zaspokoić głód, a tu w głównej sali wykwintnych dań będzie po sufit.

– Jan! – Usłyszałem męski głos z boku, jak tylko ledwo zdążyłem postawić pierwsze kroki w szerokim holu. Odwróciłem głowę.

Lekko przypudrowany mężczyzna z zaczesanym, cienkim, ale długim wąsem zbliżał się do mnie z otwartymi ramionami. Chwilę się zawałałem, ale szybko się zorientowałem, z kim mam do czynienia.

– Eugene! – zawołałem.

– Myślałem, że zjawisz się wcześniej – wypalił, podając mi rękę.

– Ja jestem punktualny. – Zerknąłem na kulantowy zegar pod ścianą. Tak, byłem punktualny, aż do bólu. – Zostały mi dwie minuty – zażartowałem.

– Janie... – Eugene wybuchł śmiechem. – Może zamienię cię z pałacowym zegarem?

Nadwornemu kompozytorowi humor dziś wyjątkowo dopisywał. Bardzo dobrze.

– Występy będą za piętnaście minut – oznajmił, zagarniając mnie ręką i prowadząc korytarzem do głównej sali bankietowej. – Zmieniłeś zdanie? – zapytał.

– Nie. – Zerknąłem na jego wypucowaną twarz. – Zagram to, o co mnie prosiłeś.

– W porządku.

Zauważyłem, jak drgnął mu kącik ust. Wiedziałem, o co mu chodzi. Znał ten utwór i wiedział, jak stylistycznie będzie to coś odmiennego. Zdawał sobie sprawę, że jego proste melodie mogą tego wieczoru nie stać na piedestale. Od lat pisał to samo, bo mu płacono. Ja komponowałem z pasji. Gdy dwóch muzyków się spotyka, w głowach już powstają pytania i podejrzenia. Czy zagram lepiej niż on? Czy go zaskoczę? Czy doceni moje pomysły? Tak też było i tu. Różniło nas zbyt wiele, ale i tak zaczęło się wyliczanie swoich muzycznych wad i zalet.

Naprzeciw nam wyszła kobieta w rozłożystej, błękitnej, falowanej sukni. Drobna, ale zadziorna i z głową utrzymaną na równym poziomie przy każdym kroku, jakby od lat trzymała ją w sztywnym stelażu.

– Janie, to jest Anna Lisa Morceaux – przedstawił ją Eugene.

– Panie Boyet... – przytaknęła mu i dygnęła. – A to jest pan?...

– Lindenhall – odparłem z uśmiechem i ukłoniłem się.

– Austriak? – dopytała, zerkając nieco podejrzliwie w moją stronę. Zlustrowała mój ubiór.

– Holender – odparłem, starając się utrzymać dworską klasę. – Mój dziadek był rodowitym Austriakiem, ale ojciec urodził się w Amsterdamie i poślubił Holenderkę.

– Jan będzie dzisiaj grał dla publiczności – przerwał mój genealogiczny wywód Eugene.

– Trochę zagranicznej muzyki nam nie zaszkodzi – odpowiedziała.

Nie wiedziałem czy to komplement, czy już bardziej persyflaż.

Zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć, kobietę już zaczeplił starszy mężczyzna z zakrąglonym brzuchem, ale ewidentnie bogaty szlachcic, sądząc po jego wyrafinowanym ubiorze.

Eugene doskoczył do niego i wysunął ostentacyjnie dłoń w geście powitania.

Mężczyzna najpierw ucałował dłoń Anny Lisy, a dopiero potem uniósł wzrok na Boyeta. Westchnął i przywitał się, mocno ściskając jego dłoń.

– Baron Philippe d’Esterieu – przedstawił mi go Eugene.

Odwzajemniłem się swoim skromnym, holenderskim uśmiechem i podałem swoje imię i nazwisko.

– Austria czy Prusy? – zapytał.

Przygryzłem dolną wargę. Moje nazwisko jest zbyt mało holenderskie lub Francuzi nie znają innych krajów w Europie. Gdy sprostowałem barona i podałem swój ojczysty kraj, ten uniósł swoje krzaczaste brwi.

– Świetny kraj – oznajmił. – Światowej klasy kultura kupiecka.

Odetchnąłem w duchu. Przynajmniej ten jeden człowiek miał w sobie trochę taktu, w przeciwieństwie do prawie wszystkich, których tu spotkałem.

– Pracuję dla wielu spółek – odparłem nieco wymijająco.

– Doskonale. – Baron zerknął na swoje wypolerowane trzewiki, jakby coś mu przebiegło po stopach. – Gdyby pan chciał kupić francuskie wina, proszę się do mnie odezwać. Eugene wie, gdzie mnie znaleźć. Mój towarzysz skinął głową.

Baron odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę sali bankietowej, a Anna Lisa odprowadziła go wzrokiem i poszła w przeciwnym kierunku, zauważając znajomą sobie damę.

Eugene spojrział na mnie.

– Idź do niego jak najszybciej, najlepiej od razu jutro. On opływa w bogactwa, nieźle zarobisz – doradził.

Przewróciłem oczami. Zwykłem nie ubijać interesów pod wpływem chwili.

Towarzysz wprowadził mnie do sali, gdzie tłoczyła się większość gości. Barwne stroje i suknie mieszały się, tworząc wielobarwną plataninę. W tak hałaśliwych miejscach zawsze mój umysł przed oczami pokazywał metalową misę, w której szurały metalowe kulki. Za

Nabór do numeru lipcowego – wydanie dla najmłodszych

Rozpoczynamy nabór do wyjątkowego, lipcowego numeru, który w całości poświęcony będzie najmłodszym czytelnikom oraz młodzieży do 18. roku życia.

Szukamy: opowiadań i bajek, krótkich form literackich i baśni, tekstów eksperymentalnych ...czyli wszystkiego, co przemawia do wyobraźni młodych odbiorców.

Warunkiem zgłoszenia jest wyraźne określenie grupy wiekowej, do której kierowany jest tekst (np. 6+, 10+, 13+, 16+). Dopuszczamy również trudniejsze, bardziej wymagające tematy w kategorii 16+, jednak w takich przypadkach konieczne jest wyraźne oznaczenie treści ostrzegawczej (trigger warning / content warning) na początku zgłoszenia.

- Czas trwania naboru: 15.04 – 31.04
- Formularz zgłoszeniowy zostanie opublikowany na naszej grupie.

Nie czekajcie na ostatnią chwilę.
Zacznijcie pisać już teraz.



każdym razem gwar mnie przytłaczał, a moje uszy wręcz krzyczały o odrobinę wyciszenia. Na szczęście przez wszechobecny francuski przebijała się melodia kwintetu smyczkowego, grającego na podwyższeniu. Obok nich stał fortepian Pleyel, dokładnie taki sam, jaki miałem w swoim domu.

Spokojne, przeciągnięte dźwięki skrzypiec kołły mój umysł, podkreślały również gustowność imprezy.

Eugene zdążył jeszcze zamienić parę zdań ze swoimi znajomymi, po czym podszedł do pierwszego skrzypka. Po paru zdaniach ten coś przekazał reszcie zespołu i wszyscy opuścili podest. Przyjaciel został i od razu przysiadł do fortepianu.

Zawsze zaczynał ostrożnie. Powoli budował melodię i napięcie, pozwalał utworowi spokojnie wybijać się ponad szum przyjęcia, by stopniowo dawał o sobie znać. Część gości stłoczyła się pod podestem, ale dalej lwia część gaworzyła i zupełnie nie przejmowała się muzyką, traktując ją dalej jako tło do spotkań.

Eugene nie komplikował muzyki, choć tym razem mnie zaskoczył. Wprawdzie daleko mu było do mojego wyrafinowania, ale zrobił coś nowego, o co bym go nie posądził. Jego kompozycje mocno osiadały na stylu Haydna, a jednak tym razem przełamał schemat, odszedł od powtarzalnej harmonii i dodał coś od siebie. Skoczny utwór budził zainteresowanie słuchaczy.

Anna Lisa Morceaux precyzyjnie się przez tłum, by znaleźć się w pierwszym rzędzie. Gdzieś między wybujałymi fryzurami dostrzegłem masywną sylwetkę barona d'Estieru.

Eugene grał z niesamowitą, godną pozazdroszczenia lekkością. Salony to było jego miejsce i jego czas.

Delektowałem się muzyką przyjaciela. Widziałem przed oczami spokojne pola zbóż południa, muskane wiatrem o zachodzie słońca. Jego utwory miały podobne ubarwienie. Zieleń przeplatana złotem i różem – tonacje skupione wokół małej ilości krzyżyków. Tym razem wkradło się coś, co złamało ten obraz; jakby

czarny kot skradał się w źdźbłach zbóż i wyskoczył na drogę.

Przytaknąłem. Może wreszcie Eugene przemyci do wyższych sfer coś nowego?

Gdy skończył, uklonił się do gromkich oklasków, uśmiechnął i ruszył w moją stronę. Minął mnie, klepnął w ramię i tylko wskazał na fortepian.

Wziąłem głęboki oddech. Pierwszy krok postawiłem niepewnie, widząc dziesiątki francuskich twarzy z utkwionym we mnie spojrzeniem. Serce zabiło mi mocniej. Grywałem publicznie wiele razy, wyzyłem się tremy i nabrałem pewności siebie, ale z tyłu głowy wciąż miałem niepewności Eugene'a. Może to mnie aż tak dotknęło? Aż tak mój utwór może tu nie pasować?

Usiadłem. Mile zaskoczył mnie nieskrzypiący stołek.

Uważnie zbadałem opuszkami palców fakturę klawiatury. I wtedy uderzyłem pierwszy akord fis-moll otwierający utwór. Mocarny wstęp kontrastował ze spokojną twórczością przyjaciela. Ciężkie akordy rezonowały w sali bankietowej, wciskały się w jej każdy zakamarek. Moje palce grały same, pamięć mięśniowa czyniła prawdziwe cuda! Mogłem odpłynąć. Mój wzrok podążył gdzieś w nicość, by zaraz zanurzyć się w tym tajemniczym obrazie ścieżki pośrodku jesiennego lasu.

Wiatr muskał złote i szczerwieniaste liście, rwał je garściami z gałęzi, unosił je, a przy okazji smagał w twarz swoim zimnem. Muzyczne ornamenty tylko podkreślały ten chłód czający się w głębi utworu. Wszystkim dyrygował akord fis-moll, ciemny, brunatny, niemal brązowy. Nie dawał żadnej radości i żadnego ciepła, lecz coś złowieszczonego, czającego się między drzewami.

Zamknąłem tę część jedną, soczystą, idealnie pasującą tu pauzą, dając akordowi wybrzmieć. A potem, gdy przeszedłem do drugiej części, las w mojej głowie spowiła ciemna, nieprzyjemna noc. Wstawiłem tu harmonie zimniejsze i bardziej tajemnicze. Nie dałem zbyt długo trwać temu obrazowi. Zakończyłem cicho. A potem w stylu crescendo stopniowo dobrnąłem do

końca, wlewając trochę ciepła do tych ponurych krajobrazów.

Utwór skończył się, a czas jakby nie upłynął. Nastąpiła niespokojna cisza. Czułem na sobie wzrok dziesiątek par zdziwionych oczu. Nikt się nie spodziewał czegoś takiego i Eugene, proponując mi ten występ, wykalkulował ten efekt. W końcu był nadwornym kompozytorem, wiedział, jak porwać tłum.

Potem nagle ktoś zaczął klaskać, a tłum natchmiast owczym pędem zaczął wtórować. Wstałem od fortepianu, czując wilgoć pod pachami. Nawet nie wiedziałem, kiedy się spociłem. Ukłoniłem się. Musiałem naprawdę zrobić furorę. Oklaski trwały długo.

Lecz mimo to, stojąca na przedzie Anna Lisa Morceaux nie klaskała i tylko patrzyła przymrużonym wzrokiem. Chyba utwór nie przypadł jej do gustu.

Dostrzegłem również d'Estieru, który zatrzymał dłonie w pół kłaśnięcia i już rozmawiał z kimś obok.

Mój występ wywołał poruszenie, nie wątpiłem w to. Gdy aplauz ustał, pomiędzy gośćmi rozpoczęła się żywa dyskusja. Przeciskałem się przez nich, wpatrzony tylko w stół z jadłem. Zgłodniałem niemiłosiernie ze stresu. Ani jeden z gości nie podszedł do mnie, by zamienić choć parę zdań, ale czułem podskórną, że to bardzo powierzchowne.

Czy kiedykolwiek w tej kulturze nastąpi jakieś przebudzenie?

– Janie, doskonała kompozycja! Już to chyba mówię czwarty raz. – Usłyszałem za plecami, gdy dorwałem się do pieczonego udźca dzika.

– Oni... – Wskazałem widelcem na gości. – Oni tego chyba tak nie odbierają.

– Nie o to chodzi – dodał Eugene. – Zrobiłeś coś, co zapamiętają. Poruszyłeś ich.

– To był twój plan, nie mój – odparłem.

Odkroiłem kawałek mięsa. Od tego słodkiego zapachu aż pociekła mi ślina. Mięso wewnątrz było jasnorożowe – tak samo widziałem tonację e-dur. Pojedynczy akord zagrał mi gdzieś z tyłu głowy.

Eugene zmieszał się na moje słowa. Przejrzałem go na wylot w iście holenderskim stylu.

– Cóż... – podsumował – każde przyjęcie musi mieć ten akcent czegoś nieoczywistego.

– Tak, ale widzisz... – Ściągnąłem zębami mięso z widelca. Rany boskie! Ale to było dobre. Lekki smak rozplątywał mi się w ustach. – Ile to już lat na dworach grywa się tę samą muzykę?

– Oni zawsze to lubili – próbował wybrnąć towarzysz.

– I właśnie w tym problem. – Mój widelec skrzyknął o ceramiczny talerz, aż mnie skrećciło. Nienawidziłem tak wysokich częstotliwości. – „Zawsze” to najlepsza wymówka. Stan zastany, jak to nazywam. Spójrz dookoła, głębiej i dalej. Europa się zmienia. Ba, przecież ja tłumaczę dokumenty dla funduszy rozbudowujących koleje w Austrii. Za paręnaście lat będziemy w kompletnie innym miejscu. Wszystko idzie do przodu, rozwój jest nieunikniony, Eugene.

Przyjaciel zmarkotniał.

– Niemniej, podoba mi się, że dodałeś coś nowego do swojej twórczości – szybko wybrnąłem, nie chcąc go urazić.

– Ach tak, dziękuję. – Gwałtownie ożywił się.

– B-moll? – spytałem z ciekawości, czy moje łączenie muzyki z kolorami działa aż tak dobrze.

– Zgadza się – oznajmił z uśmiechem. – Ciebie nic nie zaskoczy.

– Jestem sam dla siebie jedną wielką tajemnicą. Nie wiem, jak to działa, po prostu „widzę” muzykę.

– Czasem chciałbym znaleźć się w twojej głowie.

– Uwierz mi, nie chciałbyś.

Wziąłem ze stołu kieliszek z winem. Czerwone jak akord f-moll. Upiłem łyk. Słodkie. – Tam jest taki chaos, że przeraziłbyś się.

– Jak to mawiają, wielkie umysły to wielka niewiadoma.

Lubiłem, jak przyjaciel mi schlebiał, ja zaś nigdy bym tak siebie nie określił. Znając własną wyobraźnię, uznałbym to za klątwę, nie za błogosławieństwo.

Ktoś zaszedł Eugene'a od tyłu i klepnął go w ramię. Przyjaciel od razu odwrócił się i przywitał starszego, krępego mężczyznę. Podziwiałem go za ten wieczny optymizm i entuzjazm.

– Janie, zostawię cię – oznajmił. – Baw się dobrze.

– Jedzenie jest wyśmienite, to mi wystarczy – odwzajemniłem uśmiech, po czym mój wzrok powędrował w pusty talerz, trzymany w mojej dłoni. Biała porcelana, jak tonacja c-dur.

Znając Eugene'a, musiał włożyć w organizację tego bankietu dużo pracy. Co i rusz, gdy ktoś do niego podchodził, on czuł się niemal jak organizator. Niby tylko tworzył oprawy muzyczne uroczystości, ale zawsze było mu blisko do mistrzów ceremonii. Wiedział wszystko z pierwszej ręki.

Przez najbliższe dwie godziny nie odchodziłem od stołu z jadłem. To nie tak, że przesadnie oszczędzałem na jedzeniu, żeby się tutaj najeść. Zachwyciałem się tą symfonią kolorów i zapachów wyściełającą obrusy i srebrne półmiski. Być może to jedyna okazja, aby jednocześnie się nasycić wzrokiem i smakiem. Gdy wrócę do służbowych podróży, wykwinne dania i wystawne bankiety odejdą w zapomnienie. Na dworach nie bywałem prawie w ogóle.

Obcy niespecjalnie próbowali do mnie zagadać. Rozwodzili się o wyśmienitej kuchni i kunszcie tutejszego kucharza, a potem odchodzili od stołu i więcej ich nie widywałem. Gdzieś w tłumie co jakiś czas migała mi Anna Lisa Morceaux, choć wiecznie zajęta szukaniem kogoś wzrokiem.

Baron d'Esterieu praktycznie nie ruszał się z miejsca, wciąż z kieliszkiem w ręku rozmawiał z tymi samymi, dwoma towarzyszami, czasem uzupełniając jego zawartość.

Gdy najadłem się po wsze czasy i zorientowałem się, że jednak stoję tu sam – wyobcowany – skierowałem się w stronę wyjścia. Czy mogłem liczyć na coś więcej? Nie narzekałem. Osiągnąłem swój cel, odwiedziłem dwór królewski, spotkałem Eugene'a, zagrałem publicznie swoją sonatę fis-moll. W życiu kompozytora to właśnie publiczny występ zamyka kompozycję –

gdy wybrzmi i pójdzie w świat. Muzyka jest medium bez języka ojczystego – dla każdego jest tym samym. Rezonuje w głowie, tworzy historię i pęknięcie w rzeczywistości. Nie każdy mógłby to zrozumieć, ale poczuje.

Przekroczyłem drzwi wejściowe. Jegomość, który przekreślił moje imię zniknął, widocznie wprowadził wszystkich gości z listy i jego rola na dziś się skończyła. Nagle szum dworu urwał się, zatrzymany w środku. Im bardziej się oddalałem, tym bardziej ludzka zabawa ustępowała miejsca odgłosom przyrody: świerszcze, ptaki, szum drzew w pałacowym parku – to wszystko tworzyło nową nocną symfonię, która już nie potrzebowała dodatkowej muzyki. To właśnie ta cisza była najważniejsza, pozwalała głębiej poczuć prawdziwy, namacalny świat zamiast salonowej wydumki.

Nocne, bezchmurne niebo rozświetlały pojedyncze, jasne punkciki.

Dotarłem do bramy głównej. Gwardziści lekko poruszyli się na mój widok, ale zanim zareagowali, wyciągnąłem zza pazuchy zaproszenie i pomachałem im przed oczami. Przytaknęli. Nie odczuwałem ich zdziwienia, prawdopodobnie pamiętali, że jestem gościem bez karety.

Miasto tak wczesną nocą wciąż jeszcze tętniło życiem. Mieszkańcy delektowali się wieczornym chłodem. Mijałem niemało osób, pootwierane przydrożne sklepy i knajpy. Prosty, uliczny styl po opuszczeniu salonowego przepychu stał się dla mnie czymś nieco obcym, ale bardziej przyjaznym. Tu wszystko było autentyczne. Ludzie stłoczeni w barach i przechadzający się traktatami byli sobą, korzystali z życia tak, jak tylko mogli. Bez kurtuazji i oddechu przed kolejnym dniem, dla własnej przyjemności.

Jednak coś wisiało w powietrzu. W mijanych przechodniach dało się odczuć napięcie i niepokój – przygnębione twarze skulonych mężczyzn i nieobecny lub podejrzliwy wzrok.

Gdy minąłem trzy przecznice, zorientowałem się, że na ulicach przybyło patroli. W zasięgu wzroku pojawiło się więcej uzbrojonych żołnierzy, grupki stały się liczniejsze, do sześciu osób.

Szedłem niewzruszony. Moja kamienica była już niedaleko. Mimo to czułem na sobie wzrok mijanych ludzi. Pierwszy raz od dawna zacząłem się zastanawiać, czy aby na pewno byłem tu bezpieczny...

Rozległ się rumor i zza zakrętu wyłoniła się karetą ciągnięta przez dwa czarne konie. Metalowe koła dudniły o kamienny trakt. Hałas rozdzierał mi uszy, wprawiał w zakłopotanie. Serce zabiło mi mocniej. Woźnica poganiał je co sił, patrzył pusto przed siebie, jakby chciał jak najszybciej wyjechać z miasta.

Do własnej kamienicy dotarłem zmęczony i przepełniony niepokojem. W tym mieście zrobiło się dziwnie. Nie potrafiłem sobie tego wytłumaczyć.

Wygrzebałem klucz z kieszeni i otworzyłem ciężkie dębowe drzwi. Na parterze mieściło się moje skromne biuro. Mój gabinet czekał na mnie gotowy do pracy. Za ciemnym biurkiem wisiła wielka na pół ściany mapa Europy z zaznaczonymi liniami kolejowymi.

Świat się zmienia, pomyślałem, wpatrując się w grube, czarne kreski. Niedługo dorysuję kolejne. Inwestycja pod Linz dobiegała końca.

Z gabinetu udałem się bocznymi drzwiami do wąskiego korytarza i skrzypiącymi schodami na górę, do mojego pokoju. Przed oczami miałem zmieniające się obrazy: wyobraźnia skakała między polami zbóż „namalowanymi” utworem Eugene’a, a moim jesiennym, ciemnym lasem.

Wewnątrz panował mrok, choć wpadało tu nieco nocnego światła ulicznego przez uchylone okno. Ubrania rzuciłem na krzesło – to jedyny zwyczaj, którego nie potrafiłem się wyzbyć w ramach mojego perfekcjonizmu. Jutro rano oczywiście zrobię z tym porządek, gdy mój umysł się odświeży.

Obmyłem twarz zimną wodą z metalowej miski, włożyłem koszulę

nocną. Moje łóżko stało w rogu pomieszczenia. Przemknąłem obok fortepianu, lecz moja dłoń nie mogła sobie pozwolić, by nie powiedzieć mu dobranoc. Jednym palcem wcisnąłem dowolny klawisz tak delikatnie, by nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Przytaknąłem.

Dzień dobiegł końca. Wskoczyłem pod kołdrę. Zasnąłem niemal od razu.

Ze snu wyrwał mnie głośny huk. Drgnąłem niespokojnie owinięty w cieką pościel. Świat zawirował przed oczami. Nie miałem pojęcia ile czasu minęło. Nie pamiętałem, co mi się śniło. W pokoju zrobiło się jasno, przez niedomknięte okiennice wpadało trochę jasnego światła. To znaczyło, że już nastał ranek. Masywny zegar w rogu wskazywał godzinę ósmą. Dobrze. Biuro otwieram za półtorej godziny, zdążę ze wszystkim.

Powoli wstałem. Głowa eksplodowała nieznośnym bólem, poczułem, jakby ktoś przewiesił mi



przez szyję kawał ciężkiego żelaza – widocznie wczorajsze wino zrobiło swoje, choć i tak uważałem, że wypilem nie tak dużo.

Za oknem rozległy się krzyki, a potem kolejny huk. Przeraziłem się i jednocześnie wzbudziło to moją ciekawość.

Co tam się mogło wyprawiać?

Ostrożnie podszedłem do okna, próbowałem zerknąć przez prześwit, ale to nic nie dało. Otworzyłem okiennicę.

Uderzył mnie gryzący, gęsty, kłębiący się na zewnątrz dym. Pachniało palącym się drewnem, ale czymś jeszcze. Gryzący, lekko słodki aromat przypominał proch strzelniczy. Znów huk i jakieś krzyki.

A potem wzdłuż ulicy przebiegło parunastu żołnierzy francuskiej armii z muszkietami uzbrojonymi w bagnety. Do moich uszu dobiegały francuskie przekleństwa, a gdzieś w od dali... Szczęk metalu? Co się wyprawiało na zewnątrz? Kolejny raz obudziła się we Francuzach ich przewrotna tradycja?

Zamknąłem okno i przydreptałem przed szafę z ubraniami. Najpierw rozprostowałem palcami mój wczorajszy ubiór rzucony na krzesło. I wtedy mój wzrok ponownie spoczął na wczorajszej gazecie. Ach tak!... Fala przebudzenia z południa już tu dotarła. Nie zwykłem czytać lokalnej prasy, gdy nie wnosi ona nic mojej pracy. Może powinienem zacząć?

Dla własnego bezpieczeństwa postanowiłem, że nie ruszę się dzisiaj nigdzie. Jako Holender nie czułem się zobowiązany brać w tym udziału. To nie mój krąg kulturowy. Przeczekaam, aż to wszystko minie.

Wybierając strój na dziś, musiałem uwzględnić, że z powodu zamieszek biuro pozostanie zamknięte. Wybrałem skromniejszą koszulę, bez mankietów i luźne spodnie.

Łup, łup!

Rozległo się głośne walenie w drzwi biura.

Spojrzałem na siebie w lustrze i głośno wypuściłem powietrze. Przeliczyłem się! Ja, specjalista od rachunków zagranicznych? Jak mogłem?

Łup, łup, łup.

Ktoś zapukał jeszcze głośniej.

Poirytowany tym początkiem dnia, minąłem fortepian, uderzyłem pięścią w klawiaturę, a ta wydała z siebie krótki zgrzytający akord.

– Janie! – ktoś krzyknął z ulicy.

Podszedłem do okna, zamasyście rozwarłem okiennicę i wychyliłem się.

– Czego? – krzyknąłem pretensjonalnie.

– Wpuścisz mnie?

Potrzebowałem dłuższej chwili, by pojąć, co się dzieje. Do drzwi biura dobijał się Eugene. Zrobił dwa kroki w tył i spojrzał na mnie. Ledwo go rozpoznałem. Twarz miał umorusaną błotem, a po policzku ściekała mu strużka czerwonej krwi. Coś we mnie pękło. Wszystko nagle przestało mieć znaczenie, a powietrze wokół jakby zgęstniało.

Rzuciłem się do wyjścia z pokoju, zbiegłem na dół, przeskakując po dwa schodki. Pochwyliłem zapasowe klucze zawieszane na ścianie. Wpadłem na drzwi do biura. Nabuzowany adrenaliną nie mogłem początkowo trafić kluczem w dziurkę, ale w końcu udało się. Zamek szczęknął, a Eugene wpadł od razu do środka i, potykając się o próg, wylądował z łoskotem na podłodze. Zamknąłem za nim drzwi. Ciszę wewnątrz przerywało jego sapanie.

– Eugene! – wypaliłem. Martwił mnie jego stan.

Przyjaciół wstał, przetarł rękawem umorusaną twarz.

– Rewolucjoniści... – wydusił z siebie. – Zatakowali pałac podczas wczorajszego bankietu. Wszystko spalili. Jak parę miesięcy temu. Nikt nie panuje nad sytuacją.

Coś skręciło mnie w środku. Przypadkiem otarłem się o marny los. Moja sonata pytająca tylko czy salon jest gotowy na zmianę, to nic w porównaniu do buntu ludu i rzezi. Przełknąłem ślinę. Gdybym nie opuścił imprezy wcześniej, mógłbym tu nie wrócić w jednym kawałku.

Trzymając Eugene'a za ramiona zaprowadziłem go przez gabinet, do kuchni. Wygrzebałem z kąta dwa kawałki materiału. Czystszy namoczyłem wodą wręczyłem mu, by otarł twarz

i ranę na głowie, a brudniejszy rozłożyłem na krzesło, żeby przyjaciel nie pobrudził siedziska swoim ubłoconym strojem.

– Jak to się stało? Ktoś przeżył? – spytałem zatroskany.

– Nie mam pojęcia. Wszystko stało się tak nagle. Niewiele pamiętam, jak przez mgłę. Byliśmy pijani. Razem z Anną Lisą i baronem d’Estierieu uciekliśmy do ogrodu, ale rewolucjoniści dopadli nas. Jakimś cudem wyrwałem się, ale baron i Anna Lisa zostali przez nich porwani.

Próbowałem to sobie wyobrazić, ale im wyraźniejszy obraz powstawał przed moimi oczami, tym gorzej to wyglądało. Ale cóż... francuskie sprawy. Nawet nie chciałem czuć się winny. Nic mnie z nimi nie łączyło. Mieszkałem tu, bo Paryż wydawał się dogodną lokalizacją i terazniejszym centrum Europy. Gdy jednak patrzyłem na przyjaciela, czułem podskórnie, że coś powinienem zrobić. Ale co? Przecież nie dołączę do buntowników i nie będę razem z nimi palił dworów! Poczekam, aż wszystko się uspokoi, a potem czym prędzej przeprowadzę się z całym moim biurem. Nie chciałem, żeby wszystko poszło z dymem. Właściciele funduszy rozszarpaliby mnie na strzępy.

Dałem przyjacielowi wody w porcelanowej filiżance. Wypił wszystko jednym haustem. Kolejną również.

– Czy mógłbym u ciebie zostać? – poprosił Eugene. Jego ręka drżała.

– Ile tylko chcesz – odparłem. – To wszystko wygląda nieciekawie.

Wygrzebałem z kredensu resztki wczorajszego pieczywa. Zorientowałem się, że Isabelle już dawno powinna być w moim mieszkaniu, a jej wciąż nie było. Przygryzłem wargę. Dziewczyna musiała zostać u siebie, pilnować matki. Choćby myślenie o jej dzisiejszej posłudze w takim momencie mija się z sensem. Niech tam siedzi, poradzę sobie. Ze spiżarni wygrzebałem kawałek suchego mięsa, metalowe pudło ciastek i butelkę ciemnego wina. Eugene zadeklarował, że wszystko weźmie, i niemal wyrwał mi wszystko z rąk. Ja poszedłem zabarykadować główne

drzwi, przesuwając pobliski kredens. Sprawdziłem wszystkie rygle.

Udaliśmy się na górę, do mojego pokoju z fortepianem. Eugene niezdarnie położył wszystkie przekąski na stoliku w rogu i czym prędzej ruszył w stronę mojego fotela. Już miałem zwrócić uwagę i otworzyłem usta, gdy ten wyciągnął z kieszeni pomiętą kawałek materiału, rozłożył na siedzisku i wtedy dopiero spoczął. Odetchnąłem. Ucieszyłem się i przytaknąłem w geście aprobaty za rozumienie woli gospodarza.

– Tak, jak powiedziałeś, Janie – wypalił po głębokim wdechu. – Świat się zmienia i to szybciej niż możemy się tego spodziewać. Rzekłbym nawet, że za szybko. – Zerknął w stronę okna. – Nie uważasz, że tu jest za duszno?

Spojrzałem na niego zaniepokojony.

– Mogę otworzyć okno – zaproponowałem. – A czy żadna kula nam nie wpadnie i nie wzniesi pożaru?

Eugene prychnął.

– Bez przesady. Gdy tu szedłem wszystko już dogasało. Miasto płonęło w nocy, a i tak głównie południowa część. Tu jest dość spokojnie, jak na mój gust.

– Dobrze.

Nie wiedziałem, skąd brały się moje obawy. Otworzyłem okno. Powietrze wciąż nie było tak świeże, jakbym tego chciał, ale nawet z odrobiną dymu i aromatem palonego drewna dodawało świeżości w tym dusznym pokoiku. Słyszałem przytłumiony huk, gdzieś w oddali, a do tego niespokojny szum. Paryż wciąż był pogrążony w chaosie.

Widziałem po Eugenie, że to wszystko go wykończyło. Wyciągnął się w fotelu, wcisnął w oparcie i przymrużył oczy. Potrzebował spokoju, pokazywał to całym sobą. Biedny Eugene. Nie chciałem być w jego skórze. Niczego nie był winny, po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie.

Wiedziałem, co może mu jeszcze pomóc się zrelaksować.

Podszedłem do fortepianu, ostentacyjnie dotknąłem dłonią klawiatury i spojrzałem na niego.

– Zagram coś, umilę nam czas – zaproponowałem, z góry wiedząc, że i tak się zgodzi. Rozumieliśmy się bez słów.

Przyjaciół tylko przytaknął, nawet nie otwierając oczu.

– Zagraj tę wczorajszą sonatę. Potrzebuję czegoś mocnego, to wino nie da rady – wymamrotał.

Parsknąłem ze śmiechu. My, muzycy znaleźliśmy doskonale ten stan podwójnego upojenia – i dźwiękiem, i alkoholem.

Strzyknąłem palcami. A potem zacząłem grać, otwierając kolejny raz utwór mocnym akcentem i podniosłą melodią. Tym razem było inaczej. Pierwszy raz moja wyobraźnia nie malowała tego jesiennego lasu. Mój wzrok błędził po ścianach pokoju, palce zwinnie wygrywały melodię, jednak byłem tu – w swoim pokoju. Nawet słyszałem przebijające się przez melodię fortepianu skrzypienie mojego stołka. Czułem się nieswojo. Ręce grały melodię, a ja czułem się przytwierdzony i tylko jakiś niewytłumaczalny strumień energii z zewnątrz wlatywał przez okno i przenikał moje ciało. Zrozumiałem, że instynkt każe mi pozostać tu i teraz, nie pozwalając umysłowi na ucieczkę w wizje.

Zakręciło mnie w nosie. Myślałem, że się wywinę, jednak kurz okazał się silniejszym przeciwnikiem. Kichnąłem mocno i głośno. Aż przerwałem granie utworu. Zakląłem pod nosem.

– Na zdrowie – wypalił Eugene.

Potworność. Gdyby Isabelle przyszła do pracy, mogłaby tu posprzątać.

Wypuściłem głośno powietrze. Jeszcze raz! Od początku, nieco wolniej. To twój utwór, twoje dziecko, znałeś je jak własną kieszeń.

Kolejne podejście do pierwszej części sonaty nic nie zmieniło w mojej głowie. Dalej lawirowałem gdzieś w niedookreślonej pustce przed oczami. Widziałem swoje palce tak wyraźnie, moje oczy skupiały się na tych wszystkich detalach, szukając odpowiedzi, czy na pewno dobrze obciąłem paznokcie lub czy moje dłonie nie są za suche. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłem.

Im bardziej skupiałem się na dłoniach, tym mniej na muzyce i w końcu palce przestały

trafiać w klawisze. Każdy dysonujący dźwięk skręcał mnie wewnątrz. Z kolejnymi taktami robiłem coraz więcej błędów, do momentu, aż przerwałem grę, nie mogąc tego dłużej słuchać. Nastąpiła nieprzyjemna cisza. Na moje szczęście Eugene dalej siedział w fotelu z przykniętymi oczami. Co on uważał o moich pomyłkach – mogłem tylko się domyślać.

Moje dłonie spocily się, a jednocześnie pozostały nieprzyjemnie zimne.

– Jeszcze raz! – rozległ się krzyk. Zatkąło mnie. Zerknąłem na Eugene'a. Odwzajemnił mi krzywym spojrzeniem.

– To nie ja – zażartował.

– Domyślam się... – zerknąłem w stronę okna. Ktoś... Ktoś naprawdę chciał jeszcze raz to usłyszeć?

Ostrożnie stawiając kroki, zbliżyłem się do otwartych okiennic i wychyliłem się.

Tu pod moją kamienicą stało kilkoro mężczyzn i dwie kobiety. Wyglądali na ludzi ulicy mijanych przeze mnie każdego dnia – przekupka, służąca, robotnik, rolnik. Nie było w nich nic wykwintnego. Proste, codzienne, nie pierwszej czystości stroje, zabrudzone kurzem ulicy. Każdy coś trzymał w ręku, jakieś narzędzia, gotowi by nimi uderzyć. Patrzyli jak osłupieni na mnie, a konkretniej – w moje okno. Czułem wewnętrzny dysonans. Jeszcze parę godzin temu tacy ludzie mogli doprowadzić do mojej śmierci, a Eugene cudem wyrwał im się z tych brudnych rąk. Z drugiej strony gdzieś w moje serce wbijała się cienka, metalowa igiełka. Oto ktoś z własnej, nieprzymuszonej woli chciał posłuchać mojego utworu. Nie było to salonowe towarzystwo, lecz ludzie prości, zwykli mieszkańcy, nie obcujący na co dzień ze sztuką.

Odwrociłem się do Eugene'a.

– Co oni w tym widzą? – spytałem, nie rozumiejąc.

– Obawiam się... – Przyjaciół wstał, uśmiechając się kącikiem ust. – ... Że widzą dokładnie to, co ty.

– To, co ja? Eugene, oni się nie znają na muzyce! – wypaliłem.

– Janie, przecież to muzyka. Tego nie trzeba rozumieć, to trzeba czuć. Na Boga! – Spoważniał. – Dlaczego muszę muzykowi tłumaczyć tak oczywistą rzecz? Czy ludzie na wsiach potrzebują wykwintnych kompozycji? Nie. – Podszedł do klawiatury i wcisnął akord G-Dur. – Oni potrzebują tylko ducha i rozrywki. Janie, na miłość Boską. Graj, bo nas rozszarpią!

Akord kojarzący mi się z jego wczorajszą melodią znów rozpałił moją wyobraźnię i namalował dokładnie ten sam obraz co wczoraj na bankiecie – pola zbóż. Miejsce pracy prostego ludu.

– Eugene, nie poznaję cię – przyznałem. – To nie w twoim stylu. Przecież ty całe życie latasz po dworach.

– O nie, mój drogi. – Usiadł przy fortepianie i prowokacyjne wcisnął fis-moll. – Ja jestem sobą. Całe życie piszę utwory na życzenie. Rozumiem potrzebę odbiorcy. To wystarczy. Poza tym... Sam mi mówiłeś, że świat się zmienia, a to znaczy, że i potrzeba też się zmieni. Stary porządek został zburzony, mnie się nieźle obezwalało.

Oniemiałem. Naiwna rzeczywistość zaskoczyła mnie i uświadomiła, że gdzieś za bardzo skupiłem się na kunszcie, a nie na przekazie.

– Zagra pan jeszcze raz?! – krzyknął młody chłopak.

Momentalnie zorientowałem się, że dalej stoję w oknie i prezentuję swoją osobę publiczności z dołu.

– Jeszcze raz! – wtórowali mu pozostali. Potakiwali głowami.

Zerknąłem na Eugene'a. Domyślałem się, że moje spojrzenie musiało wyglądać dziwnie, gdy biłem się z myślami i próbowałem pojąć, co się dzieje. Przyjaciel zaprosił mnie gestem dłoni do fortepianu.

Westchnąłem. Jednak to nie ja dziś decyduję.

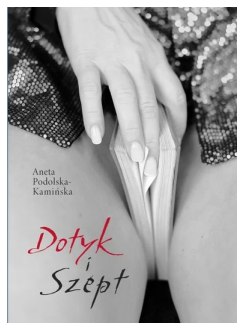
– Niech wam będzie! – krzyknąłem do zebranej na ulicy garstki.

Gdy usiadłem do instrumentu, opanował mnie dziwny, niewytłumaczalny spokój. Nie miałem żadnych obaw, a z zewnątrz też nie docierał do mnie jakikolwiek niepokój.

Gdy zacząłem grać, moja wyobraźnia znów zaczęła malować jesienny las smagany niespokojnym wiatrem. Czuję się sobą.

Skończyłem mocnym akordem, a z zewnątrz rozległy się oklaski i gwizdy. Nie był to ten sztuczny salonowy aplauz wymuszony etykietą. Ekscytowało mnie to. Zbliżyłem się do okna,

Dotyk i Szept



Autor: Aneta Podolska-Kamińska
Wydawnictwo: Limitless Mind Publishing
Oprawa: twarda
Formaty: druk
Gatunek: poezja
Gdzie kupić? [Empik](#)

„Dotyk i szept” – tomik poezji o kobiecie, która wraca do siebie. To intymna opowieść o kobiecym dojrzewaniu: od wrażliwości młodości, przez lata zamrożenia i życia w rolach, aż po odważny powrót do ciała, prawdy i własnego głosu.

Tomik składa się z sześciu części układających się w drogę – od dziedziczonej ciszy kobiet i utraty czucia, po przebudzenie, obecność i odwagę bycia sobą. To poezja, która mówi językiem emocji, pamięci i ciała. Dotyka bliskości, miłości, granic, kobiecej siły oraz odzyskiwania wewnętrznej wolności.

To książka dla kobiet, które kiedyś czuły „za bardzo”, potem nauczyły się nie czuć, a dziś chcą znów usłyszeć siebie. Dla tych, które noszą w sobie historie matek i babek i tęsknią za prawdziwą relacją – z innymi i z samą sobą. „Dotyk i szept” to poezja miękka i odważna, intymna, a zarazem uniwersalna. Książka, którą czyta się powoli i do której się wraca. Jeśli czujesz, że gdzieś po drodze zgubiłaś siebie – ta poezja nie powie ci, kim masz być. Ona przypomni, kim już jesteś



a gdy wyrząłam na zewnątrz, zobaczyłem, że tłum na dole znaczenie się powiększył.

Ukloniłem się, jak przystało na artystę po występie, czując na sobie spojrzenia rewolucjonistów. Dla nich to był darmowy koncert po ciężkiej nocy, dla mnie hipnotyzująca moc publiczności. Widziałem w nich ludzi szukających ukojenia i chwili zapomnienia o swoim ciężkim losie, zmordowane dusze walczące o lepszy byt i lepszą przyszłość. Uczestnicy przebudzenia społecznego docenili melodię niepasującą do starego porządku. To nie ironia losu, lecz jego dopełnienie. Uśmiech nie schodził mi z twarzy.

– Może pan zagra dla nas na placu? – krzyknęła przez dłonie jedna z kobiet z podartym i zakrwawionym fartuchem.

Wprawiła mnie w zakłopotanie.

– Przecież nie przeniosę fortepianu – odparłem.

– Tam jest fortepian, sami go wywlekliśmy! – krzyknął ktoś inny z tłumu.

Dla muzyka wola publiczności była święta. Dawno zapomniałem o tym uczuciu. Całe lata czekałem na coś takiego. Oni rozmrozili twardą skorupę, w której zamknąłem się na długi czas. Znów poczułem się młody i ambitny.

Schowałem się w mieszkaniu. Minąłem Eugene'a i znalazłem się przy szafie, skąd wydobyłem najgorszą możliwą marynarkę, by nie przypominać im i bogactwie, przeciw któremu się buntowali. Nie mogłem przecież wyjść w samej koszuli! Trzeba jakoś wyglądać do ludzi.

Dopinałem ostatni guzik, a Eugene odezwał się:

– Ja tu zostanę – oznajmił. – Tak na wszelki wypadek.

– W porządku – odparłem. – Popilnuj mieszkania. Często się wszystkim, co znajdziesz. To na mój koszt.

– Cieszę się, że wreszcie się odnalazłeś – dodał, gdy już kierowałem się na schody.

– Jeszcze nie wiem, gdzie to mnie doprowadzi – przyznałem. – Ale oni chcą tego. I ja też.

Przemknąłem przez gabinet, zerknąłem ostatni raz na mapę Europy. Przytaknąłem. Wszystko się uspokoi, a ja wrócę do pracy już nie osamotniony. Tu są ludzie, którzy chcą takiej muzyki.

Odrygłowałem zamki, a kredens zastawiający drzwi wrócił na swoje miejsce.

Wydostałem się na zewnątrz. Powitał mnie spory tłum ludzi wymęczonych, brudnych, ale pragnących więcej. Skręciłem w stronę placu, a oni rozstępowali się przede mną z szacunkiem i drobnymi uśmiechami rozjaśniającymi ich ponurą rzeczywistość.

Wychudzony mężczyzna, przypominający robotnika budowlanego, cały spocony i umorusany ziemią, pokazał mi palcem, którędy mam iść.

Niebo spowijały kłębiące się szare chmury, a potężny słup ciemnego dymu unosił się nad dachy kamienic Paryża od strony królewskiego pałacu. Im bardziej zbliżałem się do placu, tym wyraźniej czułem gryzący zapach palonych tekstyliów i drewna.

Nie do końca zdawałem sobie sprawy, co robię. Szedłem przez miasto w gustownej, choć skromnej marynarce, a za mną tłum buntowników uzbrojony w grabie, łopaty, widły i kosy – zupełnie jakbym to ja miał przewodzić tej rewolucji. A ja miałem tylko zagrać im utwór.

Plac powitał mnie niecodziennym widokiem: usypano ogromne stosy i je podpalamo. Rewolucjoniści wyciągali z otaczających rynek kamienic książki, obrazy, meble, dywany, zasłony i wszystko, co tylko im się kojarzyło z bogactwem, którego nie zaznali i rzucali w pomarańczowe płomienie. Wszystko trawił ogień i zmienił w bezkształtną, czarną, tłącą się masę.

Tu niedaleko stał wywleczony z budynku, malowany, drewniany fortepian. Instrument ugrzązł na nierównej posadzce. Dwóch żądnych zemsty buntowników próbowało go przepchać w stronę najbliższego płonącego stosu, jednak ciężki instrument się opierał. Na obudowie widziałem głębokie bruzdy i włamania, a obok na ziemi porzuconą siekierę. Coś mnie ukłuło w środku.

I ja mam na tym grać? Podrapałem się po głowie.

Moi słuchacze rozgonili towarzystwo chcące zniszczyć fortepian i zachęcili mnie, bym podszedł. Ktoś nawet już niósł stołek.

Wstrzymałem oddech. Mógłbym się wycofać, ale właśnie znajdowałem się w samym środku niszczycielskiego buntu, wśród ludzi gotowych rozszarpać wszystko na strzępy. Byli nieprzewidywalni.

Zbliżyłem się do fortepianu. Zbadałem klawiaturę dłonią, wydawała się nienaruszona. Wcisnąłem dowolne dźwięki. Wciąż był nastrojony.

Ostatni raz spojrzałem na ludzi zebranych wokół. Chcieli tego. Chcieli muzyki, ku pokrzepieniu serc i dla rozluźnienia atmosfery.

Usiadłem na stołku, wyregulowałem jego wysokość.

Gryzący, biały dym zaczął wiać mi w twarz. Oczy zaczęły mi łzawić i zakreśliło się w nosie. Zakryłem chustą twarz, aż do momentu, gdy wiatr zmienił kierunek.

Wcisnąłem pierwszy akord, a potem melodia sama ruszyła dalej. Nie kontrolowałem tego, dałem jej płynąć i rozwijać się. Na placu w jednej chwili wszyscy zamilkli i zaczęli gromadzić się wokół mnie. Nastąpiła martwa cisza. Stłoczeni ludzie błędzili gdzieś wzrokiem, słuchali uważnie,

chłonęli całym sobą. Gdzieś pomiędzy moimi dźwiękami dało się słyszeć trzaskający ogień trawiący książki i obrazy.

A w mojej głowie po raz kolejny zaczął malować się ten widok, niepotrzebujący płótna i farb.

Staliśmy wszyscy w jesiennym lesie. Ja, Eugene i buntownicy. Wiatr muskał drzewa, z nieba sypały się brunatne liście – w kolorze akordu fis-moll, w kolorze rewolucji.

JÓZEF ŚWISTAK

Muzyk, kompozytor muzyki klasycznej i metalu progresywnego.

Uwielbia science-fiction, w szczególności postapo, dystopie i upadające systemy. Na co dzień zajmuje się korporacyjnymi cyferkami i tabelkami. Poszukuje schematów w naszej rzeczywistości i nie omieszką przelewać swoich myśli na papier czy w muzykę.

MIEJSCA W SIECI

Facebook: <https://www.facebook.com/jozek.swistak.52>

Instagram: https://www.instagram.com/jozef_swistak/



Magdalena Dziekan

Redakcja | Korekta

 magdadziekan.com

 [magdadziekan_redakcja](https://www.instagram.com/magdadziekan_redakcja)

MIEJSCA W SIECI

Instagram: https://www.instagram.com/magdadziekan_redakcja/

Linkedin: www.linkedin.com/in/magdalena-malinowska-dziekan-korekta-redakcja

PIEKŁO JEST PUSTE

ROZDZIAŁ 4

REDAKCJA: PAULINA MIKA

KOREKTA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

KOREKTA TECHNICZNA: WERONIKA BELOWSKA

ILUSTRACJE: PATRYK JAKUBIAK

Zanim pokonała wszystkie korytarze, które dzieliły ją od wyjścia z akademika, i dotarła na parter, zeszło z niej większość napięcia. Pozbyła się go wraz z powietrzem, którego potrzebowała na przejście tego dystansu, czterech rzędów schodów i wyminięcie całego stada uczniów.

Dopiero gdy wreszcie poczuła na policzkach chłodny wiatr, zatrzymała się gwałtownie. Dokąd właściwie szła? Wzięła głęboki oddech. Kiedy rano zbierała się do wyjścia, chciała porozmawiać z Lydią, a potem spędzić czas z Tylerem, skoro oboje mieli wolne. Teraz jednak czuła, że powinna wrócić do domu. Nie. Że w ogóle nie powinna była z niego wychodzić.

Odetchnęła raz jeszcze i spojrzała na swoje stopy, jakby chciała się upewnić, że przynajmniej one dalej są na miejscu. Ruszyła przez kampus w stronę bramy. Prawa, lewa, prawa, lewa, prawa...

– Ruby!

Lewa, lewa, lewa. Zachwiała się na krzywej płycie chodnikowej i odwróciła gwałtownie. Tyler biegł w jej stronę. Wyglądał tak, jakby dopiero wstał z łóżka; włosy miał w nieładzie, a koszulka pod bluzą drużyny futbolowej była pognieciona. Mimo zaskoczenia i niedawnej złości Ruby rozczulił ten widok.

– Hej. – Uśmiechnęła się lekko.

– Hej. Lydia powiedziała, że tu jesteś – wyjaśnił, przeczesując dłonią włosy, jakby próbował je naprędce ułożyć. – Zadzwoiła, mówiła, że byłaś trochę... poddenerwowana.

Na pewno użyła właśnie tego słowa? Chciała go o to zapytać, ale ostatecznie sobie odpuściła.

– Jest okej. Chciałam z nią o czymś pogadać, ale... nieważne.

– Okej. – Tyler schował ręce do kieszeni spodni i pokiwał głową, jakby się nad czymś intensywnie zastanawiał. – A nie chciałabyś może pogadać ze mną?

Ruby zmarszczyła brwi. Miała wrażenie, że w jego głosie wyczuła nutkę pretensji.

– Martwiłem się o ciebie. Mogłaś zadzwonić albo napisać...

Rzeczywiście. Nagle dotarło do niej, że mogła mu chociaż dać znać, że żyje. To oczywiste, że wszyscy już wiedzieli, co się wczoraj stało, a ona nie wysłała mu nawet jednej wiadomości.

– Przepraszam, byłam zmęczona. Nie chciałam... Przepraszam...

– Nie, nie o to mi chodziło – prychnął i wziął ją w ramiona. Ruby z ulgą wtuliła policzek w jego koszulkę, delektując się ciepłem, które przebijało przez materiał. – Po prostu się martwiłem.

– Przepraszam – powtórzyła mimo to. – Po prostu... To było dla mnie za dużo, wiesz?

– Wiem. – Tyler pogłaskał ją po włosach.

– A co z Lydią? Wszystko okej? Nie miałyśmy właściwie okazji pogadać.

Tyler odsunął się na tyle, by mogli na siebie spojrzeć.

– Wydaje mi się, że tak. Ale mogę potem do niej zajrzeć, jeśli chcesz.

Przytaknęła. Sama nie chciała teraz podkładać się Lydii i nie sądziła, żeby był to dobry pomysł.

– To... skoro już tu jesteś... – Tyler zerknął w stronę kawiarni, w której uczniowie zaopatrywali się w źródła cukru poza godzinami pracy stołówki.

Ruby marzyła o powrocie do łóżka, ale przy Tylerze wszystkie jej problemy wydawały się nieistotne. Poza tym przecież mieli ten dzień spędzić razem. Skoro już przyjechała, nie chciała go rozczarować.

– Może...

– Ruby!

Znowu się odwróciła, zupełnie jakby niemal spodziewała się drugiego Tylera. Mężczyzna, który szedł w jej stronę, z całą pewnością nie był jednak klonem jej chłopaka.

Szlag.

– Cześć, Peter. – Starła się zatrzymać na ustach uśmiech, który teraz wyglądał raczej jak skurcz twarzy. Poczula nieprzyjemne mrowienie w żołądku.

– Co ty tutaj robisz? Miałaś dzisiaj zostać w domu! Coś się stało? – Peter nie wyglądał na złego. To zawsze dręczyło Ruby najbardziej, kiedy robiła coś nie tak. On zawsze się o nią martwił.

– Cześć – odezwał się Tyler, jakby chcąc trochę rozładować napięcie.

Peter zerknął na niego ponad głową Ruby.

– Dzień dobry – mruknął i znów zwrócił się do podopiecznej. – Mówiłem, żebyś zadzwoniła...

– Nic się nie stało – zapewniła go szybko. – Po prostu naprawdę chciałam porozmawiać z Lydią.

Peter patrzył na nią jeszcze przez chwilę, zanim westchnął ciężko. Ciemny policyjny mundur podkreślał zmęczenie na jego twarzy.

– Porozmawiałaś? – upewnił się.

Przytaknęła.

– To chodź. Znajdę kogoś, kto odwiezie cię do domu.

Tyler od razu się zaoferował, ale Peter odmówił krótko, złapał Ruby pod ramię i pociągnął w przeciwnym kierunku. Nie protestowała. Tak naprawdę chciała, żeby zabrał ją do domu. I nie chciała się z nim kłócić.

Ostatni raz obejrzała się na swojego chłopaka. Przy Tylerze mogła zapomnieć o problemach, ale czasem zdarzały się takie, od których nie dało się uciec na długo. A teraz, gdy z każdym krokiem była coraz bliżej zniszczonej biblioteki, znowu dopadło ją coś, z czym nie potrafiła sobie poradzić.

Ostatecznie Ruby wróciła do domu radiowozem. Odwiózł ją przyjaciel Petera, Robert, którego wujek już nie raz wykorzystywał do podobnych przysług, kiedy sam nie mógł zerwać się z pracy... na przykład dlatego, że dzień wcześniej został w domu, żeby pilnować bratanicy.

Słyszała kiedyś, że trzeba wioski, by wychować dziecko. W jej przypadku trzeba było całej metropolii. Nie miała rodziców, przynajmniej przez większość życia, zastąpiła ich więc cała armia ludzi. Jeszcze zanim jej ojciec się załamał, pojawili się jej dziadkowie i ciocia Denise. I Robert. I wujek Louis (którego nieodpowiedzialnego udziału ktoś zawsze żałował). I oczywiście Peter. Zwłaszcza Peter.

Czuła się źle z tym, że go nie posłuchała. Wiedziała, że tak naprawdę nic się nie stało. Nic nie mogło się stać. Ale widziała jego twarz, gdy prosił Roberta, żeby przed odjechaniem na komisariat upewnił się, czy weszła do domu. Nie chciała sprawiać mu więcej problemów, niż było to konieczne.

Spędziła koszmarny sobotni wieczór i koszmarną niedzielę. Tym razem naprawdę nie wychodziła z domu. Większość czasu spędziła w łóżku, opuszczając je wyłącznie na spacer z Scottem

wzdłuż własnego płotu. Peterowi powiedziała tylko, że pokłóciła się z Lydią, a on nie naciskał. Nie chciała mu mówić, o co poszło; w końcu też prawdopodobnie wierzył w inną prawdę niż ona.

Mimo wszystko próbowała skupić się na codzienności. Obejrzała kilka odcinków anime, pokręciła włosy, a nawet odrobiła część lekcji, których nie zdążyła zrobić z Lydią. Wyłączyła też telefon, żeby nikt nie mógł zburzyć jej spokoju, zbudowanego na tak niepewnych fundamentach jak tabliczka karmelowej czekolady i paczka chipsów.

Jej życie toczyło się dalej. Chyba nawet mogła udawać, że wieczór w bibliotece nie miał miejsca. Że nigdy nie widziała demona ani ludzkich zwłok. Z naciskiem na chyba oraz udawać.

W poniedziałek Ruby pojawiła się w szkole w jeszcze gorszym humorze niż zwykle. Obiecała sobie, że nie będzie myśleć o wydarzeniach z piątku. Przez cały weekend miała jednak problemy ze snem i była zmęczona już od pierwszej minuty tego dnia. W takim stanie nie mogła się skupić na lekcjach i podpadła wszystkim nauczycielom, więc udało jej się błyskawicznie uzupełnić zapas problemów.

Kiedy w sobotę przyjechała na kampus, szkoła była uśpiona. Przed biblioteką kręcili się policjanci, wśród uczniów krążyły pierwsze plotki, ale to wszystko. Dzisiaj było inaczej. Dyrektorka na drugiej lekcji zwołała apel, by opowiedzieć wszystkim o tym, jak wspaniałymi ludźmi byli Kathy i Sam, o których istnieniu pewnie mało kto miał do tej pory pojęcie. Zapewniła także, że wszyscy, którzy tego potrzebują, znajdą wsparcie u szkolnego psychologa... którego istnieniem pewnie też mało kto się przejmował. Jakby tego było mało, szafka Kathy została ozdobiona kwiatami, zdjęciami i kartkami z kondolencjami, a Ruby musiała mijać ją na niemal każdej przerwie. Na szafce Sama pojawiły się tylko klepsydra i notka o żalu, który „dzieli teraz całą szkolną społeczność”. Pewnie napisał go ktoś z samorządu... albo nawet z nauczycieli.

Ruby miała wrażenie, że z każdą godziną czuje się coraz gorzej, chociaż nawet nie potrafiła nazwać uczucia, które w niej narastało. A to była dopiero pierwsza połowa pierwszego dnia tygodnia. Reszta zapowiadała się równie świetnie.

– Co ci jest, Ruby? – zapytał Tyler, obejmując ją w pasie, gdy jedli razem obiad w szkolnej stołówce. Trafnie odgadł, że piątkowe wydarzenia to nie jedyny powód jej kiepskiego humoru.

Ruby spojrzała najpierw na niego, a potem na resztę ekipy, która wołała zostać z Lydią przy innym stoliku. Teraz tym bardziej doceniała towarzystwo Tylera.

– Nic – powiedziała mimo to i wróciła do grzebania w sałatce. – Po prostu nie lubię tu być.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem. – Tyler się zaśmiał, ale zaraz wskazał ich przyjaciół. – Co z Lydią? Dalej nie rozmawiacie?

Ruby westchnęła krótko.

– Jak widać – mruknęła.

Od soboty wierzyła, że gdy tylko znowu się spotkają, sytuacja wróci do normy i obie zapomną o całej sprawie. Najwyraźniej jednak to nie było takie łatwe.

– Może mógłbym coś na to poradzić?

– Nie powinnam znowu zrywać się z lekcji. – Pokręciła głową, chociaż ta wizja była bardzo kusząca.

Tyler przewrócił oczami.

– Nie to miałem na myśli. Chodź.

Postawił jej talerz na swojej tacy i zgrabnym ruchem zabrał ze sobą oba tobołki: lunch i swoją dziewczynę. Ruby modliła się, by wiedział, co robi, równocześnie doskonale zdając sobie sprawę

z tego, że nie mógł wiedzieć. Nie miała odwagi powiedzieć mu całej prawdy. Jeszcze nie teraz. Więc jak mogła mu wytłumaczyć, dlaczego Lydia traktowała ją jak chmurę zarazków?

– Cześć wszystkim. – Tyler zamasywił się i usiadł na wolnym krześle obok Brodiego i zabrał mu frytkę, chociaż jego własny talerz wciąż był pełen. – Co dobrego wcinacie?

– Dobrego? Tutaj? – Brodie uniósł brwi. – Nic.

Widząc, że Ruby wciąż stoi za nim, Tyler pociągnął ją do siebie. Jakby na próbę uśmiechnęła się do Willa i Perrie, ale Lydia nawet na nią nie spojrzała.

– Cieszymy się, że do nas dołączyliście – powiedziała Perrie, najwyraźniej chcąc jakoś zamaskować niezręczną atmosferę. Nie udało się. – Jak wam poszedł sprawdzian z matmy? Ruby?

– Raczej nie najlepiej – przyznała. – Jak zawsze.

Test z matematyki nie był jedyną rzeczą, którą dzisiaj zaważyła. Nauczyciele wielokrotnie zadawali jej pytania – chociaż oficjalnie nie wybierali jej do odpowiedzi – i wiedziała, że uniknęła kolejnych fatalnych ocen tylko dlatego, że dzięki strzelaninie miała taryfę ulgową. Przynajmniej na razie.

– Kiepsko... Lydia, a co z tobą? Może potem pomożesz Ruby?

– Jak zawsze – zaśmiał się Brodie, ale wszyscy go zignorowali.

– Czemu nie. – Ku wielkiej uldze Ruby przyjaciółka wreszcie na nią spojrzała. – Ale zaczekajmy na oceny. Nie ma co panikować.

– Dziękuję – powiedziała i tak, patrząc jej w oczy.

Lydia z wahaniem skinęła głową.

Jeszcze przez chwilę rozmawiali o sprawdzianach – tych, które już przetrwali, i tych, które miały dopiero nadejść – aż Ruby zaczęła mieć nieśmiałe wrażenie, że wszystko powoli wraca do normy. Zanim przerwa obiadowa dobiegła końca, delikatnie ścisnęła Tylera za rękę. Miała nadzieję, że zrozumiał, iż w ten sposób chciała mu podziękować za przyprowadzenie jej tutaj. Uśmiechnął się lekko w odpowiedzi.

Tamto wrażenie nie trwało jednak długo. Tuż przed ostatnią lekcją nadszedł czas na odstresowanie się przed testem z angielskiego, jak to mieli w zwyczaju. Ruby nie czuła się na niego przygotowana, ale nie przeszkadzało jej to tak bardzo jak zazwyczaj. W końcu można było mieć gorsze zmartwienia... Wystarczyło jednak, żeby Tyler poczęstował ją pierwszym papierosem, a rozmowa już obrała kierunek, którymi dziewczyna wolałaby nie podróżować.

– Właśnie, Ruby. – Brodie wskazał na nią palcem, ale zrobił przerwę, żeby się zaciągnąć. – Słyszeliśmy o waszej piątkowej przygodzie.

– Chyba wszyscy już słyszeli... – mruknęła.

– Od dyry. Ale my – Brodie spojrzał na nią, jakby zdradzał jej wielką tajemnicę – słyszeliśmy od Lydii.



– Ooo.

Ruby zamarała z odpaloną zapalniczką. Serce zabiło jej szybciej, a ona sama zastanawiała się gorączkowo, dlaczego temat wypłynął dopiero teraz. Perrie jako jedyna nieuzależniona od nikotyny nigdy nie uczestniczyła w ich rytuale, a Lydia, ze swoją zwichniętą kostką, postanowiła dziś dotrzymać jej towarzystwa pod klasą. Dlatego wyjątkowo stali w alejce za salą gimnastyczną tylko we czworo. Czy było coś, czego nie chcieli omawiać przy Lydii? A może...

Will skorzystał z okazji i odpalił swojego papierosa od jej zapalniczki.

– Co... co wam powiedziała? – zapytała po kilku sekundach ciszy.

– Chodzi po prostu o to, że chcemy, żebyś wiedziała, że wspieramy was po tym, co przeszłyście – wtrącił Will, najwyraźniej obawiając się, że Brodie nie zdoła dobrać odpowiednich słów. I oczywiście miał rację.

– Ale jeśli pytasz o swój sobotni popis... to o tym też wspomniała.

Tyler objął Ruby ramieniem, ale ona prawie tego nie zauważyła. Bała się rozmawiać o wydarzeniach z piątku. Bała się powiedzieć przyjaciółom, nawet Tylerowi, cokolwiek o tym, co wtedy widziała i jak się teraz czuła. Ale w nawet najpotworniejszym koszmarze nie śniło się jej, że ktoś powie im o tym wszystkim za nią.

– Chyba chciała, żebyśmy wszyscy byli wtajemniczeni. – Will znowu spróbował naprostować rozmowę.

Ruby spojrzała na niego spod byka. Tak naprawdę nie chodziło tylko o to, że Lydia powiedziała im o jej „sobotnim popisie”. Po minach Tylera, Willa i Brodiego od razu poznała, że w tej opowieści nie grały w jednej drużynie. Obie stały się ofiarami ataku w bibliotece, ale to Ruby była wariatką, która nie radziła sobie ze stresem pourazowym.

– Chcemy cię wspierać – dodał Tyler delikatnie.

Ruby odwróciła się do niego, czując, jak łzy napływają jej do oczu.

– Ale mi nie wierzycie.

Tyler westchnął.

– To nie tak. Sporo przeszłaś...

– Jasne. – Upuściła papierosa na chodnik i zgniotła go podeszwą buta. – Pogadamy później.

Ruszyła z powrotem do szkoły, powtarzając sobie, że wcale nie obchodzi jej, co teraz sobie o niej pomyślą. Dotarła do klasy tuż po dzwonku. Perrie rzuciła jej pytające spojrzenie, ale Ruby ją zignorowała. Ona też na pewno już wszystko doskonale wiedziała i wcale nie potrzebowała zeznań świruski dla uzupełnienia obrazu.

Odstawiła torbę obok swojej ławki i ciężko usiadła na krześle. Ledwo zarejestrowała fakt, że nauczycielka położyła przed nią kartkę z pytaniami. Ruby wpatrywała się w nią tępo przez kilka sekund, walcząc z ogarniającą ją rozpaczą.

Nie wierzyli jej. Nikt jej nie wierzył. Ani Lydia, ani Tyler... Przyjaciele mieli ją za wariatkę. Została z tym całkiem sama.

Powoli wzięła do ręki długopis i podpisała kartkę w losowym miejscu. Dalej ledwo kontaktowała, gdy nagle jej wzrok zatrzymał się na karku siedzącego przed nią chłopaka.

Może jednak nie była sama. Dla jej przyjaciół to wszystko mogło nie mieć ani znaczenia, ani sensu. Ale był jeszcze Theo.

ROZDZIAŁ 5

Zdumiona wpatrywała się w jego ciemne włosy, całkowicie zapominając o trwającym sprawdzie. Tak bardzo skupiła się na aferze z Lydią, że zupełnie jego istnienie zupełnie wyleciało jej z głowy. Jeśli widział to, co Ruby, mógłby przekonać pozostałych, że nie zwariowała. Łatka szkolnej wariatki nie była szczególnie pociągająca, ale musiała zaryzykować.

Wróciła pamięcią do tamtej nocy i odnaleźć innych świadków, ale była pewna, że nie mogła już zapytać nikogo więcej. Jakoś nie widziało jej się szukanie koleżanek Kathy i wypytywanie ich o śmierć przyjaciółki. Może Sam by jej uwierzył... ale on też nie żył.

W sali panowała niemal idealna cisza, przerywana tylko przez odgłos długopisów sunących po papierze. Ruby jednak nadal zastanawiała się, co miałyby powiedzieć. W końcu Theo prawie nie odnotował jej istnienia.

Bezmyślnie urwała kawałek kartki z testem i napisała na nim krótki liścik. Upewniła się, że nauczyciel był zajęty czymś innym, i cisnęła zmiętą wiadomość na ławkę Theo.

Możemy pogadać?

Zmusiła się, żeby opuścić wzrok na sprawdzian i przynajmniej udawać, że w nim uczestniczy. Po kilku sekundach liścik wrócił, tym razem zapisany również z drugiej strony.

Po co?

Oderwała kolejny kawałek papieru.

To ważne.

Czekała kolejne dwadzieścia minut, ale Theo nie odpowiedział. W końcu nadszedł koniec lekcji i dopiero wtedy Ruby uświadomiła sobie, że nie odpowiedziała na żadne pytanie.

Zażenowana wręczyła sprawdzian panu Bakerowi.

Magazynowanie książek oraz sprzedaż internetowa e-booków

Koszty i prowizje - Co musisz wiedzieć?

	Opłata wprowadzenie 20 zł <small>Opłata za wprowadzenie książki to jednorazowo 20 zł brutto za każdy tytuł (książka papierowa, e-book lub audiobook).</small>	
	Opłata magazynowa miesięczna 130 zł <small>Jeśli dystrybujesz książki papierowe, musisz liczyć się z kosztem 130 zł brutto za paletę (500 egzemplarzy) miesięcznie.</small>	
	Prowizje od sprzedaży 10%, 15% <small>15% brutto od ceny detalicznej (książki papierowe); 10% brutto od ceny detalicznej e-booków lub audiobooków.</small>	
	Miesięczna obsługa serwisowa 20 zł <small>Kosztuje 20 zł brutto i obejmuje wsparcie techniczne, obsługę klienta oraz raporty sprzedaży.</small>	

Oferuję magazynowanie książek oraz sprzedaż egzemplarzy w moim sklepie internetowym – to rozwiązanie dla autorów, którzy chcą zaoszczędzić czas, a często także pieniądze, bez potrzeby tworzenia własnego sklepu, opłacania platform i obsługi systemów sprzedażowych.

Chcesz wiedzieć więcej?

Napisz:

craft.swan.creations@gmail.com

– Wiem, że nie przepada pani za Szekspirem, pani Blake, ale nie sądziłem, że to aż tak stresujący temat – rzucił nauczyciel, wskazując na oberwane brzegi.

– To... nie jest mój ulubiony pisarz – przyznała tylko, opuszczając wzrok.

– Bardzo chciałbym wiedzieć, kto nim jest.

Ruby wyszła z klasy, nie odpowiedziawszy na zaczepkę. Była już dostatecznie zmęczona ciągłym strachem i zamartwianiem się.

Jeden problem na raz, powiedziała sobie. Najpierw potwory. Potem angielski.

Zaraz za drzwiami prawie wpadła na Lydię, która czekała na nią ze skrzyżowanymi rękami.

– Co ty kombinujesz? – zapytała, patrząc na nią uważnie.

– To znaczy?

Lydia ruchem głowy wskazała w głąb korytarza. Theo najwyraźniej nie przejął się jej prośbą, bo oddalał się szybkim krokiem w towarzystwie swojego przyjaciela, Zaca; ten był chyba jedyną osobą, z którą naprawdę rozmawiał.

W tej chwili Ruby nie obchodziło, jak mało istotna musiała mu się wydawać. Miała ochotę złapać go za ramię i zwyzywać.

Lydia wciąż wpatrywała się w nią ze znaczącą miną.

– Musisz przestać – oznajmiła kategorycznym tonem, jakby doskonale wiedziała, co chodzi jej po głowie. – Mówię poważnie i mówię to jako twoja przyjaciółka. Odpuść.

Ruby pokiwała głową.

– Dzięki. Przemyślę to.

Lydia nawet nie drgnęła, gdy Ruby ruszyła w pogoń za Theo. Minęło kilka minut, zanim w końcu dogoniła go w przedsiönku. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że Tyler miał odwiedzić ją do domu, a ona zniknęła bez uprzedzenia. Teraz jednak nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

– Hej – przywitała się, wyrównując z nimi krok. – Myślałam, że poczekaasz...

– Trochę mi się spieszy – stwierdził.

Zac patrzył to na niego, to na nią, z wyraźnym zainteresowaniem.

– Rozumiem. Ale naprawdę chciałam pogadać. To zajmie tylko chwilę.

Theo westchnął, ale ruchem głowy wskazał kąt korytarza, w którym mieliby więcej spokoju, i mruknął do Zaca niewyraźne przeprosiny. Chłopak wzruszył ramionami i bez wahania wyszedł ze szkoły.

– O co chodzi? – zapytał Theo. Nie wykazał żadnego zainteresowania, ale za to wyraźnie chciał pokazać, że im szybciej ta rozmowa się skończy, tym lepiej. Ruby od razu przestała żałować, że tak kiepsko się znają.

– Chciałam cię zapytać o piątek – zaczęła. Skoro tak mu się spieszyło, to przynajmniej nie musiała decydować się na żaden z pięciu równie niezręcznych wstępów, nad którymi myślała wcześniej. – Sporo się wydarzyło.

– To nie jest pytanie.

– Daj mi skończyć. – Była pewna, że wyczuł irytację w jej głosie. – To nie jest dla mnie łatwe, okej?

– Dobra. Sorry, Blake.

Ruby miała ochotę mu wygarnąć, że też chętnie zamieniłaby jego towarzystwo na kogoś innego. Zamiast tego wzięła głęboki wdech.

– Wiesz, co się wtedy stało?

– Wiem tyle, co wszyscy. – Wzruszył ramionami. – Widziałem, że rozmawiałaś z policją. Na pewno powiedzieli ci to samo, co mnie.

– Tak, ale nie widziałeś nic poza tym? Nic nie rzuciło ci się w oczy?

Theo zmarszczył brwi.

– To wszystko samo w sobie było jak dla mnie dostatecznie popieprzone. Nie wiem, czemu chcesz o tym myśleć dłużej niż to konieczne. Ludzie potrafią być okrutni – oznajmił nagle, jakby to wszystko wyjaśniało. – A skoro muszą, ja też wolałbym, żeby mieli w tym jakiś cel. Ale nie wszyscy mają.

– No tak, ale...

– Twój chłopak na ciebie czeka.

Odwróciła się i zauważyła, że Tyler rzeczywiście stoi na szczycie schodów, kilka metrów dalej. Obserwował ich. Pokazała gestem, że zaraz do niego przyjdzie, i znowu zwróciła się do Theo. Chciała zapytać o coś jeszcze, a może po prostu zakończyć rozmowę, ale on zdążył się już ulotnić.

Zacisnęła dłoń w pięści. Wiedziała dokładnie tyle, co godzinę temu.

Dopiero kiedy siedziała w samochodzie Tylera, Ruby uświadomiła sobie, że Theo właściwie w żadnym momencie nie powiedział, że nie widział nic dziwnego. Może źle się do tego zabrała? Może nie powinna jeszcze odpuszczać? Może powinna wybiec za nim ze szkoły, kiedy próbował ją zbyć...

– ...nawet jeśli ta zmiana nie wszystkim pasuje. Jestem najlepszym zawodnikiem w tym sezonie, nie ma po co udawać, że jest inaczej. I sprawdzam się jako kapitan.

Ruby pokiwała głową, nagle czując wyrzuty sumienia. W zasadzie nie wiedziała, o czym właściwie mówił Tyler, ale najwyraźniej było to dla niego ważne.

– Nie powinieneś się tym przejmować. Przyzwyczajają się – powiedziała w końcu, domyśliwszy się tylko, że chodziło o drużynę futbolową. Tyler przytaknął, ale nie wyglądał na usatysfakcjonowanego.

– W każdym razie... jak teraz podsumowujesz swój dzień? Jak angielski? Widziałem, że coś zawzięcie pisałaś.

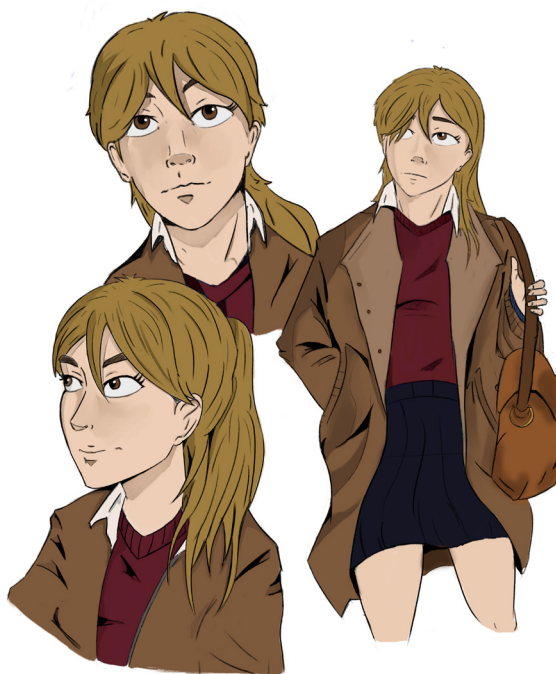
Przez chwilę nie odpowiadała, zdezorientowana. Poza dwoma liścikami, które w sumie składały się z czterech słów, nie przypominała sobie, żeby zanotowała cokolwiek.

– Chyba... jakoś to będzie – rzuciła tylko. Nie chciała go dodatkowo martwić.

– Widzisz? Mówiłem, że nie masz się czym przejmować. Może skoczmy gdzieś to uczcić?

Przez jedno nierówne uderzenie serca Ruby była gotowa na to przystać, nawet jeśli naprawdę nie mieli czego świętować.

– Chętnie, ale obiecałam Peterowi, że przez jakiś czas będę wcześniej wracać do domu. – Nie była pewna, czy to prawda, czy wymówka. Kochała Tylera. Ale to wszystko było ponad jej siły. Była pewna, że gdyby mieli dla siebie chociaż kilka minut więcej, zapytałaby ją o to, co mówiła wcześniej, na papierosie.



– Czyli znowu wchodzi w fazę bycia nadopiekuńczym?

Ruby spojrzała na niego z ukosa.

– Dziwisz mu się?

– Niespecjalnie.

– No właśnie.

Tyler uśmiechnął się lekko, ale żadne z nich nie odezwało się już do końca podróży. Dopiero kiedy dotarli na miejsce i Tyler objął ją na pożegnanie, poczuła, że wcale nie chciała znowu zostawać z tym wszystkim sama. Może nie musiał jej wierzyć? Może wystarczyło jego towarzystwo?

– Właściwie... wejdiesz na chwilę? – zaproponowała. – Peter chciał, żebym była w domu, ale nie zabronił mi przyprowadzać gości.

– Będę zaszczycony – odpowiedział natychmiast, zdecydowanie zbyt teatralnie. Ruby parsknęła śmiechem, po czym wzięła go za rękę i poprowadziła do domu. Ten drobny gest sprawił, że jej serce stało się nieco lżejsze.

– Wróciłam! – zawołała, otwierając drzwi. – Cześć, Scotty! – Ukłękła na jedno kolano, kiedy husky podbiegł do niej, merdając ogonem. Miała wrażenie, że ostatnio wyczuwał jej podły nastrój i robił wszystko, by okazać jej też swoje wsparcie z napędem na cztery łapy.

– O, świetnie, Scotty jest w domu. – Tyler się zaśmiał, ale zachował bezpieczny dystans.

– Widziś, kochanie? Tyler się ciebie boi. – Cmoknęła psa między oczami. – Giupi Tyler.

– Cześć, co myślisz o tym, żebyśmy... – Peter przystanął na moment w drzwiach salonu. – Ooo. Cześć. Nie spodziewałem się liczby mnogiej.

Tyler odchrząknął. Obecność Petera nigdy go nie stresowała, ale Ruby wiedziała, że ta dwójka za sobą nie przepadała, chociaż żaden z nich nie powiedziałby o drugim złego słowa. Może tak już musiało być?

– Nie chcę sprawiać problemów... – zaczął chłopak.

– To nie sprawiaj. – Peter mrugnął do Ruby. – Zaraz wychodzę, ale w lodówce jest obiad do odgrzania, jeśli będziecie głodni.

– Dzięki. – Ruby uśmiechnęła się do niego i pociągnęła Tylera w stronę schodów. Chciała jak najszybciej zabrać go z terytorium Petera. – Idziemy?

Zawsze czuła się trochę dziwnie, gdy przyprowadzała kogoś do siebie. Dla niej, Petera i Scotta dom kupiony przez jej ojca był zdecydowanie zbyt duży i pustka rzucała się w oczy na każdym kroku. W przeszłości Bruce Blake z narzeczoną wypełnili go całym mnóstwem zabytkowych mebli i innych antyków, ale Peter musiał sprzedać je wszystkie, by zatrzymać dom. Teraz opustoszałe korytarze zdawały się jeszcze większe i pozbawione duszy. A Ruby czuła jeszcze większe wyrzuty sumienia, że marzy o opuszczeniu tego miejsca.

Po wyjściu Petera rzeczywiście odgrzali sobie jedzenie i zjedli je w łóżku, oglądając film. Zwykle padało na horror, ale dziś Tyler uparł się na jakąś losową komedię romantyczną. Najwyraźniej był gotów zrobić wszystko, żeby Ruby poczuła się lepiej – nawet jeśli oznaczało to oglądanie Pamiętnika.

– Ruby?

Podniosła głowę z jego klatki piersiowej. Była wykończona i nawet nie wiedziała, kiedy zaczęła przysypiać, ale poważny głos Tylera natychmiast ją rozbudził.

– Musisz mieć nas za okropnych przyjaciół. – Na jego słowa dziewczyna wytrzeszczyła oczy. – Nie dziwię ci się. Ale chciałbym, żebyś wiedziała, że jesteśmy przy tobie, niezależnie od wszystkiego. Ja jestem przy tobie.

Spojrzał jej w oczy, wyraźnie czekając na jakąś odpowiedź. Zawahała się, ale w końcu powiedziała cicho:

– Chciałabym tylko wiedzieć, co się stało.

– Wiesz, co się stało. Musisz tylko dać sobie czas na uspokojenie.

Przytaknęła niepewnie i pozwoliła, żeby ją pocałował. Poniekąd miał rację. Wiedziała, co się stało. Musiała tylko dać sobie czas na znalezienie dowodów.

Przez kolejne kilka dni nikt nie wracał do tematu piątkowych wydarzeń. Lydia pozwoliła po raz kolejny wciągnąć się w wir nauki, który Ruby dzielnie znosiła w zaciszu swojej sypialni. Wydawało się, że sprawa powoli odchodzi w niepamięć, zupełnie jakby wszystkie odniesione rany goiły się równie szybko, co kostka przyjaciółki. Porwała ją rutyna. Wstawała rano, szła do szkoły, rozmawiała z przyjaciółmi, wracała do domu. W głowie jednak wciąż układała plan działania.

Theo nie rozmawiał z nią jeszcze bardziej niż wcześniej, o ile to w ogóle możliwe. Ruby była gotowa postawić wszystkie pieniądze na to, że z premedytacją jej unikał, a mimo to wciąż obiecywała sobie, że złapie go po szkole i przycisnie do muru, aż powie jej wszystko, co pamięta.

Jakaś jej część wiedziała, że to samo mogła zrobić z Lydią, bo była pewna, że przyjaciółka ją okłamywała, ale nie potrafiła się na to zdobyć. Poprzednia kłótnia mocno nadszarpaneła ich relację. Ruby nie wyobrażała sobie, co musiałyby zrobić, żeby Lydia w końcu pękła, a tym bardziej jak później miałyby wyglądać ich przyjaźń.

Nie. Musiała rozegrać to sama.

Nie miała pojęcia, gdzie mieszkał Theo – nie wiedziała nawet, czy miał pokój w internacie – i nie znała żadnego dobrego sposobu na zdobycie tej informacji. Ostatecznie postawiła zatem na jedyne miejsce, co do którego miała pewność, że go tam spotka. I tak oto, dwanaście dni po ostatniej wizycie, Ruby znów znalazła się pod drzwiami biblioteki.

– No to idziemy – mruknęła sama do siebie, po czym drżącymi rękami pchnęła ciężkie drzwi.

Starła się nie myśleć o tym, że były całkiem nowe, ani że przez wiele dni budynek pozostawał wyłączony z użytku. Nie chciała też zauważać tego, że biblioteka była jeszcze bardziej pusta niż poprzednim razem; nikt nie siedział w sali na parterze, Ruby nie słyszała żadnych głosów. Kathy nie patrzyła na nią spod byka, a Sam nie snuł się między regałami. Nawet kiedy zwróciła się w stronę kontuaru, nie dostrzegła żywej duszy.

Serce Ruby załomotało, jakby chciało o sobie przypomnieć. Wciąż tu było, wciąż biło w jej piersi. I nie chciało przestać.

Powoli wypuściła powietrze i zmusiła się, by podejść do stanowiska bibliotekarza. Odczekała kilka minut, ale wokół wciąż panowała absolutna cisza. A co, jeśli Theo miał dzisiaj wolne? Nie mogła uwierzyć, że aż do teraz nie przyszło jej to do głowy. W takim wypadku wszystko, co zrobiła, żeby tu dotrzeć – odwaga, którą w sobie znalazła, i kłamstwa, których naopowiadała Peterowi, żeby zostać dłużej na kampusie – poszłyby na marne.

Ale przecież ktoś musiał tu być, prawda? Szkoła nie zostawiłaby biblioteki bez nadzoru... zwłaszcza teraz. Ruby poczuła ciarki na plecach, ale spróbowała się skupić na stukaniu bladobrózowymi paznokciami o blat. Jak długo jeszcze mogła tu sterczeć bez celu?

Nagle za jej plecami rozległ się jakiś głośny rumor. Ruby złapała się kontuaru, jakby bała się, że bez tego upadnie, i rozejrzała dookoła. Biblioteka wciąż wydawała się pusta, a hałas ucichł, ale dziewczyna była pewna, że dochodził zza wąskich drzwi, na które wcześniej nie zwróciła uwagi.

Podeszła bliżej, położyła rękę na klamce i dopiero wtedy podniosła wzrok. Tabliczka na drzwiach głośno: Wstęp tylko dla personelu. Oczywiście, że nie powinna wchodzić do środka. Ale widziała demona. Zasady zwykłych śmiertelników przestały ją obowiązywać.

Mimo całej otoczki uśmiechnęła się pod nosem na myśl o absurdzie tej sytuacji i w końcu otworzyła drzwi.

Za nimi zobaczyła schody. Prowadziły w dół, a po kilku stopniach ginęły w mroku.

Oczywiście, pomyślała Ruby. Oczywiście, że były tu schody. A na końcu na pewno czekał regał, za którym ukryto tajne przejście...

Wyciągnęła telefon, by nie tracić czasu na szukanie włącznika światła. Nie zamierzała też w ten sposób informować nikogo o swojej obecności. Schodziła powoli, stopień po stopniu, jakby na każdym musiała jeszcze raz przemyśleć podjętą już decyzję. Kiedy wreszcie dotarła do snopu światła, które wylewało się z piwnicy, przycupnęła na podłodze, ukryta za ścianą, i ostrożnie zajrzała do pierwszego pomieszczenia.

W pokoju rzeczywiście stało kilka metalowych regałów, ale raczej nie było możliwości, by za którymkolwiek kryło się tajne przejście. Wszystkie były wypełnione kartonami, zza których wзираły ceglane ściany. Na środku pokoju stał szeroki stół, zasypany papierami.

Ruby wstała i zrobiła kolejny ostrożny krok, kiedy w sąsiednim pomieszczeniu rozległ się hałas.
– No gdzie ty jesteś... Nie rób mi tego znowu...

Serce Ruby zabiło jeszcze szybciej. To nie był głos Theo.

Odwróciła się na pięcie. Musiała jak najszybciej się stąd wydostać. Po co w ogóle schodziła? Skoro w bibliotece nie było Theo, nie miała czego szukać w tej piwnicy. Jak wytłumaczyć innym pracownik, że przylazła tu, bo...

Zamarła.

Jej oczy wiedziały, że dostrzegły coś dziwnego, jeszcze zanim umysł w pełni to zrozumiał. Wciąż powtarzała sobie, że powinna stąd spadać, ale zamiast tego jeszcze raz spojrzała na kartki na stole. Niektóre były puste, inne zapisane tak gęsto, że z tej odległości nie była w stanie ich rozczytać. Ale na pozostałych był szkice. Mnóstwo szkiców. I wszystkie przedstawiały to samo.

Demona.

Nie myślała, kiedy schodziła do piwnicy, ani teraz, sięgając po pierwszy z brzegu rysunek. Mimo że składał się tylko z ciemnych linii, stwór wydawał się równie przerażający jak tamtego wieczoru. Dziewczyna nie potrafiła oderwać od niego wzroku, dopóki nie zmusił jej do tego czyjś głos.

– Ruby?

Cofnęła się gwałtownie, przyciskając kartkę do piersi, jakby bała się, że ktoś jej ją odbierze. W końcu trzymała materialny dowód swojej poczytalności.

– Zac? – Zmarszczyła brwi na widok najlepszego (i, o ile się orientowała, jedyne) przyjaciela Theo. – Co ty tu robisz?

– Ja... Eee... Zgubiłem... coś – wydukał. Wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy nauczyciel wywoływał go do tablicy lub prosił o powtórzenie ostatniego pytania. Inaczej jednak niż w takich chwilach zaraz przez jego twarz przemknęło zrozumienie. – Moment. Nie musisz ci się tłumaczyć. Ciebie też nie powinno tu być!

– Theo cię wpuścił? – naciskała.

– Może. – Zac skrzyżował ręce na piersi. Blade światło lampy obijało się od wszystkich kolczyków, od których roilo się na jego twarzy. – A ciebie tu wpuścił?

– Może. – Odbiła piłeczkę.

– Ha! – Zdecydowanym ruchem wycelował w Ruby palec wskazujący. – Kłamstwo!

– Skąd ta pewność? – spróbowała jeszcze, ale Zac wymownie uniósł brew. – No dobra, sama tu weszłam. Ale miałam powód – oznajmiła i oskarżycielsko uniosła szkic. Czy dla Zaca to cokolwiek znaczyło? – Mam do pogadania z Theo. Muszę go znaleźć.

Zac, chyba całkowicie bezwiednie, otworzył usta, jednocześnie wbijając wzrok w rysunek. Wiedział.

– Ty... – mruknął, zanim przeniósł spojrzenie na stół. – On...

W tym momencie coś skoczyło z regału nad głową Ruby, zrzucając z niego kartonowe pudło. Rudy kot wylądował na blacie, przez co kartki rozsypały się po całej piwnicy.

– Mike! Tu jesteś! Wszędzie cię szukałem.

Ruby uznała, że to najlepszy moment, by się ewakuować. Wykorzystała chwilę nieuwagi Zaca i wcisnęła swoją zdobycz do kieszeni.

– To ja już... – pójdę, chciała powiedzieć, ale nie potrafiła. Zamrugła, usiłując skupić wzrok na kocie. Wyglądał... dziwnie. Właściwie znacznie bardziej przypominał wielkiego chomika; prawie wcale nie miał ogona, był pulchny i miał krótkie łapy. Dodatkowo wpatrywał się w Ruby nienaturalnie dużymi oczami. – Co to jest?

Zac wziął kota na ręce.

– To jest... Majczel – bąknął. Wypowiadał jego imię z bardzo dziwnym akcentem. A może to było całkiem inne słowo?

– A czym jest Michael?

Zac westchnął ciężko.

– Majczel – powiedział z naciskiem – jakby ci to powiedzieć... Majczel to... kieszonkowy demon chaosu.

– Demon? – Ruby spojrzała z niedowierzaniem na puchatą kulkę. Wyczuła za sobą pierwszy stopień schodów i osunęła się na niego bezwładnie. – Chaosu?

– Kieszonkowy. – Przytaknął spokojnie. Majczel wspiął się po jego skórzanej kurtce i przysiadł na ramieniu niczym tresowany szczur. Zac podrapał go za długim uchem, a dziewczyna miała wrażenie, że futerko stworzenia delikatnie się zarumieniło. – Ruby... Chyba musimy pogadać.

ZUZANNA KŁOSEK

Co warto wiedzieć o Zuzannie Kłosek?

Z nudnych rzeczy: ukończyła studia na kierunkach Kultury Mediów (I stopnia) oraz Twórcze Pisanie i Marketing Wydawniczy (II stopnia) z wyróżnieniem na Uniwersytecie Śląskim. Zawodowo zbłądziła w obszary marketingu i dziennikarstwa.

Z ciekawszych? Uwielbia książki Cassandry Clare, urban fantasy i dystopie. Pisze dłużej niż pamięta. W notesie, na wattpadzie, w czasopismach „ArtPapier”, „Kreatywni” i „Fragmentarium”.

A przede wszystkim... jest redaktorką naczelną Książkowego Szalika! I kiedyś napisze książkę, która złamie Ci serce.

KONTAKT DO AUTORKI:

Zuzanna Kłosek • 501 372 591 • klosekzuzia@gmail.com • ksiazkowyszalik@gmail.com

MIEJSCA W SIECI:

Instagram: https://www.instagram.com/ksiazkowy_szalik/

KAP, KAP

REDAKCJA: WERONIKA BELOWSKA
KOREKTA: MAGDALENA S. MATUSIEWICZ
KOREKTA TECHNICZNA: WERONIKA BELOWSKA

*Kap, kap,
kap, kap.*

Krew miarowo spływała po jasnej emalii z dłoni ułożonej na brzegu wanny. Szkarłatne krople łączyły się w strugi, które leniwie płynęły w dół, kontrastując z nieskazitelną bielą, a na końcu swojej drogi wpadały do gorącej, spienionej wody. Pachnąca lawendą piana zabarwiła się na różowo, ale na szczęście tylko odrobinę. Ten subtelny róż wystarczył jednak, by przyprawić kobietę o mdłości. Magda od zawsze brzydziła się krwią, nieważne, czy własną, czy cudzą. Kiedy więc przeniosła wzrok z podbarwionej piany na czerwone smugi spływające po ścianie wanny, żołądek podjechał jej do gardła. Rana na jej dłoni się otworzyła i nie tylko krwawiła równie mocno jak kilka godzin wcześniej, ale i niemiłosiernie piekła.

Gdyby Magda nie była tak zmęczona, pewnie od razu wyszłaby z wody, tym razem jednak chęć rozgrzania się pod puszystą pianką wygrała z obrzydzeniem. Kobieta czym prędzej sięgnęła po słuchawkę prysznicową i splukała krew z wanny, z całych sił ignorując fakt, że cała ta czerwień właśnie rozpuściła się w jej kąpiel.

Co z oczu, to z serca, stwierdziła, zakręcając kurek. Odłożyła słuchawkę na miejsce i ściągnęła ręcznik ze ściennego haczyka, żeby zamować krwawienie. Na szczęście materiał był czarny, więc nawet jeśli czerwone plamy nie sprząłyby się do końca i tak nikt by tego nie zauważył.

No właśnie: *co z oczu, to z serca*. Takie proste powiedzenie, a tyle w nim prawdy. Nareszcie była sama w domu i choć przez jeden wieczór nie musiała przejmować się humorami męża.

Ostatnio mocno między nimi iskrzyło, ale nie w pozytywnym sensie – bardziej jak w instalacji elektrycznej w zrujnowanym domu. Kobieta gryzła się tym każdego dnia właściwie od rana do nocy, robiąc sobie przerwę tylko na pracę. Jej małżeństwo nieuchronnie zbliżało się do góry lodowej z napisem „rozwód”, a ona ze wszystkich sił chciała zapobiec tej kolizji. Sławek jak zwykle odwracał wzrok od problemów, udając, że nie istnieją. Liczyła na jego przebudzenie, ale nadzieja, początkowo soczyście zielona, bladła i wysychała z każdym dniem niczym trawa skąpiana w bezlitosnym lipcowym słońcu.

Tego wieczora miała czas tylko dla siebie. Mąż pojechał na szkolenie z pracy i miał wrócić dopiero następnego dnia po południu, co dawało jej niewielkie, lecz cenne okienko na spokojnie przemyślenie ich sytuacji i, być może, także odrobinę relaksu.

Plan na wieczór był całkiem niezły: kolacja, książka, a potem spokojny sen. Magda potknęła się jednak już na pierwszym punkcie. Gdy krojła owoce na koktajl, ostrze noża pechowo ześliznęło się z deski i wylądowało prosto we wnętrzu jej lewej dłoni. Wystarczyła sekunda nieuwagi, żeby dorobić się długiego i obficie krwawiącego cięcia.

Kiedy tylko Magda zobaczyła krew sączącą się z rany, od razu straciła apetyt. Resztę wieczoru spędziła z zabandażowaną ręką, siedząc na fotelu w salonie i rozpamiętując ostatnie sprzeczki z mężem. Jedynym, co osładzało jej ten wieczór, było mimowolne głaskanie miękkiego, łaciatego futerka Krówki. Niemal ślepa stara kotka zwinęła się w kłębek na stoliku obok fotela i pomrukiwała cicho, napawając się delikatnymi

muśnięciami dłoni swojej pani. Choć lubiła udawać niezależność, ludzkie towarzystwo było jej równie drogie jak pełna miska.

Gdy tuż przed północą Magda poczuła, że zaczyna przysypiać, potarła oczy, jeszcze nieco wilgotne od łez uronionych nad wspomnieniami, i przekonała samą siebie, że musi naszykować kąpiel właśnie teraz, bo inaczej zaśnie na siedząco na dobre, a rano obudzi się połamana.

Gorąca woda otulająca ciało w obszernej wannie nieco poprawiła jej nastrój, ale nie wymazała zmęczenia, a na dodatek zaszkoziła ledwo co zasklepionej ranie od noża. Magda pomyślała, że gdyby nie zdjęła bandaża przed kąpielą, nie musiałaby robić prowizorycznego opatrunku z ręcznika. To jednak przestawało mieć dla niej znaczenie. Przygaszone światła przy lustrze kołysały ją bowiem do snu, a beżowe ściany łazienki zamykały się wokół niej niczym przytulne kąty pokoiku z dawnych lat, w którym tak wiele razy zasypiała w rodzinnym domu.

Kobieta przymknęła oczy. Wiedziała, że woda pewnie niedługo wystygnie, ale kilka minut drzemki jeszcze nikogo nie zabiło... Krople wody kapały z jej jasnych loków, niknąc w białej pianie.

*Kap, kap,
kap, kap.*

Magda oparła głowę o ściankę wanny. Było jej cudownie ciepło i błogo, a wszystkie problemy na chwilę zniknęły. Liczył się tylko sen. Kiedy czerń pod jej powiekami zaczęła zmieniać się w kolorowe senne marzenie, ktoś załomotał w drzwi łazienki. Kobieta się wzdrygnęła, rozchlapując wokół wodę i pianę. Przebudzenie nadeszło natychmiast, brutalnie rujnując ciepłą i miękką krainę snów. Kiedy już miała wynurzyć się z wody, drzwi znowu zadrżały od uderzenia, a ona po raz kolejny podskoczyła. Zaraz jednak uśmiechnęła się lekko i zdała sobie sprawę, że przecież w mieszkaniu była tylko jedna istota, która mogła dobijać się do łazienki w środku nocy.

– Krówka? Nie musisz się tak tłuc! Wejdz, przecież potrafisz! – rzuciła Magda z lekkim rozbawieniem.

Kotka bez trudu potrafiła otworzyć sobie wszelkie drzwi, nie tylko te do łazienki. Jeszcze jako mały kociak zrozumiała, że wystarczy tylko skoczyć na klamkę i pociągnąć ją w dół przednimi łapami, a potem wetknąć pyszczek w powstałą szparę, trochę ją poszerzyć i droga wolna. Czasami jednak nie miała ochoty na akrobacje, co z wiekiem zdarzało jej się zresztą coraz częściej, i po prostu uderzała łapkami w drzwi, zmuszając człowieka po drugiej stronie, aby jej otworzył. Kiedy łomot znowu się powtórzył, Magda zrozumiała, że kot najpewniej czeka na jej ruch.

– Ech, Krówka, nawet nie wiesz, jak się dla ciebie poświęcam – mruknęła, powoli podnosząc się z wanny. – Akurat teraz mogłabyś sama sobie otwo...

Magda zamarła, kiedy podniosła się na tyle, by zerknąć w wielkie lustro wiszące nad umywalką. W zwierciadle odbijały się drzwi łazienkowe z wprawioną mleczną szybą. Za półprzezroczystą taflą widać było męską twarz.

– Sławek? Sławek, to ty? – spytała Magda niepewnie.

Odpowiedziało jej milczenie. Zamazana twarz za szybą nie poruszyła się ani o milimetr.

Magda czuła, jak adrenalina rozlewa się po jej ciele aż po czubki palców. Wyskoczyła z wanny i, ledwie unikając upadku na mokrej podłodze, błyskawicznie sięgnęła do zamka w drzwiach. Kiedy go chwyciła, klamka zaczęła opadać, naciskana od zewnątrz.

Ona była jednak o ułamek sekundy szybsza i zdążyła zablokować drzwi. Zakrwawiony ręcznik spadł z jej skaleczonej dłoni, ale nawet nie zwróciła na to uwagi. Jej głowę wypełniała tylko jedna myśl: *co robić?*

Wiedziała przecież, że mężczyzna za drzwiami nie jest Sławkiem – rozumiała to już w momencie, kiedy ujrzała w lustrze zarys jego twarzy. Nie potrafiłaby wyjaśnić, dlaczego się do niego odezwała, tak samo jak nie była w stanie

pojąć, dlaczego on nie wszedł do łazienki, póki jeszcze nie była świadoma jego obecności.

– Kto... kto tam? – pisnęła. Przybysz za szybą nie odezwał się ani nie poruszył, ale wyraz jego twarzy się zmienił. Magda mogłaby przysiąc, że zamazane rysy widoczne zza szyby rozjaśnił uśmiech.

Nie chciała w to uwierzyć, ale zaczęła rozumieć, że mężczyzna pojawił się w mieszkaniu w konkretnym celu – by zrobić jej krzywdę. Gdyby był pospolitym złodziejem, już dawno poszedłby plądrować pokoje albo bezceremonialnie by ją skrępował, zamiast stać przy szybie i tylko się przyglądać.

W małej łazience bez okna Magda czuła się jak w pułapce. Mogła krzyczeć, ale wiedziała, że i tak nikt jej nie usłyszy, bo sąsiedzi kilka dni temu wyjechali. Była zdana wyłącznie na siebie i bała się jak nigdy w życiu. Sekundy mijały, a ona wyobrażała sobie, jak drzwi wypadają z zawiasów, a mężczyzna rzuca się na nią – naga, bezbronna i sparaliżowana lękiem. Zdecydowała, że musi działać, bo inaczej oszaleje.

– Halo? Nazywam się Magdalena Słodkowska, mieszkam przy Dzwonkowej 35 i ktoś się do mnie włamał! Proszę szybko kogoś przysłać, on ma zamiar coś mi zrobić! – zawołała na tyle głośno, żeby za drzwiami było słychać każde słowo. Nawet nie musiała udawać spaniowanej, bo autentyczna zgroza brzmiała w każdej sylabie.

Magda żywiła rozpaczliwą nadzieję, że ten blef spłoszy mężczyznę. Zawsze kiedy szła się kąpać, brała ze sobą telefon, ale akurat tego wieczora była tak zmęczona, że o nim zapomniała. Jej komórka najpewniej leżała teraz gdzieś przy fotelu w salonie, ale równie dobrze mogła być na innej planecie. Magda

niczego bardziej nie pragnęła, niż naprawdę móc zadzwonić na policję.

Włamywacz w żaden sposób nie zareagował na rzekome zgłoszenie. Nadal stał bez ruchu i się uśmiechał. Nie drgnął mu nawet jeden mięsień na twarzy, a przynajmniej nie na tyle, żeby Magda mogła to dojrzeć przez półprzezroczyste szkło. Ona sama też zastygła jak posąg tuż obok wanny, nie zauważając nawet, że rana od noża na jej dłoni krwawi coraz bardziej. Szkarłatne krople spadały na jasne kafle jedna po drugiej.

Kap, kap,

kap, kap.

Widok krwawej plamy na posadzce ją otrzeźwił. Magda zdała sobie sprawę z tego, że mężczyzna może wyważyć drzwi kilkoma kopnięciami, więc jego wyczekiwanie to albo jakaś perwersyjna zabawa, albo sposób na to, aby jeszcze bardziej ją przerazić. Zrozumiała też,



że on nie zamierza zrezygnować. Musiała być gotowa na walkę.

Rozejrzała się po łazience i po chwili jej wzrok padł na leżące przy lustrze nieduże, ale bardzo ostre nożyczki, których czasem używała do podcinania włosów. *Lepsze to niż nic*, pomyślała. Kiedy tylko jej palce musnęły zimny metal, drzwi zadudniły, jakby uderzył w nie taran. Mężczyzna walił pięściami tuż poniżej szyby, a Magda bezwiednie zaczęła wrzeszczeć.

– Chcesz pieniądze? Gotówka jest w zielonej kasetce w salonie! Weź... weź wszystko, tylko odejdz! W sypialni... w sypialni są złote kolczyki i pierścionki, zabierz je sobie! – łkała, cofając się jak najdalej od drzwi. W obu dłoniach kurczowo ścisnęła nożyczki do włosów, które wydawały się jej żałośnie małe. Twarz za szybą rytmicznie to zbliżała się, to oddalała od tafli szkła, podążając za pięściami, które coraz bardziej zawzięcie tłukły w drzwi.

Kiedy Magda już była pewna, że drewniane skrzydło zaraz wypadnie z futryny, wszystko ucichło. Stała nieruchomo przez kilka sekund, nasłuchując jakiegokolwiek dźwięku – szarpania za klamkę, kroków czy nawet oddechu – ale nie słyszała nawet żadnego szmeru. Jak gdyby mężczyzna w jednej chwili zniknął. Widziała jednak, że nigdzie się nie ruszył, bo jego twarz nadal rysowała się za szybą, lecz tym razem była trochę dalej, tak jakby mężczyzna cofnął się w głąb korytarza.

Spodziewała się, że napastnik zaraz przypuści ostatnią szarżę i rozbije drzwi w drzazgi, ale czas mijał i nic się nie działo. Magda czuła się jak gotowana żaba tuż przed tym, gdy woda zaczyna wrzeć. Trzęsła się ze strachu i nie mogła już krzyczeć, bo lęk zacisnął jej gardło, a oczami pełnymi gorących łez widziała wszystko jak za mgłą.

Wzdrygnęła się, kiedy dotknęła nagimi plecami zimnej ściany. Była tak daleko od drzwi, jak tylko mogła, ale w niewielkim pomieszczeniu to wciąż oznaczało, że od włamywacza dzieliło ją zaledwie kilka kroków. Jej zalany paniką mózg szukał innego ratunku niż tanie fryzjerskie

nożyczki w drżących palcach, ale nie był w stanie niczego wymyślić. Cisza za drzwiami nadal trwała i doprowadzała ją niemal do szaleństwa. Magda przesunęła się nieco w bok i uderzyła ramieniem o półkę z roślinami.

Nigdy nie sądziła, że tak się ucieszy na widok rządka plastikowych palemek, które Sławek kiedyś przywiózł z marketu i postawił w łazience jako wątpliwej urody dekorację. Te krzywo odlane zielone patyki irytowały ją każdej soboty, kiedy musiała czyścić je z kurzu, a teraz nagle stały się ucieleśnieniem jej szalonej nadziei. One, a raczej kamienne doniczki, w które były włożone. Podczas weekendowych sesji sprzątania Magda nie raz przestawiała osłonki i wiedziała, jakie są ciężkie – ledwo dawała radę podnosić je jedną ręką. Gdyby ktoś dostał taką skorupą w głowę, raczej nie zrobiłoby mu to wielkiej krzywdy, ale mogłoby go chociaż zamroczyć... i kupić jej trochę czasu. Plan był prowizoryczny, ale nie była w stanie wymyślić niczego lepszego. Musiała tylko precyzyjnie wymierzyć i zamachnąć się z całej siły...

Chwyciła doniczkę zakrwawioną dłonią, nie przejmując się bólem, i wyrzuciła z niej sztuczną roślinę. Właśnie wtedy usłyszała pstryknięcie, a potem zgasło światło.

W łazience zapanowała ciemność. Magda zrozumiała, że wszelkie próby samoobrony od początku były skazane na porażkę, zupełnie tak, jakby mężczyzna doskonale wiedział, co dzieje się w jej głowie. Zapewne doskonale się bawił, napawając się jej lękiem i tylko czekał na odpowiedni moment, żeby nacisnąć zewnętrzny wyłącznik światła umieszczony tuż przy łazienkowych drzwiach.

Magda miała wrażenie, że się dusi, kiedy strach jeszcze mocniej ścisnął jej pierś. Nic nie widziała, więc nie mogła już odpowiednio wymierzyć ciosu w głowę przeciwnika. Pragnęła tylko skulić się w kącie, ale mimo to zasłoniła się prowizoryczną bronią. Dłonie drżały jej tak, że niewiele byłaby w stanie nimi zrobić, instynkt przetrwania jednak nie pozwalała na kapitulację.

Czekała w ciemności, aż w końcu drzwi łazienki otworzyły się bezszelestnie.

Kobieta cicho łkała, a jej łzy skapywały z policzków na pierś. Wytężała wzrok, próbując cokolwiek dostrzec w mroku. Usłyszała dźwięk kroków, a potem on przed nią stanął. Choć bardziej go wyczuła, niż zobaczyła, zaczęła krzyczeć.

Magda gwałtownie wciągnęła powietrze i usiadła prosto. Krew wciąż szumiała jej w uszach, a serce tłukło się w piersi. Po chwili jednak jej oczy przyzwyczaiły się do ciemności i gdy spojrzała na swoją dłoń, która wcale nie była zraniona, uświadomiła sobie prawdę.

– Sen... to był tylko sen – wymamrotała nieprzytomnie. Tym razem przebudzenie było prawdziwe, a kiedy sobie to uzmysłowiła, ulga zalała całe jej ciało. Magda siedziała na łóżku w swojej własnej sypialni, nogi miała jak zwykle przykryte kolorowym kocem, a na małym stoliku nocnym obok lampki stała szklanka z wodą.

Wszystko było tak jak zawsze, poza jednym – na posłaniu obok niej brakowało Sławka, bo rzeczywiście wyjechał na jedno ze swoich kilkuniedniowych szkoleń. Ostatnio często brał w nich udział i choć początkowo Magda nie miała do tego żadnych zastrzeżeń, z czasem w jej głowie pojawiły się podejrzenia, które rosły z każdym dniem, każdą kłótnią i każdym kolejnym wyjazdem.

Nie chciała znowu o tym myśleć, i to w trakcie samotnie spędzonej nocy. Nie mogła jednak uciec przed smutkiem, kiedy w ciemności rozświetlanej wpadającym przez okno delikatnym światłem ulicznych lamp wypatrzyła kolaż zdjęć wiszący nad łóżkiem.

Fotografie przedstawiały głównie ją i Sławka, ale na niektórych widać było też wiekowego czarno-białego kota. Choć Krówki nie było z nimi już od ponad roku i Magda niemal pogodziła się z jej śmiercią, czasami wciąż spotykała ją w snach. Co jakiś czas łapała się też na tym, że wciąż zostawia uchylone drzwi, bo sędziwa

kotka w swoich ostatnich tygodniach nie była już w stanie otwierać ich skokiem na klamkę.

Magda spojrzała na drzwi do sypialni i uśmiechnęła się smutno. Były otwarte akurat na tyle, że zmieściłby się w nich nieduży kot. Nie pamiętała, żeby uchylała je przed snem, ale widocznie musiała to zrobić odruchowo. Przemknęło jej przez głowę, że może podświadomie chciała zaprosić Krówkę do siebie, żeby poczuć się mniej samotną. Szkoda, że musiały się spotkać akurat w koszmarze, ale Magda liczyła, że jeszcze nie wszystko stracone – tej nocy mógł jej się przyśnić kolejny, być może znacznie przyjemniejszy sen. Za oknem panowały ciemności i cisza, a zatem do rana było wciąż daleko.

Powieki znowu zaczęły jej ciążyć, więc zignorowała uchylone drzwi, ułożyła się wygodnie pod kocem i zamknęła oczy. Sen porwał ją delikatnie, lecz nieubłaganie, zupełnie jak jedna z tych niepozornych fal na jeziorze.

Mężczyzna czekał, aż kobieta znowu zaśnie. Kiedy wcześniej nagle wyprostowała się na łóżku, był pewny, że usłyszała, jak otwierał drzwi, ale najwidoczniej po prostu wybudziła się z niespokojnego snu. Zresztą nawet jeśli jakoś wyczuła jego obecność, pewnie wmówiła sobie, że tylko jej się zdawało. Zawsze tak robiły.

Był teraz zaledwie kilka kroków od niej. Denerwował się. Dłoń, w której trzymał swój ulubiony nóż, coraz bardziej się pociła. Wiedział jednak, że musi być cierpliwy, aby zyskać pewność, że wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Od miesięcy bawił się wyobrażeniem tej sytuacji. Najpierw nie brał tego na poważnie – myśl była przyjemna, ale wydawała mu się zupełnie niedorzeczna. Przecież anonimowe tak długo mu wystarczały... Były zadowalające i przede wszystkim bezpieczne. Nikt nigdy go z nimi nie powiązał.

Z czasem jednak pragnienie stało się coraz bardziej uporczywe, a on nie mógł go dłużej ignorować. Zupełnie tak, jakby po raz kolejny przeżywał przebudzenie drapieżnej potrzeby zakorzenionej w jego duszy od tak wielu lat. Czasami jej nienawidził, głównie za to, jak komplikowała mu

życie, ale nie potrafił z niej zrezygnować. Kiedy ulegał instynktowi, czuł, jakby zrywał dojrzały i soczysty czerwony owoc z troskliwie pielęgnowanej jabłoni. Czysta ekscytacja i niczym niezmacona euforia.

Nie umiał się dłużej opierać. Zaplanował wszystko najlepiej, jak mógł, ale ryzyko ujawnienia i tak było ogromne. W końcu jednak dotarło do niego, że nie ma znaczenia, czy go złapią. Liczyła się już tylko ona – jego perła w koronie.

Obserwował przez szparę w drzwiach, jak kobieta kręci się pod kocem, lekko przesuwając poduszkę, przerzuca jasne włosy na bok i w końcu nieruchomieje. Była piękna. Uśmiechnął się lekko i pomyślał, że przecież nie bez przyczyny się z nią ożenił.

Sławek podniósł dłoń, żeby pchnąć drzwi do sypialni, a drugą ręką mocniej ścisnął nóż. Kilka kropel potu spadło z jego palców i cicho zabębniło o podłogę.

*Kap, kap,
kap, kap.*

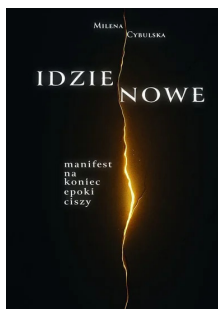
MARZENA HERKA-KISTELA

Pochodzi z Dolnego Śląska. Publikowała w „Antologii z dreszczykiem” oraz „Antologii z miłością”, jest zwyciężczynią V edycji konkursu „Literacki Fenek”. Najczęściej pisze fantastykę, choć eksperymentuje także z innymi gatunkami. Miłośniczka zwierząt, w szczególności kotów, oraz gór, książek i historii.

MIEJSCA W SIECI:

Instagram: marzena_herka.

Idzie Nowe. Manifest na koniec epoki ciszy



Autor: Milena Cybulska

Wydawnictwo: [Limitless Mind Publishing](#)

Oprawa: twarda

Formaty: druk

Gatunek: literatura piękna

Gdzie kupić? [Empik](#)

„Idzie nowe” to powieść zrodzona w chwili przełomu. Zaprasza Cię do porzucenia lęku i wyjścia poza utarte schematy. Stawia niewygodne pytania, odsłania ciężar przeszłości i pokazuje, jak można się od niego uwolnić. To dystopia inna niż wszystkie: łączy filozoficzną refleksję, poetycką wrażliwość i napięcie thrillera społecznego. W centrum jest doświadczenie pokolenia zmęczonego technologiczną alienacją, powierzchownością relacji i presją nieustannej produktywności. To świat, w którym wszystko da się sprzedać, a kultura bywa sprowadzana do uproszczonych komunikatów.

Powieść opowiada o końcu epoki milczenia – o odzyskiwaniu głosu i sensu w rzeczywistości, która lubi upraszczać. Jeśli szukasz literatury ambitnej, która prowokuje do myślenia i zostaje w głowie na długo, ta książka jest dla Ciebie.

Dla czytelników ceniących twórczość Olgi Tokarczuk, Margaret Atwood, Aldousa Huxleya i Kazuo Ishiguro.



MIĘDZY RACJĄ A EGO

KTO NAPRAWDĘ MA OSTATNIE SŁOWO

KOREKTA: MONIKA BARTOSZEWICZ
KOREKTA TECHNICZNA: EWELINA BELZ

W świecie self-publishingu krąży pewne zdanie, powtarzane niemal jak mantra: „*autor ma zawsze ostatnie słowo*”.

Brzmi dumnie.

Brzmi jak wolność.

Brzmi jak niezależność. Wręcz wyzwalająco.

A czasem brzmi jak początek problemu. Bo „ostatnie słowo” bardzo łatwo zamienia się w „jedyne słowo, które dopuszczam”. I wtedy przestajemy mówić o twórcy. Bo o ile autor rzeczywiście jest właścicielem swojej historii, o tyle nie zawsze jest najlepszym jej sędzią. I tu zaczyna się cienka, często niewidoczna granica – między racją a ego.

Nie zrozum mnie źle – autor ma prawo się upierać. Są momenty, kiedy wręcz powinien. Kiedy ktoś próbuje wygładzić zdanie, które miało uwierać. Kiedy ktoś chce „poprawić” fragment, który był celowo niewygodny. Kiedy redakcja zaczyna zbliżać tekst do schematu, zamiast zostawić mu charakter.

To autor zna emocje, które stały za tekstem. To on pamięta, dlaczego bohater milczy, a nie mówi. To on decyduje, czy zdanie ma być ostre, niedoskonałe, czy wręcz niewygodne. W takich momentach autor robi dokładnie to, co do niego należy – broni sensu. I to jest jego racja.

Ale jest też druga strona. Cichsza. Mniej wygodna. Kiedy autor mówi: „Zostawmy, tak mi się podoba”. Nie dlatego, że to decyzja artystyczna. Tylko dlatego, że nie chce już nad tym pracować.

Albo – co trudniejsze do przyznania – nie dopuszcza myśli, że coś może być po prostu słabsze.

Gdy broni błędu, bo „zawsze tak pisał”.

Gdy każdą uwagę traktuje jak atak.

Gdy nie odróżnia stylu od potknięcia.

I wtedy wchodzi ego. Najczęściej przebrane za „wizję”. W self-publishingu łatwo wpaść w tę pułapkę. Bo skoro płacisz – masz władzę.

Redaktor? Usługa.

Korektor? Usługa.

Składacz? Usługa.

Tylko że to nie jest układ „proszę wykonać i nie dyskutować”. To są ludzie, których zadaniem jest zrobić coś znacznie trudniejszego – zobaczyć twoją książkę tak, jak zobaczy ją czytelnik – zanim jeszcze trafi do jego rąk.

Redaktor nie poprawia tekstu, żeby go przepisać na swój sposób. Korektor nie szuka błędów, żeby coś udowodnić. Składacz nie zmienia układu, żeby postawić na swoim. Ich wspólna misja jest prosta: ochronić tekst – i autora – przed tym, co może osłabić odbiór książki.

I tu pojawia się pytanie, które rzadko pada wprost: jeśli zatrudniasz specjalistów, dlaczego czasem im nie ufasz? Przecież to trochę tak, jakby oddać samochód do mechanika... i nie pozwolić mu nic naprawić.

Dobra współpraca nie polega na tym, że jedna strona wygrywa. To nie jest walka o władzę. To rozmowa. Czasem autor ustępuje – bo widzi, że uwaga ma sens. Czasem redaktor odpuszcza – bo rozumie, że to świadomy wybór, a nie błąd.

To naturalne. To potrzebne.

To nie jest kompromis z braku siły.

To jest kompromis z dojrzałości.

Największym paradoksem jest to, że autor, który najbardziej boi się „oddania kontroli”... najczęściej najbardziej jej potrzebuje.

Bo kontrola nie polega na tym, że wszystko zostaje tak, jak było napisane. Polega na tym,

że świadomie wybierasz, co zostaje – po konfrontacji z wiedzą innych.

Ale żeby to działało, musi istnieć coś jeszcze: zaufanie. Nie ślepe. Nie bezrefleksyjne. Ale oparte na prostym założeniu: „Skoro cię zatrudniłem, to znaczy, że wierzę w twoją wiedzę”.

Ego autora nie krzyczy: „Jestem najlepszy”. Ono mówi: „Nie muszę nikogo słuchać”, „To ja mam być zadowolony”.

A przecież redaktor zna język.

Korektor zna normy.

Składacz zna czytelnika – tego, który patrzy, nie tylko czyta.

Autor zna historię.

Dopiero razem tworzą książkę. Prawda jest mniej wygodna niż popularne hasło: „*autor ma*

ostatnie słowo”. Ale dobra książka zaczyna się tam, gdzie to słowo przestaje być pierwszym odruchem, a staje się przemyślaną decyzją.

I gdzie autor potrafi zadać sobie jedno, niewygodne pytanie: „Czy ja teraz naprawdę mam rację... czy po prostu nie chcę jej oddać?”.

Prawda jest tam, gdzie autor ma ostatnie słowo, ale nie zawsze powinien mieć rację.

I właśnie w tym miejscu zaczyna się dojrzałość twórcza.

FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ

DZIĘKUJEMY ZA WSZYSTKIE DOBRE SŁOWA,
KTÓRE OTRZYMUJEMY OD CZASU „NARODZIN” NASZEGO
MAGAZynu. WASZE WSPARCIE, CIEPŁE MAILE I OBECNOŚĆ
ZNACZĄ DLA NAS WIĘCEJ, NIŻ SĄDZICIE.

JESTEŚMY WDZIĘCZNI, ŻE JESTEŚCIE Z NAMI, BO TO WŁAŚNIE DLA
WAS – AUTORÓW, WYDAWCÓW I REDAKTORÓW – STWORZYLIŚMY
TO CZASOPISMO.

W CAŁY PROCES TWORZENIA WKŁADAMY NASZE SERCA, WOLNY
CZAS I WIEDZĘ, STARAJĄC SIĘ ODDAĆ W WASZE RĘCE KOLEJNE
FRAGMENTY WASZYCH HISTORII.

WIERZYMY, ŻE DALEJ BĘDZIECIE WSPÓŁTWORZYĆ
„FRAGMENTARIUM”, PRZESYŁAJĄC NAM SWOJĄ TWÓRCZOŚĆ.

JUŻ TERAZ ŻYCZYMY WAM PIĘKNEJ WIOSNY.
NIECH KARTY NASZEGO MAGAZynu TOWARZYSZĄ WAM AŻ DO
MAJA – DO KOLEJNEGO NUMERU.

DZIĘKUJEMY,
REDAKCJA „FRAGMENTARIUM”



FRAGMENTARIUM